KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ **Nr 9/239** **1967**

• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

Cz. MIŁOSZ : **O WIERSZACH ALEKSANDRA WATA**

T. STALIŃSKI : **SEJM**

L. TYRMAND : **SMUTNO MI BOŻE — — KIEDY NA ZACHODZIE...**

J. DUGLAS : **WARSZAWA 6-10 CZERWCA**

J.-G. FLEMMING : **Z WIZYTĄ U AGRESORA**

SPIS RZECZY

Czesław Miłosz: *O wierszach Aleksandra Wata* 3
Jan Barthel de Weydenthal: *Notatki amerykańskie* 15
George J. Flemming: *Flemming jedzie na Zachód* 23
George J. Flemming: *Z wizytą u agresora* 26
G. J. F.: *Sugestie* 39

◆

Tomasz Staliński: *Sejm* 42

WIERSZE

Bogdan Czaykowski: *Strofa i tren* 56
Bogdan Czaykowski: *Point-no-point* 57

OBSERWATORIUM

Gustaw Herling-Grudziński: *Nowa kasta* 60
Andrej Wozniesienski: *List do Redaktora „Prawdy"* 64

POLEMIKI

Leopold Tyrmand: *Smutno mi Boże — kiedy na Zachodzie...* 66

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski: *„Ani z Rosją ani z Niemcami"* 77
Enzo Bettiza: *Karlove Vary* 86
Londyńczyk: *Kronika angielska* 92

KRAJ

Jan Duglas: *Warszawa 6-10 czerwca* 101
Maciej Gruby: *List do przyjaciela* 106
— *Jeszcze o A. Brychcie* 117

KRONIKA KULTURALNA

Józef Czapski: *Solidarność* 118
— *Komunikaty*
a) *Biblioteki Polskie w Londynie* .. 121
b) *Wynik Konkursu* 121
c) *Polacy w CNRS* 122

KSIĄŻKI

Michał Borwicz: *Ten jest z ojczyzny mojej* 123
Adam Czerniawski: *„Nieposkromione bestie słów"* 132
Wacław Iwaniuk: *Żywe i martwe słowa* 141
— *Nadesłane nowości wydawnicze* 143

◆

J. Korson: *Wydarzenia miesiąca* 144

◆

J. G. Görlich, G. Herling-Grudziński, W. Nowak, K. Popiel, A. Pleszczyński, A. Rynkiewicz, B. Szubska, J. Załęski: *Listy do Redakcji* 152

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Wrzesień — Septembre 1967

INSTYTUT LITERACKI

Ś. † P.

ALEKSANDER BREGMAN

Wybitny pisarz i publicysta
zmarł w dn. 8 sierpnia 1967

Redakcja KULTURY

WPŁATY NA FUNDUSZ "KULTURY"

Irena Dyrcz-Freeman, Gloversville, N.Y. (USA), po raz piąty ..	F. 24,50
Bezimiennie, Brooklyn, N.Y. (USA)	F. 14,50
Janusz Zembrzuski, Paryż, po raz siódmy	F.100,00
Bezimiennie, Gossau (Szwajcaria), po raz trzynasty	F. 24,80
Bezimiennie, Brooklyn, N.Y. (USA)	F. 44,00
Lech Krysiewicz, Montreal, Que. (Kanada), po raz piąty	F. 18,00
Mychajło Diakiv, Philadelphia, Pa. (USA)	F. 9,00
dr Wł. Cebulski, Chicago, Ill. (USA)	F. 14,50
Bezimiennie, Paryż, po raz drugi	F.500,00
Roman Królikowski, Johannesburg (Afryka Płd.), po raz czwarty	F.130,00
H. Dolatowski, Knutange (Francja), po raz drugi	F. 35,00
Bezimiennie, Santa Monica, Cal.	F. 20,00

DZIĘKUJEMY!

Imprimé en France

O wierszach Aleksandra Wata

Chciałem napisać o Aleksandrze, który był moim przyjacielem, dużo, bardzo dużo, układałem to w myśli, ale doszedłem do wniosku, że nie potrafię. Nie potrafię z nadmiaru: to życie prowadzi w najdotkliwsze, najbardziej zawiłe sprawy naszego wieku. A także w tajemnicę fizycznego bólu, w bezsilność naszego protestu, który zgłaszamy wbrew urządzeniu świata. Były okresy kiedy widywałem go niemal codzień. To nie było łatwe: nie móc nic i tylko uczestniczyć jako świadek. Dotychczas mam w sobie za wiele wstydu i gniewu żeby mówić o tym spokojnie. Zapamiętałem nazwiska paru literatów w Polsce, którzy wtedy kiedy nas, patrzących, przerażała potworność wpisana w istnienie, nazywali tego Hioba spryciarzem i symulantem.

Jakim cudem ktoś tworzy dzieło poetyckie tej jakości dopiero po pięćdziesiątce i to w krótkich momentach ulgi, przejaśnienia, zostawionych mu przez chorobę? Wysoka pozycja Wata w środowisku literackim przez kilka dziesiątków lat była raczej pozycją tego który mówi, niż tego, który pisze. Określano go jako „beletrystę i tłumacza". W notatkach Majakowskiego z jego pobytu w Warszawie jest zdanie: „Wat — urożdionnyj futurist" — ale to też wynik tylko osobistego kontaktu, intuicyjne odgadnięcie jak najbardziej dwudziestowiecznej umysłowości.

Rysuje mi się to tak. Wat nagromadził wiedzę o naszym stuleciu tak dużą, że porażała go niemotą. Lewicowy intelektualista — a potem zstąpienie w otchłań na siedem lat. Czteroletnia katorga Dostojewskiego figuruje w książkach jako przykład kluczowego doświadczenia zdolnego przemienić pisarza, ale Wat opowiadał mi dosyć o swoich katorgach w Rosji i rosyjskiej Azji żebym ośmielił się uznać jego wiedzę za głębszą i straszniejszą. Była ona nie do udźwignięcia, domagała się jakiegoś wyrazu i tak

powstał zamiar napisania wielkiej książki prozą. Miała to być summa litości, współczucia, analizy. Takiej książki nie mógł napisać. Po pierwsze dlatego, że umysł wyrafinowany, wybredny, hiper-krytyczny, żądał od siebie za wiele: książki, jaką widział, prawdopodobnie nikt nigdy nie napisze. Po drugie, zaledwie zabierał się do pracy, przychodził nawrót choroby. Gdyby jednak nie ciągłe zmaganie się z olbrzymim zamiarem, nie byłoby pewnie poezji Wata. Jego ręka, skrępowana kiedy usiłował opowiadać prozą przez nadmierne wymagania intelektu, była wolna kiedy stawiał znaki na marginesie, od niechcenia. Taka już była jego zbyt skrupulatna natura: bał się na przykład przyrzec, że wygłosi odczyt, bo musiał do niego przygotowywać się jak nikt się nie przygotowuje — ale przecie to było zupełnie niepotrzebne, ci co go znali wiedzieli, że wystarczy go sprowokować, niby przypadkiem, a będzie mówić znakomicie, błyskotliwie, godzinę, dwie, po polsku, po rosyjsku, po francusku. Zostały po nim nagrane na taśmę magnetofonową opowieści-pamiętniki obejmujące znaczną część jego życiowej Odyssei. Bogata kopalnia — ale dla mnie Wat zawsze był i jest przede wszystkim poetą.

Stara metafora odgaduje w sztuce perłę, która jest tworem chorej muszli. Inna odsyła do słowika śpiewającego pięknie, bo oczy mu wykłuto: Poeci dzisiejsi wstydzą się starych metafor i wstydzą się swoich uczuć. Dali się zastraszyć dłubaczom wymyślającym coraz to nowe dyscypliny, może zręczne i wygodne dla aspirantów do uniwersyteckich katedr, ale zabójcze dla kogoś kto sądzi, że można być poetą i teoretykiem w jednej osobie. Czytam różnych strukturalistów, głoszących, że język nami włada a nie my władamy językiem z niechęcią i wrogością: tak wilk czytałby traktaty o chwytaniu zwierzyny układane przez zacne panie w okularach. Wat wykroczył poza literackie mody, najwyżej go bawiły. Nie mogło być inaczej, skoro każdy jego wiersz był nagryzmoloną pośpiesznie notatką, z poczuciem, że czasu mało, że to łaska, jeżeli wolno mu coś zarejestrować zanim znów nie powali go atak a przeciwbólowe środki nie otępią na długie tygodnie czy miesiące. Wbrew powszechnym niemal dzisiaj zasadom, jego poezja jest bezwstydnie autobiograficzna, jest stenogramem cierpienia. „Cierniowym krzakiem naszej historii" nazwał ją Jarosław Iwaszkiewicz. Jeżeli jest to poezja zdumiewająco nowoczesna, nie mająca nic wspólnego z płynnym autobiograficznym liryzmem romantyków, to dlatego, że „urodzony futurysta" zawarł w sobie wszystkie sprzeczności i wszystkie przypadłości naszego czasu. Wat w swoich wierszach jawi się cały, taki jakim był w obcowaniu z przyjaciółmi. Mądry zbyt gorzką mądrością, dziecinny, egotyczny, skłonny do euforii i entuzjazmów, przekłuwający te swoje różowe balony makabrycznym humorem, błaznu-

jący, wyjący z grozy, wygrażający Bogu za jego okrucieństwo i uległy jego wyrokom, wierzący i nie wierzący, chrześcijanin i nie-chrześcijanin, świadek zbrodni naszego wieku i świadek wydarzeń pięciu tysiącleci, we krwi noszący pamięć o tym co mówił w łożu król Salomon do królowej Saby. Ekstrakt drwiny z siebie i tragedii przyrządzany według logiki snów — w snach trzeba szukać zaczynu jego wierszy, niektóre są po prostu zanotowanymi snami, choć przecie każdy sen jak wiemy podlega przeróbce, upoważniając tylko niejako do *écriture automatique*. Tak oto miały zaowocować „słowa na wolności", po pierwszych futurystycznych (jak wolał Wat: dadaistycznych) próbach ujarzmione w poezji polskiej na kilka dziesiątków lat zarówno przez poezję Skamandra jak Awangardy. Te wiersze Wata, które udało mi się przełożyć na angielski, fascynują młodych w Berkeley i San Francisco ponieważ są *zany* — jak filmy braci Marx. W istocie jednak przyciąga ich pewnie coś, co rzadko spotyka się w smutnej błazenadzie *zany* nowoczesnej literatury — ładunek treści, procent od dotkniętej prawdy.

„Ani w świątyni jej nie gości w tych, które wybrał sam, pokojach". Wat chciał obdarzyć potomność wielkim dziełem prozą, bo domagały się go wszystkie twarze skrzywdzonych, poniżonych, dręczonych, jakie nawiedzały go w snach. Nie znaczy to, że nie był pewny wartości swojej poezji, ale zdawał się ją traktować jako etapy ogromnego dążenia, rzeklibyśmy, że była ona na nim wymuszona przez urywany rytm jego egzystencji, przez ciągłą huśtawkę godzin ofiarowanych i przez ból zabranych, tak że krótki zapis był jedynie mu dostępny. Niekiedy poeci, koncentrując się na jednym gatunku, cyzelując, tworzyli arcydzieła, ale kto wie czy olśniewające zjawiska w literaturze nie powstają częściej niejako mimochodem — pragnie się czegoś innego, niż to, co się zdobywa.

Klarują się dzisiaj nowe hierarchie w polskiej poezji dwudziestego wieku, szarzeje niejedno czczone nazwisko, inne powoli wychodzą na plan pierwszy. W tej nowej hierarchii poezję Wata postawiłbym wysoko, i nie dlatego, że piszę to bezpośrednio po jego śmierci. Nie wierzę w różne awangardowe fiki-miki, w coraz to nowe odmiany estetyzmu, bo te nie są dla ludzi. Chaos kryteriów jest tak gęsty, że poezja Wata, naj-naj-nowocześniejsza, wyrafinowana w swojej technice, „zany" musi przypominać z pozoru popisy trwożliwych a pustych, którzy prócz jeszcze jednego chwytu formy nie mają nic do powiedzenia. Później okaże się, że w jego egotycznej skardze wyrażała się skarga powszechna, odsłonią się jej surowe a proste zarysy ukryte w gęstwie aluzji, a kilka jego wierszy znajdzie się w popularnych antologiach gdzieś

niedaleko „O Frydruszu który pod Sokalem zabit od Tatarów roku pańskiego 1519", co jest tyle, ile jakikolwiek poeta może sobie życzyć.

Nie, prawdy o naszej epoce nie przekaże żadna epopea, żadna „Wojna i pokój", żadna dogłębna socjologiczna analiza. Błyski, urywane słowa, krótkie sentencje — to najwyżej:

Barwy, w których ja gustuję,
motyl od nich odfruwa
z odrazą.

Kwiaty, które ja maluję,
nie wstawiaj ich do wazonu —
pęknie wazon.

Pejzaże, śród których ja wiosłuję,
Bosch by ich nie ścierpiał —
tak nie cierpiał.

Bezwstydnie prywatne? Albo, przez tę prywatność, powszechne, jak kto woli, tyle że tym razem, inaczej niż to dzieje się w bezosobistych opisach ziemi anty-barw, anty-kwiatów, anty-pejzaży, zapłacone, z pokryciem (bo to „ja" gustuję, maluję, wiosłuję).

Przyszłym badaczom polecam zastanawianie się nad skalą poezji Wata — od żalów biblijnego proroka do niemal matematycznego dowcipu gnomicznych maksym. Nie jest tak, żeby Wat nie rozmyślał nad techniką poetycką, żeby swojej własnej, podatnej jego celom, ciągle nie wynajdował. Dążył do tego, żeby zapewnić poezji większą *nośność,* niszczoną zarówno przez „czystość" liryki jak przez gadulstwo. W rozmowach ze mną określał to tak mniej więcej, jak to zrobił w majowym numerze londyńskiej „Oficyny Poetów" poświęconym w znacznej mierze jego twórczości: „... moje zainteresowania tzw. formalne zmierzają chyba wyłącznie do tego, by znaleźć się i utrzymać na wąskiej granicy pomiędzy prozą-prozą (broń Boże, prozą poetycką!) a poezją-poezją (byle nie prozatorską)".

Gdybym miał wprowadzić w poezję Wata zupełnie jej nie znającego polskiego czytelnika, zacząłbym zapewne od wierszy, których instrumentacja jest prosta, a tematyka łączy wypadki historyczne z motywami zaczerpniętymi ze Starego Testamentu. Na przykład od „Melodii hebrajskich", o pobycie na zesłaniu w Azji:

... a w ich cieniu harfiarze siedzą i kołyszą
głowy w dłoniach wyschniętych...
Kornel Ujejski

Nad brzegami Babilonu siedzieliśmy strudzeni.
„Śpiewajcie! — krzyczeli nam dozorce —
Śpiewajcie a żwawo

Syjonu pieśń orężną i hymn do Jahwy rzewny.
Niech nam uszy upieszczą pieśni ciemiężonych!"

Śpiewalibyśmy —
gdyby pieśń nasza była jadem!
Śpiewalibyśmy —
gdyby słowo jej było sztyletem!
Śpiewalibyśmy —
gdyby śpiew nasz był przekleństwem —
a nie radością, nie wolnością, nie błogosławieństwem!
Co wiedzą o Jahwie Baala czciciele
i co — o słodkim szpiku pieśni syjońskich!

A byli śród nas tacy, co śpiewali obcym.
I wargi ich trądem poraził Sprawiedliwy,
harfy ich strzaskane, świeczniki w proch wdeptane
i domy ich podane w hańbę opuszczenia.

Następnie przeczytałbym wiersz o nocy w więzieniu na Zamarstynowie, z „Nokturnów":

Was spricht die tiefe Mitternacht
Nietzsche

Co mówi noc? Nic
nie mówi. Noc
ma usta
zagipsowane.
Dzień — ten owszem. Gada.
Bez cezur, bez wahań, bez sekundy
zastanowienia. I gadać tak będzie
aż padnie i skona
z wyczerpania.
A jednak słyszałem krzyk
w nocy. Każdej. W słynnym
więzieniu na
Co za piękne kontralto. Z początku

myślałem, że Anderson Marian
śpiewa spirituals. A to był krzyk
nie na ratunek nawet. W nim
był początek i koniec
tak zespolone że nie ustalić gdzie
koniec kończy się
początek zaczyna. To
krzyczy noc.
To krzyczy noc.
Chociaż ma usta
zagipsowane.
To krzyczy noc. Potem
dzień rozpoczyna swoje tralala
aż padnie i skona
z wyczerpania.
Noc — ta nie skona.
Noc nie umiera
chociaż ma usta
zagipsowane.

Dalej, wiersz „Wielkanoc", odnoszący się do wiosny 1943 w Warszawie:

W dwukonnej karecie
starozakonny staruszek
w cylindrze na głowie
jedzie z synagogi
kiwa się, mówi do siebie:
królem jestem, królem jestem, jestem królem.

Mężczyźni stoją szpalerem
Kobiety wyglądają z okien
Dzieci wieszają girlandy
Żandarmi klękają na bruku.

Wtem Jahwe wyciągnął rękę
zdarł jemu z głowy cylinder
nasadził ciernistą koronę.
Zaczem karetą dwukonną
staruszek starozakonny
wjechał prosto do nieba.

Dymy stoją nad miastem
Dzieci wieszanych girlandy
Kobiety leżą na bruku
Żandarmi stoją szpalerem.

Dalej, wiersz o własnej chorobie, która przybiera kształt czegoś narzuconego z *zewnątrz*, więzienia, a więc niejako stapia osobiste z historycznym:

***

W czterech ścianach mego bólu
nie ma okien ani drzwi.
Słyszę tylko: tam i nazad
chodzi strażnik za murami.

Odmierzają ślepe trwanie
jego głuche puste kroki.
Noc to jeszcze czy już świt?
Ciemno w moich czterech ścianach.

Po cóż chodzi tam i nazad?
Jakżeż kosą mnie dosięgnie,
kiedy w celi mego bólu
nie ma okien ani drzwi?

Gdzieś tam pewno lecą lata
z ognistego krzaka życia.
Tutaj chodzi tam i nazad
strażnik — upiór z ślepą twarzą.

Teraz już byłaby pora na jedyny w całych dziejach poezji polskiej religijny sonet o Chrystusie, który w imię współczucia dla ludzi *nie chce* zmartwychwstać:

Do grobu złożył Go mąż z Arymatei
i nakrył ciosowym kamieniem.
I siadł na pokucie, by płakać nadziei,
która jest-że tylko złudzeniem?

W nocy podeszły tu dwa serafimy.
Odwalili kamień i rzekli: „Wstań, Panie!"
I rękę podali, by wstał i szedł z nimi,
aby się spełniło Boże zmartwychwstanie.

Nie wstanę! — rzekł do nich. — Nie wstanę dopóty,
dopóki i człowiek nie będzie wyzwolon
od śmierci i bolu.

Od dawna już Józef ów powstał z pokuty.
I w proch jest obrócon... A On ciągle czeka
na wyzwolenie człowieka.

Nie sądzę, żeby tego rodzaju wprowadzenie jak moje było niepotrzebne albo nieusprawiedliwione. O poezji dzisiaj pisze się zbyt zawile, jakby w ostatecznym rachunku nie sprowadzała się do prób nazwania wspólnej nam doli skazańców w pascalowskiej piwnicy. Chciałbym żeby zauważono, że w cytowanych wierszach nie ma odwartościowania świata, jak to zdarza się we współczesnym nihilizmie. Wat nie był nihilistą to znaczy nie występował przeciwko godności rzeczy istniejących, mszcząc się na nich za to, że podmiot (ja, my, oni) poddany jest cierpieniu. Zawsze obecny jest blask i splendor przyrody, architektury, dzieł sztuki, radości ludzkiej, odnawiającego się szczęścia nowych pokoleń, blask i splendor niesplamiony przez to, że mnie albo nam zabronił się nim cieszyć los indywidualny albo zbiorowy. W tym, myślę, jest dojrzałość poezji Wata, odcinająca ją od sztuki tworzonej przez tych wszystkich, którzy nie przyznają się, że pobłażają tylko swojej litości nad sobą i występują w masce sędziów Pana Boga — co, myślowo, jest procederem stosownym zapewne tylko dla czternastolatków. Właśnie skarga Wata-cierpiętnika, ponieważ jest tak własna, tak wyraźnie zaczepiona o określone „ja" albo „my", chroni go od uogólniającego „się" (chodzi się, żyje się, składa się, nie składa się itd.) i od pseudo-filozofii. Do szczytowych jego osiągnięć zaliczyłbym małe noty hołdy i podziwu dla dostojeństwa rzeczywistości, jakby rysunki piórkiem, jak choćby „W barze, gdzieś w okolicach Sevres-Babylone" — ale instrumentacja jest tutaj suta, złożona, a obiecałem zaczynać od prostszej. Wystarczy więc powołać się na nie ustępujące w niczym krótsze opisy. W „Pieśniach" Wat użył motta, które potwierdza co przed chwilą powiedziałem o jego obiektywizmie poprzez subiektywizm (odwrotnie niż u piewców uogólnionego wstrętu i odrazy). Motto, z A. Langa „Homer and Anthropology" brzmi: „It is the nature of the highest objective art to be clean. The Muses are maidens" („Leży w naturze najwyższej obiektywnej sztuki unikać brudu. Muzy są dziewicze"). I zaraz następuje ten pejzaż, oglądany ze znanego mi punktu, z domu dla pisarzy „La Messuguière", koło Grasse:

Pięknie aż tchu brak
płucom. Ręka wspomina:
byłam skrzydłem.
Niebiesko. Szczyty w zaróżowionym
złocie. Kobiety tej ziemi —
małe oliwki. Na spodku rozległym
dymy, domy, pastwiska, drogi,
przeploty dróg, święta pilności
człowieka. Jak gorąco! Powraca

cud cienia. Pastuch, owce, owczarek, baran
w dzwoneczkach pozłacanych. Oliwki
w krętych dobrociach. Cyprys — ich pastuch samotny. Wieś
na perci kabryjskiej, obronna
dachówkami. I kościół, jej cyprys i pastuch.
Młodość dnia, młodość czasów, młodość świata.
Ptaki milczą zasłuchane. Tylko kogut
z dołów przysiółka Spéracèdes. Jak
gorąco. Gorzko umierać na obcym.
Słodko jest żyć we Francji.

Żyć jest słodko. *Ja* umieram ale pozostaje młodość świata. Ja też przechodząc ulicą paryską przystaję i oglądam obrazy jakiegoś malarza w których utrwaliła się niewidoczna ale obecna („Przed wystawą"):

Świat nasz. Tak mały,
że jedna gitara
wystarczy
by go zaludnić dźwiękami —
gdy gra na niej Miłość.

Miłości nie widać
choć jest obecna.

Obok gitary patera z jabłkami
— insygnium królewskie
znane z taroka;
uświadomienie sobie złego-dobrego;
owoc Hesperyd
lecz nie ze złota,
owszem — z kolorów
naszego świata
który jest tak mały,
że jedna gitara
wystarczy
itd.

Wszystko to widać
oprócz Miłości
której nie widać
choć jest obecna
na małej wystawie
marchanda obrazów
na Faubourg Saint-Honoré.

Młodym poetom wydaje się, że prostota jest brakiem oryginalności, że linia wiersza w której słowa „nie dziwią się sobie" musi być blada. Nic dziwnego. Żeby mieć tę lekkość dotyku jaką miał Wat, ten dar niewymuszonego *okolicznościowego* szkicowania (a Goethe twierdził, że nie ma innej poezji niż okolicznościowa), trzeba wiele przeżyć i wiele umieć, dopiero wtedy najzwyklejsze słowa służą. Ale ciągnę swój wywód dalej, jeszcze to zacytuję, żeby pokazać dziewiczość Muzy Wata:

***

Więc świat wasz znów jest czysty, jak pierś młodej matki,
starte zostały znaki zdrady, krwi i trwogi.
Stoję przed nim nieśmiały, ręką dotykam kołatki,
a nie śmiem zakołatać. Jestem jak gość ubogi. —

jego tu zaproszono odcieniać wspaniałość domu,
a on nie poznaje nikogo, sam też nie znany nikomu.

Ogród zapłonął w słońcu jak w pierwsze dni Stworzenia
i nawet ja u tej furty jestem — jak upiór — bez cienia.

Jedni mogą woleć te jego wiersze, w których środki są „ubogie", inni te, w których są „bogate". Wybierałem dotychczas te pierwsze, po to, żeby obalić opinię, że jego poezja jest tropikalnym gąszczem barokowej ornamentyki (a o księdzu Bace Wat odzywał się ciepło). Jeżeli przy pierwszej lekturze te drugie wydają się trudne, to warto pamiętać, że zawsze występuje w nich rzeczywiste miejsce i rzeczywiste zdarzenie, przemienione, podniesione, często udostojnione humorem. Można by było napisać komentarz do wierszy Wata, odnosząc każdy z nich do tego, co się działo danego dnia, danego roku. Tak „Powrót do domu" (*„W tej biednej głowie było tak niewiele!: talerz kaszki mannej, / której zabrakło w stołówce, gdy moja nadeszła kolej".*) jest transpozycją brnięcia nocą przez błoto-topiel na placu azjatyckiego miasteczka. *„Trzej kumotrzy, przy samowarze, wódce, ogórkach"* z „Wierszy Śródziemnomorskich" to Stalin, Woroszyłow i Kaganowicz podpisujący wyrok śmierci na generała Jakira. Spacer po Oxfordzie z żoną zmienia się w niesamowitą bufonadę po spotkaniu żółwia, który, niechętny do rozmowy, jednak raczy im to i owo przekazać z relacji swoich przodków (bo sam ma tylko 293 lata), zanim nie wpadnie w gniew, bo Wat (świadomie nie mówię: podmiot liryczny!!) żywił się jego krewnymi w Ili,

na pustyni Kazakstanu. Myśliwy w kapelusiku na bakier spotkany na ulicy prowansalskiego miasteczka stopniowo przekształca się w Myśliwego, symbolizującego śmierć. I nawet drobny incydent w Warszawie powraca (wyrzut sumienia) w przebraniu: jeleń to sam Wat:

Pamiętam,
jeleń pyszałek, dumny z naszyjnika,
który tęczował w słonecznej rosie,
szedł Walicowem, a w oknie otwartym na letnie
wonie, na rozsiew bzu i kwitnących kasztanów,
siedział chłopiec. Miał krymkę na głowie
i czarne oczy wpatrzone w donikąd. Pamiętam,
jeleń zakpił, powiedział coś tak urągliwie,
że dziecko cofnęło się w głąb,
pod zniewagą.

Moje zadanie teraz nie polega jednak na dostarczaniu klucza, który zresztą każdy może sobie wybrać i jeden klucz będzie równie dobry jak inny, nie o to przecie chodzi. Zależy mi tylko na podkreśleniu, że wyobraźnia Wata jest zawsze zakotwiczona o dramatyczną akcję i (na szczęście) nie „wyzwolona" tzn. nie nawija się na siebie samą. Przystoi więc unikać, zbliżając się do niej, terminów zbyt pokrętnych a górnolotnych. Czy wiersze wybrane przeze mnie dobrze go reprezentują? Niekoniecznie. Może nawet wolałbym inne, te o długiej frazie, na powolnie mówiący głos, to znów na perkusję, jak w tym otwarciu „Pieśni wędrowca":

Zbrzydzony wszystkim co żywe oddaliłem się w świat kamienny: tutaj, myślałem, wyzwolon, z góry a bez pychy będę oglądał tamtych rzeczy zwichrzenie.

Celem mego artykułu było wyjaśnić dlaczego mały klan przyjaciół tak obnosił się z Watem — pomijając zwykłe względy ludzkie, wiedzieliśmy z *kim* mamy do czynienia. Ten klan był bardzo mały — dwa tomy Wata ukazały się w Polsce („Wiersze", 1957, „Wiersze Śródziemnomorskie", 1962), dla emigracyjnych czytelników Wat-poeta w ogóle nie istniał, nie słyszeli. Numer „Oficyny Poetów" i drukowany właśnie przez paryską „Libellę" tom wierszy zebranych może wprowadzą jakąś zmianę. Ale poezję Wata czeka długa podróż w czasie, nie warto troszczyć się o przelotne gusty. A ponieważ nie chcę kończyć żadnym retorycznym efektem, otwieram „Wiersze Śródziemnomorskie" na chybił trafił:

Więc przycupnięty pod bugenwileą, tą z kamieniołomów, gdzie gołe artemidy w okręcich szeweliurach, obwieszone
[klejnotami,
strzelały w nas ze złotych łuków, z góry oglądając naszą mękę.
[Mękę —
zawsze z góry. Nie oglądana z góry męka czym jest? Jedna
[chmurka osobliwie biała
odpływa.

Czesław MIŁOSZ

Notatki amerykańskie

The Message

Jedną z ostatnich sensacji wydawniczych w Stanach Zjednoczonych była mała książeczka kanadyjskiego profesora z Toronto Marshalla McLuhana, wydana pod dziwnym tytułem „Medium is the Message" („Pod presją komunikacji"). Jest ona spopularyzowaną wersją jego poprzedniej pracy, która ukazała się dwa lata temu pod tytułem „Understanding media". W swych pracach prof. McLuhan twierdzi, że do poznania współczesnej cywilizacji konieczna jest nie tyle bezpośrednia obserwacja grup społecznych, ile badanie i zrozumienie środków komunikacyjnych za pomocą których te grupy się porozumiewają i poprzez które wyrażają one swe idee i przekonania. Wychodząc z założenia, że środki komunikacyjne — w szerokim znaczeniu obejmują one nie tylko powszechnie znane i uznawane media, takie jak kino, prasa, telewizja czy radio, ale również np. modę ubraniową, system mierzenia czasu, wygląd samochodów itd. jako że wszystko to przenosi idee, poglądy i marzenia ludzi — nie są niczym innym jak przedłużeniem i odzwierciedleniem nas samych. Zrozumienie roli mediów pozwala, zdaniem McLuhana, określić stan i cechy charakterystyczne współczesnej cywilizacji, a nawet przewidzieć jej dalszy rozwój. Rewolucyjną tezą kanadyjskiego naukowca jest pogląd, że przekazywana treść jest o wiele mniej istotna dla rozumienia roli danego medium, niż jego sama działalność i charakter. W obecnej dobie podstawowym środkiem przekazywania informacji jest elektryczność i to głównie przy pomocy telewizji, samo więc istnienie telewizji i jej rola w społeczeństwie jest podstawowym elementem do określenia obecnego stanu kulturowego społeczeństwa.

Książka „Medium is the Message" zrobiła szokujące wrażenie nie tylko swym „messagem" ale również formą w jakiej ten „message" został objawiony. W trzech czwartych składa się ona

bowiem z rysunków i fotografii ilustrujących tezy autora, natomiast tekst pisany został specjalnie dobrany do wytłumaczenia niekiedy niezrozumiałych ilustracji. Wszystko razem jest niesłychanie interesujące, natomiast forma graficzna jest dość niezwykła jak dla, bądź co bądź, poważnej książki naukowej.

Nic też dziwnego, że znalazła się ona, a poprzez nią i autor, natychmiast w centrum zainteresowania i dyskusji. Niektórzy oskarżali prof. McLuhana o kpiny z czytelników, ba, nawet nazywali go niepoważnym fantastą; inni znów głosili, że jest on jednym z najwybitniejszych myślicieli naszych czasów, wielkim znawcą społeczeństwa itd. W rezultacie nieomal wszystkie pisma amerykańskie ogłosiły artykuły dyskusyjne na temat książki McLuhana, niektóre zaś poświęciły mu swoje okładki. Cała afera zakończyła się przysłowiowym „happy endem" gdyż profesor McLuhan uzyskał posadę na nowojorskim uniwersytecie Fordham z pensją 100.000 dolarów rocznie.

Historia profesora McLuhana jest klasycznym przedstawieniem stosunków i sytuacji amerykańskiej. Jednocześnie jednak znamionuje zwrot w mentalności i doborze bohatera życiowego. Kiedyś, pozytywny bohater zaczynał od sprzedawania sznurowadeł na ulicy, zaś z biegiem czasu, dzięki ciężkiej pracy i silnej woli dochodził do milionów. Teraz tenże bohater, dzięki równie ciężkiej pracy dochodzi do odkrycia czegoś nowego, czy też wymyśla nowe spojrzenie na świat i społeczeństwo ofiarowuje mu już nie miliony co prawda, ale niezgorszą sobie pensyjkę. Tenże bohater nie jest sprzedawcą sznurowadeł, takie funkcje mogą spełniać automaty, ale inteligentnym i reprezentującym wielkie możliwości umysłowe człowiekiem. W wypadku profesora McLuhana nawet wybitnym intelektualistą.

Jedna rzecz jednak pozostaje niezmienna, a mianowicie niesłychany wręcz rozmach całego przedsięwzięcia. Ten rozmach, tempo życia, potęga i bogactwo kraju; olbrzymia stopa życiowa jego mieszkańców, wspaniałe urządzenia kulturowe i przemysłowe itd., wszystko to robi kolosalne wrażenie na nowoprzybyłym Europejczyku.

Ten olbrzymi wręcz rozwój materialny stworzył warunki do tego, aby rozpoczęła się niespotykana dotychczas ekspansja kulturowa. Nie ma chyba obecnie większego miasta w Stanach Zjednoczonych bez muzeum, teatru i instytucji wyższego nauczania. Niekiedy takie prowincjonalne colleges czy uniwersytety są nawet lepiej wyposażone w sprzęt naukowy niż stare, o ustalonej renomie, instytucje. Niekiedy samą swą formą architektoniczną stanowią one doskonały stymulant do koniecznych zmian w mentalności zarówno studentów jak i starych, często konserwatywnych, mieszkańców prowincji amerykańskiej.

Tego typu refleksja nasunęła mi się w chwili gdy zostałem zaproszony przez prof. Alicję Iwańską na uroczystość zakończenia roku akademickiego do Albany, gdzie mieści się część gigantycznego kompleksu uniwersyteckiego stanu Nowy Jork. Uniwersytet tamtejszy jest tak piękny, że trzeba mu poświęcić kilka

słów. Główny twórca projektu, znany amerykański architekt Stone, był w chwili robienia planów pod niesłychanie silnym wrażeniem jakiejś budowli sakralnej z Bliskiego Wschodu i postanowił przenieść jej główne cechy na nowoczesny kompleks uniwersytecki. W rezultacie powstał campus, którego budynki, ustawione w tradycyjne czworoboki, przypominają jakiś bajkowy XIII-wieczny klasztor o trochę wschodnim charakterze, ale z lekkością niemal szklanych konstrukcji naszych czasów. Biały kolor domów kontrastuje z gęstym lasem dookoła, natomiast długie krużganki o wspaniałych perspektywach sprawiają wrażenie, że studenci i profesorowie winni właściwie mieć obowiązek chodzenia w togach czy habitach, aby przystosować się do nabożnej, sakralnej wręcz atmosfery.

Otóż właśnie, togi! Ku mojemu zdumieniu, wszyscy studenci i całe ciało profesorskie zjawiło się właśnie w różnokolorowych togach akademickich. Uroczystość rozpoczęła się wielką procesją „togową" do miejsca gdzie na wolnym powietrzu odbywały się właściwe obchody. I tu dopiero nastąpił powrót do rzeczywistości, gdyż zarówno dekoracja miejsca, z naciskiem na maksymalną funkcjonalność i z zaniedbaniem zbędnej estetyki, jak i cały rytuał który przewidywał obowiązkowe przemówienie polityczne oraz grupowe przyznawanie tytułów, stały w żywym kontraście do atmosfery stworzonej przez niezwykłość uniwersytetu i tradycyjną ceremonialność tog.

W późniejszej rozmowie dowiedziałem się, że zarówno togi jak i cały szereg innych, starych zwyczajów europejskich, które w większości wypadków zostały całkowicie zarzucone na starym kontynencie, są trwale zaakceptowane w społeczeństwie amerykańskim. I do tego na skalę masową. Oczywiście zwyczaje te uległy pewnego rodzaju amerykanizacji, przeróbce, ale o dziwo coraz bardziej się one rozpowszechniają. Można by tu zacytować wspomnianego już profesora McLuhan, który w swej książce stwierdził:

„... obecnie w Ameryce można zaobserwować, po raz pierwszy chyba w historii tego kontynentu, prawdziwą rewolucję przeciwko standartowi... Ameryka... zbliża się obecnie z kolosalną szybkością do dawnych tradycji europejskich. To, co kiedyś było programem awangardowej grupy intelektualistów lat 20-tych, stało się obecnie normą życia dla kilkunastolatków".

Nie znaczy to oczywiście, że obecnie, w chwili gdy styl życia w Europie gwałtownie się „amerykanizuje", Stany Zjednoczone wchodzą w realizację odwrotnego procesu. Absolutnie nie. Mam wrażenie, że to co McLuhan chciał powiedzieć to stwierdzenie faktu, że Ameryka krawatów z nagimi kobietami, skrzydlatych samochodów i symbolicznych milionerów z Teksasu należy już do przeszłości. Obecnie żyjące społeczeństwo amerykańskie po osiągnięciu materialnego dobrobytu, dotychczas nie spotykanego na skalę tak masową w historii świata, coraz bardziej zwraca swą uwagę w stronę masowego „ukulturalnienia". I to jest zwrot

z prawdziwie amerykańskim rozmachem. Poprzez rozbudowę instytucji wyższego nauczania na terenie całego kraju, poprzez zakładanie nowych muzeów i instytucji kulturalnych ideały intelektualistycznej awangardy poprzedniej generacji stają się rzeczywistością dnia powszedniego. Nie można oczywiście twierdzić już obecnie, że wszystkie te instytucje są na poziomie jednakowym, czy też dorastają do odpowiednich obiektów europejskich. Niemniej, fakt fantastycznego wręcz wyposażenia technicznego i materiałowego oraz perspektywy ciągłego rozwoju pozwalają na snucie takich przypuszczeń już obecnie. Niekiedy takie przeobrażenia powstają w niesłychanym wręcz tempie. Parę lat temu uniwersytet w Albany był nie tylko że zupełnie nie znany, ale wręcz traktowany za straszliwą dziurę, nieomal katorgę dla uczących tam profesorów. Obecnie staje się on modny i coraz więcej naukowców interesuje się możliwościami pracy tamże.

O ile pięćdziesiąt lat temu słynna taśma Forda była metaforą dla określenia Ameryki, to obecnie wydają się nią być białe mury uniwersytetu. I to chyba jest najważniejszy „message" dla nowoprzybyłego Europejczyka, „message" pozwalający na zrozumienie aktualnej sytuacji.

Pokolenie przesady

Z początkiem 1962 roku grupa studentów i młodych pracowników naukowych z uniwersytetu stanu Michigan założyła organizację pod nazwą: „Students for a Democratic Society". W parę miesięcy potem zwołano ogólnokrajowy kongres który uchwalił podstawowy program oraz ułożył obowiązkowy statut organizacyjny. W ten sposób zrodził się ruch znany obecnie w Stanach Zjednoczonych jako „Nowa Lewica". Ruch który jest motorem licznych młodzieżowych wystąpień krytykujących politykę rządową zarówno zagranicą jak i w kraju, ruch który organizuje większość manifestacji antywietnamskich i który uważa się za przedstawiciela rewolucyjnej młodzieży amerykańskiej.

Podstawy działania zostały wyrażone już na pierwszym kongresie w formie manifestu, który miał na celu przekroczyć ramy organizacyjne i pójść w masy. Poddawał on ostremu atakowi system społeczny i polityczny USA stwierdzając, że Ameryką rządzi *establishment* złożony z elit rządowo-wielkobusinessowych. Ta wąska grupa jest zainteresowana w utrzymywaniu istniejącego *status quo*, wobec czego nie ma możliwości na jakąkolwiek ewolucję demokratyczną wewnątrz społeczeństwa. W dodatku, stwierdzili autorzy manifestu, *establishment* jest chorobliwie antykomunistyczny i wszelkie próby przebudowy obecnej struktury byłyby automatycznie zlikwidowane w obawie przed wpływami komunistycznymi. Rozwijając swe stanowisko ideologiczne, autorzy manifestu odżegnali się od jakichkolwiek koneksji z ustrojami komunistycznymi atakując wręcz Rosję za brak faktycznej

opozycji politycznej oraz za monopol partii w każdej dziedzinie życia.

Członkowie kongresu odżegnując się od komunistów z jednej strony, oraz od „burżuazyjnych liberałów" z drugiej, postanowili stworzyć coś, co byłoby następnym krokiem po przestarzałych już i nieaktualnych wzorach socjalizmu i komunizmu. Coś bardziej nowoczesnego i lepiej przystosowanego do współczesnego społeczeństwa rozwiniętego kraju kapitalistycznego.

Wyjściem z sytuacji miała być „zaangażowana demokracja". Pojęcie to nie zostało jednak dostatecznie sprecyzowane i choć z początku podawano jako przykład Jugosłowiańskie Rady Robotnicze, to jednak do dzisiejszego dnia toczą się spory jak to ma być rozumiane.

W pierwszym okresie swej działalności SDS prowadziła akcję pomocy przeróżnym młodzieżowym organizacjom murzyńskim w walce o integrację społeczną na południu Stanów Zjednoczonych, później rozpoczęła również kampanię w gettach rasowych na Północy. Jednak z biegiem czasu centrum działalności przeniosło się z powrotem do uniwersytetów, które obecnie są chyba jedynym miejscem akcji dla tej organizacji.

SDS nie jest jedyną organizacją ruchu zwanego Nową Lewicą. Zalicza się do niego szereg innych organizacji, grup czy też prywatnych osób, wyrażających podobne idee. Dla przykładu można podać nowopowstałą w Nowym Jorku National Conference for New Politics, która stara się rozpowszechniać idee polityczne Dr. Martin Luther Kinga i innych z nim stowarzyszonych osób. Dr King nie jest jednak członkiem żadnej z grup Nowej Lewicy ani też nigdy nie popierał haseł przez nie wyrażanych.

Do Nowej Lewicy zalicza się również zespół redaktorski magazynu *Ramparts*, który okrył się ostatnio sławą poprzez rozpoczęcie akcji wyjawiania szczegółów powiązań CIA z różnymi organizacjami młodzieżowymi na świecie.

Pomimo faktu, że programy oraz wypowiedzi *leader*'ów Nowej Lewicy można spotkać na łamach niemal każdego pisma amerykańskiego, zaś ich demonstracje można zobaczyć często na ekranach telewizji, Nowa Lewica jest liczebnie małym ruchem. Niesposób podać jednak jakichkolwiek szczegółów dotyczących stanu członkostwa gdyż organizacje ze względów prestiżowych nie chcą wyjawić swych stanów liczebnych, zaś szereg osób staje się przeciwnikami lub zwolennikami ruchu zależnie od czasu i okoliczności.

Ostatnio metody działania zaczynają się zaostrzać. Z akcji protestacyjnych w formie pikietowania czy zebrań publicznych ruch chce wkroczyć na drogę bezpośredniej akcji. Akcji gwałtownej i rewolucyjnej. Protest przeradza się w opór. Doskonałej pożywki dostarczyła powszechna niechęć młodzieży do wojny w Wietnamie. SDS zorganizował więc całą akcję pomocy dla tych, którzy nie chcą się poddać obowiązkowi wojskowemu. Jawny protest, w formie np. palenia kart poborowych jest wręcz propagowany. Organizacja podejmuje się zorganizować oficjalną lub nielegalną

immigrację do Kanady, albo nawet sposób ukrywania się na terenie samych Stanów Zjednoczonych. Zdając sobie sprawę z niepopularności swych haseł na skalę masową i braku widoków na ich realizację poszczególne grupy Nowej Lewicy zaczynają coraz częściej mówić o konieczności rozpoczęcia akcji partyzanckich na terenie wielkich miast. *This summer's going to be hot* — to zdanie pojawia się niemal we wszystkich komentarzach czy prognostykach politycznych wypowiadanych na terenie Ameryki. Nowa Lewica postanawia walnie się do tego przyczynić. Intelektualnym bohaterem stał się Che Guevara, dawna prawa ręka Fidela Castro, który od dwu lat zniknął z politycznej sceny kubańskiej i podobno prowadzi walkę partyzancką na terenie Ameryki Łacińskiej. Jego książka „Wojna partyzancka" *(Guerilla warfare)* stała się „Kapitałem" Nowej Lewicy. Nawiasem mówiąc, zmianę nastrojów doskonale charakteryzuje przeskok w dziedzinie upodobań literackich. Do niedawna, jak podał *New York Times*, Biblią ruchu był „Zbuntowany Człowiek" Camus'a. No cóż, Camus był dobry dla intelektualistów, nie dla prawdziwych rewolucjonistów czynu.

Pomimo tych szumnych programów i nawoływań do czynnej akcji, nie wydaje mi się aby należało przesadzać wpływy tego ruchu na młodzież amerykańską. Dla przykładu można by porównać cyfrę 20 tysięcy, podawaną przez przywódców ruchu rewolucyjnego jako stan jego sympatyków, z liczbą 500 tysięcy studentów zarejestrowaną jedynie w metropolii nowojorskiej. A co dopiero gdy pomyśli się o studentach wszystkich 50 stanów. Jednakże organizacje radykalne są klasycznym wytworem współczesnego pokolenia studentów amerykańskich. Pokolenia najbardziej chyba opisywanego i rozreklamowanego w historii amerykańskiego szkolnictwa. Pokolenia, które wzrastało w okresie politycznej zimnej wojny oraz największego dotychczas rozwoju techniki i postępu. Pokolenia, które domaga się jakichś jeszcze nie zdefiniowanych, ale gwałtownych zmian i które uważa za swój obowiązek w tych posunięciach uczestniczyć. Najtrafniejsze wytłumaczenie postępowania młodzieży dał ostatnio na łamach niedzielnego dodatku do *New York Times*'a prof. Clark Kerr, były prezydent największego i najbardziej rewolucyjnego uniwersytetu amerykańskiego, uniwersytetu w Californii, który stwierdził:

„Przesada jest chyba najlepiej pasującym określeniem dla tego pokolenia. Ono się same przesadziło. Zostało też przesadzone przez masowe środki komunikacyjne. Jego znaczenie zostało przedwcześnie rozdmuchane lecz jednocześnie wykorzystane w celach własnych przez przeróżne organizacje zarówno prawicy jak i lewicy. W rezultacie powstała rzadko w historii spotykana sytuacja aby tak wielu ludzi tak bardzo bało się czegoś, co jest tak małoznaczące i robione przez tak niewielką grupkę osób".

Ostatnio wpływy i popularność ruchu na wschodnim wybrzeżu Ameryki zostały poważnie osłabione przez odwrócenie się uwagi publicznej z wojny wietnamskiej na konflikt izraelskoarabski. Sam fakt, że pierwsze strony gazet i główne komentarze telewizyjne znalazły dla siebie inny obiekt niż prawdopodobne akcje Nowej Lewicy, spowodował nieomalże krach organizacyjny. W dodatku sama wojna wywołała rozłam wewnątrz ruchu gdzie znalazły się natychmiast przeciwstawne grupy.

Jednakże nie należy zapominać, że Stany Zjednoczone to naprawdę wielki geograficznie kraj i że choć Nowy Jork oraz wschodnie stany żyły przez pewien okres w podnieceniu wojną na Bliskim Wschodzie, to jednak o parę tysięcy mil na zachód, w Kalifornii, młodzież była o wiele bardziej zajęta demonstracją przeciwko prezydentowi Johnsonowi i jego polityce wietnamskiej niż przyjazdem Kosygina, konfliktem izraelskim i rozpoczętymi już rozmowami w Glassboro.

Obecnie biorąc pod uwagę że zainteresowanie publiczności wojennymi poczynaniami na Bliskim Wschodzie zaczyna powoli wygasać, należy się spodziewać pewnego renesansu popularności Nowej Lewicy. Nie wydaje się jednak, aby zrealizowały się ambitne plany walk partyzanckich (nawiasem mówiąc na odbywającym się obecnie kongresie czołowej organizacji ruchu, już wspomnianej „Students for a Democratic Society", akcję partyzancką starano się tłumaczyć przez pewnego rodzaju dywersję, np. zachęcano do udzielania fałszywych odpowiedzi na jakiekolwiek ankiety, co w „skomputeryzowanym" społeczeństwie amerykańskim miałoby doprowadzić do kolosalnego bałaganu itd.).

Innym argumentem, aczkolwiek dotychczas nie wysuniętym, ale moim zdaniem wielce prawdopodobnym jest fakt, że bądź co bądź, obecnie są wakacje w uniwersytetach. Jak w takich warunkach można myśleć o jakichś konkretnych akcjach?

Polacy w Ameryce

Po raz pierwszy w historii Stanów Zjednoczonych na liście kardynałów amerykańskich pojawiło się nazwisko polskie. Dnia 29 maja Papież zamianował kardynałem dotychczasowego arcybiskupa Philadelphii, Johna Josepha Krola. Z wykształcenia prawnik i były członek Komisji Pontyfikalnej do spraw Masowej Komunikacji, jest on ściśle związany z ruchem polonijnym i w swym pierwszym kardynalskim wystąpieniu wyraźnie podkreślił swe polskie pochodzenie oraz fakt ukończenia polskiej szkoły w Ameryce.

Warto tu podkreślić, że kardynał Krol nie tylko jest obecnie najmłodszym z ośmiu żyjących kardynałów amerykańskich, ale również uważanym za największego propagatora zmian jakie zainicjował w Kościele Papież Jan XXIII. Nie sądzę abym się mylił twierdząc, że nominacja kardynalska Johna Krola wpłynie wydatnie na podniesienie się prestiżu Polonii w oczach społeczeństwa amerykańskiego.

Drugim Polakiem, którego nazwisko znalazło się obecnie w centrum zainteresowania politycznego opinii amerykańskiej, jest Edward Weintal. Były polski dyplomata w Washingtonie, a następnie długoletni korespondent dyplomatyczny znanego tygodnika *Newsweek*, jest on współautorem ostatnio wydanej książki pt. „Facing the Brink".

Książka stanowi studium porównawcze polityki zagranicznej prezydentów Kennedy'ego i Johnsona. Weintal nie ukrywa bynajmniej swoich sympatii, opowiada się otwarcie po stronie Kennedy'ego krytykując zarówno działalność polityczną Johnsona jak i jego styl dyplomatyczny. Książka wywołała niesłychane zainteresowanie w środowisku politycznym Stanów Zjednoczonych; krytycy twierdzą nawet, że autorzy starali się ośmieszyć celowo obecną administrację atakując szczególnie sekretarza stanu Deana Ruska, którego przedstawiono jako zupełnie niezdolnego do kierowania sprawami zagranicznymi takiego mocarstwa jakim jest Ameryka. Weintal opowiada się przeciwko konfliktowi wietnamskiemu, lansując tezę, że Stany Zjednoczone winny się raczej zwrócić bardziej w kierunku Europy i nawiązać ściślejszy dialog z państwami Wspólnego Rynku, jak również starać się naprawić obecnie naprężoną sytuację w NATO.

„Facing the Brink" miała kolosalny wydźwięk w Stanach Zjednoczonych i była nawet drukowana w odcinkach przez obecnie jedyny dziennik popołudniowy Nowego Jorku *The New York Post*. Współautorem wraz z Edwardem Weintalem jest znany dziennikarz amerykański, były zdobywca nagrody Pulitzera, Charles Bartlett, który był jednym z najbliższych przyjaciół Johna Kennedy'ego.

J. B. de WEYDENTHAL

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI
Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Flemming jedzie na Zachód

Ostatni rok, to natłok wrażeń, przeżyć, stukot kół pociągów wiozących mnie przez jedną granicę po drugiej. Poczucie oddalenia od kraju takie, jakby Polska znajdowała się na innej planecie. A przedtem pełne napięcia oczekiwanie na zaproszenie, na paszport, wizy, pakowanie wątłego bagażu, tego najniezbędniejszego, chociaż wyjeżdża się na całe życie. Po raz ostatni język polski będzie językiem ulicy, tramwaju, sklepu.

A zaczęło się tak: na drewnianym molo wojskowa orkiestra w nieobrębionych płaszczach skończyła Mazurka Dąbrowskiego i odeszła stukając podkutymi buciorami. Ostatnia noc na pokładzie brytyjskiego statku. Za burtą ciemny Szczecin i posterunki KBW z pepeszami. A potem pierwsze spotkanie z ulicą: po choleres pan przyjechał — to do mnie, do mojego czarnego beretu. Pociąg do Warszawy — pierwsze zetknięcie z władzami: odmowa uznania stopnia z AK w ZBoWiD, nie uznanie studiów z Zachodu, nie przyjęcie na studia w Polsce, aż dopiero po ministerialnych interwencjach. A potem pierwsza praca i pierwsze wylanie — bez podania przyczyn — po niecałym roku. Nastąpi tego więcej. I tak przez lat siedem. Tymczasem zaczynają się przydawać języki: tłumaczenia na polski i z polskiego na angielski. Potem rok 1954 — pierwsza praca w „Dookoła Świata"; oskarżenie o anty-radzieckość — po raz pierwszy zarzut oficjalnie sformułowany. I cisza do Października. Potem rok *prosperity:* dyrektor ośrodka kulturalnego w Pradze (napiszę chyba kiedyś o tym). I potem znów koniec na dobre. A na pociechę opinia jedynego człowieka w Polsce, który wyrzucił za drzwi samego Gazrurkę-Witaszewskiego. Znów coraz bardziej wątlejące tłumaczenia, jakieś *free-lance*'owanie i trochę — na szczęście — zamożnej rodziny za granicą.

Nie żegna mnie orkiestra, ani nie przywita w Berlinie. W biu-

rze paszportowym z tłumu czekających wyłuskuje mnie nieogolony cywil, zabiera dowód osobisty, wręcza paszport, patrzy niechętnie. Jeszcze wczoraj byłem w Zakopanem, w Krakowie. Wiem, że tych miejsc już nigdy nie zobaczę. Teraz jeszcze walizki na dworzec, na obdrapaną Warszawę-Główną. Do pociągu na Berlin zostało jeszcze trochę czasu, trzeba wydać ostatnie, niepotrzebne już pieniądze. W alejach Jerozolimskich zapalają się neony. W alei 3 Maja biało świeci Muzeum Narodowe. Potem Starówka, przez Getto, nowe ulice Starego Miasta z powrotem na dworzec. Ciepły jesienny wieczór, pustawy sleeping. O 5-tej rano granica. Berlin — nigdy nie oglądałem tego miasta, które zwiedzałem ostatnio karetką wiezienną konwojowany przez ukraińskich SS-manów. Nie oglądam i teraz. Ostbahnhof. Wychodzę przez dworzec: takie samo smutne otoczenie jak w Warszawie. Za kilka godzin — Zachód.

Maszyna do pisania poszła do komisu. Na opłacenie paszportu. To już niejako symbol. Odbudowywać się trzeba będzie na nowo (który to już raz?), a zacząć właśnie od kupna maszyny. Czekam na pierwsze zdziwienia, na pierwsze kontakty.

Dziś mam już za sobą doświadczeń aż za dużo, podróże z kilkoma dolarami w kieszeni przez pół Europy. Wiedzę o tym ile czasu się czeka na wizę francuską, a ile na niemiecką, mając w kieszeni paszport polski. Tutaj ludzie mogą sobie pozwolić na luksus czekania, ale jeżeli mnie tak wypadło w sytuacji gołego przybysza — to to jest katastrofa. Jeżeli na wizę mam czekać pięć tygodni, a tymczasem nie mam prawa pracy i w majątku pięć dolarów — to to są dwie katastrofy. I chyba najbardziej przykre jest, że nikt właściwie tu na Zachodzie nie wierzy, że ja naprawdę nie mam więcej pieniędzy. W konsulatach patrzą na mnie z uśmiechem: chytry facet, czego to nie wymyśli, żeby tylko prędzej tę wizę dostać.

Dziwne, ale stale, codziennie odkrywam na nowo prawo psychologiczne, które bym nazwał prawem pesymistycznym pamięci. Nie odczuwam żadnej nostalgii. Nic z tego, co mnie nękało w latach ostatnich wojny i po wojnie, spędzonych na Zachodzie. Wcale nie widzę zielonych grusz na miedzy, żadna dzięcielina mi nie pała. Im dalej, im dłużej, tym bardziej wydaje mi się nieprawdopodobne, że byłem w stanie przeżyć kilkanaście lat w tamtym ustroju, w tamtych czasach. Gdy dziś oglądam się wstecz widzę kłamstwo, załganie, demagogię, kontrasty rzadko gdzie indziej spotykane, nędzę przedmieść i małych miasteczek, zatłoczone czynszowe kamienice, kolejki, chamstwo. Produkty ustroju, który miał stworzyć nowe warunki i nowego człowieka. I stworzył.

Jeżeli zaczynam historycznie i wspominkowo, to należałoby pewnie powiedzieć kiedy powstała myśl opuszczenia kraju. Pytanie niezmiernie trudne. Myśl taka przychodzi przecież chyba każdemu do głowy po parę razy do roku. I nie mało ludzi ten pomysł realizuje. Wyjeżdżali dotąd ludzie zasłużeni w pracy partyjnej, mający dostęp do niejednej tajemnicy, ale chyba dopiero ucieczka córki Stalina uchyliła jakąś niewidoczną granicę górną: dokąd, do jakiego poziomu wolno uciekać. Cóż więc mówić o ludziach szarych, jak ja?

Ilekroć jednak nie przyszłaby myśl o wyjeździe, to jest jakiś jeden moment, w którym człowiek musi sobie powiedzieć: dosyć, dalej już nie można. Myślę, że u mnie ten moment nastąpił w dość niezwykłych okolicznościach. Było to w Pradze, w dniu święta Ludowego Wojska Polskiego. Wystawę w czechosłowackim Muzeum Wojska otwierał ambasador Mazur w obecności miejscowych ministrów, wyższych wojskowych i polskiego attaché militaire, generała Witaszewskiego. Stojąc z dala od grupy oficjeli usłyszałem zza stojaków z fotografiami radosny chichot. To śmiał się generał Witaszewski, wtórował mu Mazur, rżeli Czesi. Śmieli się, bo Witaszewski opowiadał im właśnie jak bardzo on sam się śmiał w 1944 roku stojąc na praskim brzegu Wisły i patrząc jak alianckie zrzuty broni dla Powstańców, lądowały na niemieckich ulicach. On się w t e d y śmiał.

Było to niewiele po Październiku, kiedy byliśmy skłonni jeszcze raz, chyba ostatni, uwierzyć w dobre intencje, jeśli wypuszczono więźniów politycznych, „ułaskawiono" żołnierzy AK i żołnierzy z Zachodu, jeśli podjęto próby uczynienia życia bardziej znośnym, usunięto stalinowców: Bermana, Rokossowskiego, zesłano Mazura, Witaszewskiego. — Ten śmiech Witaszewskiego był dla mnie dowodem, że nic się nie zmieni. A skoro ma znów wrócić do stanu poprzedniego, to dla mnie nie ma tam miejsca.

Z takiego nastroju powstała pierwsza książka Flemminga, w której chaos spostrzeżeń miał oddać chaos rzeczywistości. Książka prawdziwa w każdym fakcie. Czy jednostronna? — jak chcą niektórzy jej krytycy. Chyba nie, bo tak wygląda codzienność w Polsce i tak wyglądają wyniki dwudziestu lat rządów partii. Nie ma u mnie rzeczywistych osiągnięć? To nie moje zadanie. Jest dosyć krajowych wydawnictw propagandowych, które to robią lepiej ode mnie, a ich redaktorzy wychodząc z redakcji zaczynają żyć w Polsce Mało Znanej.

Sprawa jest, mimo Października, mimo rzekomych reform i zmian, dziecinnie prosta. Jeśli jestem Anglikiem, Francuzem, Niemcem, Szwajcarem — mogę wyjechać do innego kraju, mieszkać, pracować, wrócić kiedy zechcę, odwiedzić swój kraj, swoje miasto. Jeśli jestem Czechem, Polakiem, Rumunem — muszę

decydować, wybierać, między życiem tam, a tu. Ta decyzja najbardziej bolesna ze wszystkiego, co przechodzi się przy przekroczeniu Elby, jest w tym wypadku koniecznością. Czy samo to nie załatwia wszystkich mitów o cywilizowaniu się ustroju nazywanego socjalistycznym?

◆

Mam za sobą już wszystkie operacje towarzyszące zostaniu za granicą: spowiedź u azylodawców prawie dokładnie rok temu, — nowy paszport — travel document — pozwalający mi przejeżdżać granice bez wiz. Mam też za sobą już kawałek wykonanej pracy — nazwijmy to — publicystycznej.

Od dwóch i pół miesiąca, od wyjazdu do Izraela w połowie czerwca występuję już jako ja: Jerzy S. J. Dzialak — tak mnie poznali moi nowi izraelscy przyjaciele. Nie wiele wolno mi było robić w ciągu moich osiemnastu lat w Kraju. Zacząłem na nowo jako

George J. FLEMMING

Z wizytą u agresora

W czerwcu Turcja zamknęła Bosfor i Dardanele. Morze Czarne zostało pozbawione naturalnego wyjścia dla całej handlowej i wojennej floty sowieckiej. Nie pomogło tłumaczenie, że cieśniny tureckie są wodami międzynarodowymi — Turcja upierała się przy swoim. Rosjanie musieli interweniować, by utrzymać swobodę swej żeglugi. I nic nie byłoby w tym niejasnego.

Na szczęście dla Związku Sowieckiego nie chodziło tym razem o Bosfor i Dardanele, lecz o Zatokę Akaba, której wylot: Cieśnina Tirańska, uznana została nagle przez Zjednoczoną Republikę Arabską za swoje wody terytorialne. Inaczej niż w wypadku cieśnin tureckich — Zatoka Akaba otoczona jest przez cztery państwa mające nad nią swoje porty: ZRA, Jordanię, Arabię Saudyjską i Izrael. Zastrzeżenie co do swobody żeglugi dotyczyło wspaniałomyślnie tylko floty Izraela.

W dniu 6 czerwca warszawskie gazety doniosły o bombardo-

waniach Haify, Tel Avivu, o zwycięstwach wojsk arabskich otaczających z trzech stron państwo Żydów. Następnego dnia Amman podał, że 500 Izraelczyków zostało zabitych i rannych w Jerozolimie od artyleryjskiego ostrzału, i o wielkim sukcesie w walkach w mieście; równocześnie TASS podaje o zajęciu miasta arabskiego przez wojska Izraela. Na czym polega sukces? Jeszcze nie wiadomo.

8 czerwca komandosi egipscy operujący z terenu Jordanii podobno wysadzili most między Jerozolimą a lotniskiem El Al w Lyddzie, a wojska syryjskie posuwają się szybko w kierunku Nazaretu.

9 czerwca komunikat syryjski donosi o skutecznym ostrzeliwaniu pogranicznych kibuców, które przecież powinny chyba być od dawna zajęte, jeżeli walki mają się toczyć koło Nazaretu. I zaledwie w dwa dni później radio Damaszek podaje o zajęciu Kuneitry przez wojska izraelskie — miasta położonego o 65 km od Damaszku.

Po wielkich zwycięstwach egipskich na froncie synajskim — wojska izraelskie cofnęły się (widocznie tak?) aż nad Suez, zostawiając za sobą cały i zniszczony sprzęt wojskowy egipski produkowany nad Wołgą, Donem i za Uralem.

Od tego czasu rozpoczęła się olbrzymia ofensywa krajów „obozu pokoju" w ONZ — dla uratowania tego co już do uratowania się nie nadawało: arabskiego prestiżu.

W Polsce i w innych demoludach zaczęły odbywać się zebrania protestujące przeciw agresji dwu i półmilionowego Izraela, który — historia bez precedensu — bez żadnej przyczyny rzucił się na studziesięciomilionową koalicję arabską — i ośmielił się wygrać w najkrótszej i najbardziej niszczycielskiej wojnie w dziejach.

Nie ulegają wątpliwości pokojowe intencje Arabów gromadzących na Półwyspie Synajskim sprzęt wojenny wartości 2 miliardów dolarów. Nie wolno zastanawiać się dlaczego wokół świątyń muzułmańskich i chrześcijańskich w starej Jerozolimie wojsko jordańskie ustawia działa, moździerze i karabiny maszynowe. Jest dla każdego jasne w rządzie i partii PRL i sąsiadów, że to były tylko działania obronne np. trzydziestomilionowego Egiptu przeciwko Izraelowi.

Prasa w Polsce z dnia 11 i 12 czerwca przynosi wiadomości o kolejnym zrywaniu stosunków dyplomatycznych z agresorem. Pojawiają się mrożące krew w żyłach wieści o okrucieństwach popełnianych przez wojsko i władze Izraela na Arabach wszelkich przynależności państwowych. O wysiedlaniach, zabójstwach, niszczeniu miast i wsi. Prasa w Polsce tym razem posługuje się doniesieniami agencji arabskich, chociaż w końcowym okresie sześ-

ciodniowej wojny zaczęła dawać wiarę raczej komunikatom izraelskim. Bo przynajmniej nie trzeba było ich dementować.

Do dziś w Zjednoczonej Republice Arabskiej są w obiegu znaczki pocztowe gloryfikujące zwycięstwo arabskie w konflikcie 1956 roku, i nie ma pewnie obywateli nad Nilem, którzy by mieli pełną świadomość lania, jakie wtedy ich wojska otrzymały od Izraela. Czy tak będzie i tym razem?

Prasa kairska w drugim dniu najkrótszej wojny zamieściła zdjęcia pożaru sprzed kilku lat, dodając tylko nowy podpis, że to jest płonący Tel Aviv po egipskich nalotach. Trudno było widocznie przyznać się, że lotnictwo ZRA już wtedy nie istniało, a tymczasem w prasie całego świata (poza blokiem sowieckim i arabskim) można było zobaczyć fotografie spalonych MiG'ów, Lim'ów — myśliwców i bombowców, na własnych lotniskach, zanim mogły wykonać zadania nakreślone im przez dowództwo.

Ściśle tajne
Zjednoczona Republika Arabska
Kwatera Główna Sił Powietrznych Wschód

nr 35/3/1967/124
19. V. 1967.

Rozkaz nr 3/67.

1. Operacja ma na celu odcięcie południowego Negevu i zajęcie portu Eilat.
2. Poniższe operacje mają na celu wspomaganie Dowódcy Sił Lądowych:
   a. 27 lotów bojowych eskadry bombardującej z brygad powietrznych 2 i 12 z baz nr 259 i 248.
   b. 3 loty bojowe eskadry lekkich bombowców z 61 brygady znajdującej się obecnie w bazie nr 229.

i tak dalej aż do dyspozycji nr 7:
siły powietrzne zbombardują lotnisko w Eilat, stację radiową, składy paliwa...

podpisany Abd Al Hamid Abd Al Salaam — dowódca Sił Powietrznych Wschód.

Dalsze rozkazy są dokładniejsze, wymieniają MiG'i 17 i 21, IŁy i Suchoje, podają nawet, że port, obozy wojskowe, stacje filtrów, odsalania wody morskiej i składy paliwa mają być obrzucone bombami po 500 kg, 250 kg i napalmem (rozkaz nr 5/67, - 135/67/3/35).

Siły lądowe Syrii miały, tak jak i pozostali sojusznicy, rozpocząć natarcie 6 czerwca „na froncie szerokości 55 do 75 km; oś natarcia — 20 km, głębokość — 120-150 km, czas trwania operacji — 6 dni; tempo posuwania się — 20-25 km dziennie; wojska biorące udział — piechota i brygady pancerne; cel natarcia — poprzez Safed i Nazaret opanowanie składów i przetwórni paliwowych koło Haify". (Sprawdził się tylko czas trwania operacji: 6 dni — i to też nie tak jak zaplanowano).

Mimo zniszczenia lotniczych sił połączonych państw arabskich, mimo likwidacji pancernych brygad i dywizji przeciwnika — prasa arabska donosiła o spustoszeniu, jakiego dokonały bombowce w miastach Izraela. W sprawozdaniach płonął Tel Aviv, płonęła Haifa.

18 czerwca, sześć dni po zakończeniu działań wojennych, zmrok, szybki, nagły w tych szerokościach zmrok, zapadł nad Morzem Śródziemnym. Boeing 707 El Al'u nadlatywał nad wygwieżdżony światłami Tel Aviv. Żadnego zaciemnienia, neony, reklamy kin widoczne ze schodzącego do lądowania samolotu, kilku Żydów w jarmułkach, w szerokoskrzydłych kapeluszach modlitewnie wkrzykuje się w hałas silników. Lydda, lotnisko i miasto świętego Jerzego, nowoczesny port lotniczy — a potem szosa do miasta i wszechobecny zapach spalonego słońcem kurzu. Lekki, na Europę, garnitur parzy, robi się ciężki i lepki od potu. W hotelu klimatyzowany pokój, zimna woda, właściciel z Białegostoku, żona z Rygi, bagażowy z Mińska, też mówiący po polsku; przypadkowy gość, ułan 6 pułku z roku 1920, żołnierz armii francuskiej z 1940, żołnierz izraelski z pierwszej wojny 1948 roku. Mówi się tylko o jednym: o tylko co minionej wojnie. Nie ma euforii, nie ma zadufania po niebywałym zwycięstwie. Jest żałoba po poległych, jest cisza, oczekiwanie batalii o pokój, o załatwienie spraw, które już trzy razy do starcia doprowadziły. Ten nastrój jest wszechobecny, powszechny, narzucający się na ulicach, na plażach, w kawiarniach. Na bulwarze Dizengoff flanujące długonogie dziewczyny, młodzi żołnierze na przepustkach, starsi panowie, jak wyjęci z Ogrodu Saskiego, z restauracji na Bielańskiej — z tranzystorowymi radiami przy uchu. O siódmej, o ósmej, o dziewiątej, milkną orkiestry w hotelach międzynarodowych, cichną rozmowy — słucha się gardłowo wyrzucanych wiadomości dziennika Kol Izrael, izraelskiego radia, echa skomplikowanej gry politycznej referowanej w języku Tory i Biblii.

Przed każdym domem u wejścia barykada z worków z piaskiem przeciw odłamkom bomb, które nigdy nie spadły, bo nie wystartowały u opalonych skrzydeł; na pustych placach zakosy rowów przeciwlotniczych; na szybach iksy białych pasków papieru. I cisza. Żałoba. Dla dwu i półmilionowego narodu 2.000 zabitych i rannych to wielka strata — nie ma nikogo, kto by nie miał wśród zabitych lub rannych znajomego: syna przyjaciół,

siostrzeńca, kolegi. Z jednego wydziału politechniki w Haifie nie wróciło 6 asystentów i kilkunastu studentów. Zginęli po to, żeby nie były potrzebne schrony i rowy przeciwlotnicze, żeby nadgraniczne kibuce mogły żyć i pracować i żeby nadal brzmiał na ulicach język Abrahama, Izaaka i Dawida.

Jerozolima w czerwcu

Szerut, siedmioosobowa taksówka, odchodzi z rogu ulicy Allenby i bulwaru Rotszylda. Trzy i pół funta izraelskiego ma zabrać mnie w świat Starego i Nowego Testamentu, Krzyżowców, tysięcy lat historii. Najdziwniejsze miasto na świecie, gdzie koło grobu Heroda wznosi się nowoczesny hotel King David, w którym nad kawą siedzi ktoś, czyja twarz od tygodni patrzy na czytelników z okładek wszystkich pism na świecie: generał Dajan. Od ruchliwych, hałaśliwych ulic nowej Jerozolimy, tylko parę setek metrów do starego miasta króla Dawida, gdzie w plątaninie wąskich uliczek kefie arabskie mylą się z kwefami zakonnic wszystkich wyznań. Jeszcze miasto jest podzielone, a granice wyznaczają nie tylko posterunki, lecz i świeże ruiny domów zniszczonych jordańskim ogniem artyleryjskim. Koło bram: Damasceńskiej, Mandelbauma, Jaffskiej — kopce kamieni pomazanych krwią, skrzydełka spadochroniarzy, przestrzelony hełm, potrzaskany automat. Groby poległych żołnierzy izraelskich walczących tu bez wsparcia własnej artylerii ani samolotów. Żeby nie niszczyć świętych miejsc. Z Via Dolorosa, od muzułmańskiej Świątyni Skały, z Góry Oliwnej wstrzeliwały się w atakujących moździerze, bazooki, strzelcy wyborowi. Od góry Syjon, od grobu Dawida i Wieczernika, parli Izraelczycy wzdłuż murów pamiętających Krzyżowców i Sulejmana-Wspaniałego, ponad Doliną Gehenny, ku miejscu najświętszemu dla wszystkich Żydów — Ściany Płaczu. Z otaczających wzgórz Jordańczycy ostrzeliwali nową Jerozolimę, pęka witraż Chagalla — ale 7 czerwca jest po wszystkim: generał Dajan wciska w szczelinę muru, świątyni Salomonowej zwitek papieru na którym wypisał słowo: SHALOM — pokój, jako swą jedyną prośbę do Jehowy. Wśród 500 zabitych i rannych w nowym mieście większość to ludność cywilna, ale wojska Izraela są już w Bethleem, Hebronie, Nablus, dotarły do Jordanu, na którym uciekający nieprzyjaciel wysadził w pośpiechu mosty.

Wąska ścieżka między białymi taśmami odgradzającymi pola minowe — tysiące wiernych ciągną ku Ścianie Płaczu. Lisie czapy chasydów z Mea She'arim, dzielnicy Stu Bram, mieszają się z szeroko-skrzydłymi kapeluszami żołnierzy z kibuców, po bokach, na

dachach, żołnierze pilnują pochodu: w Jerozolimie pozostali jeszcze jordańscy snajperzy. Co dzień przybywa tłumu, który robi się coraz bardziej kolorowy od amerykańskich turystów; pod bramami starego miasta pojawiają się auta ze znakami rejestracyjnymi Europy. Za kilka dni cała Jerozolima, połączona decyzją parlamentu, stanie otworem dla wszystkich.

Jest piątek, pierwszy piątek po wojnie: z nowego miasta, z Nazaretu, ciągną ku Świątyni Skały izraelscy muzułmanie, by po raz pierwszy od dziewiętnastu lat paść na twarz przed skałą, z której Mahomet wzniósł się do nieba.

W niedzielę u bramy Damasceńskiej tłoczą się chrześcijanie izraelscy, pod łukami łączącymi domy nad wąwozem Via Dolorosa, idą przez Stacje ku Świątyni Grobu. Pierwszy raz od dziewiętnastu lat. Oglądali święte dla nich miasto ze wzgórz okolicznych, z dachu Nôtre Dame. Całe pokolenie urodziło się o kilkaset metrów od Grobu Świętego, o 6 km od Świątyni Narodzenia — Arabowie-chrześcijanie, znający owe miejsca tylko z fotografii, opowiadań.

Do Jerozolimy jedzie się krętą, górską drogą, wspina od poziomu morza na 600 metrów, wśród zieleni pomarańczowych drzew, plantacji kibucowych i prywatnych, na których wirują spryskiwacze, krążą traktory. Za Jerozolimą — Judejska Pustynia Jordanii — wyschnięte wadi, czerwona żółtość skał i piasku, na szosie i obok niej spalone ciężarówki, czołgi, transportery, produkcji angielskiej, amerykańskiej — droga ucieczki rozbitej armii. Wyprzedzamy dziesiątki autobusów zapełnionych uciekinierami, na dachach toboły pościeli. Koło Jerycha pochód uchodźców gęstnieje — tu przy moście Allenby zbierają się mieszkańcy wyludnionych wsi. Rozmawiam z Arabami, mówią prawie wszyscy po angielsku. Dlaczego uciekają? czy są wypędzani? Nie. Przyczyny są różne: rodzina w Ammanie, mąż w Kuweicie, praca w tym czy innym szeikacie naftowym. Któryś bardziej szczery — inni obok przytakują — mówi wprost, że nie wie, czy na terenach zajętych przez Izrael dostanie pomoc z UNRRA'y, a w Jordanii na pewno. Także Kuweit, gdzie ziemia tryska płynnym złotem, przyrzekł pomoc pieniężną. Czy chcą wrócić do swych stron? Nie wszyscy. Niektórzy tylko jadą po rodzinę za Jordan i wrócą do rodzinnego Hebronu, czy Jerozolimy. Inni zostaną po drugiej stronie. Na traktowanie złe i okrutne skarżyć się będą dopiero po drugiej stronie, by wzbudzić współczucie widocznie opłacalne — na razie chętnie korzystają z pomocy żołnierzy izraelskich niosących im bambetle, dzieci, staroświeckie maszyny do szycia. Kilkanaście metrów Jordanu przechodzą po deskach rzuconych na utopione w płytkiej rzece wysadzone przęsło. Po drugiej stro-

nie czekają na nich autobusy jordańskie, podrożałe dziesięciokrotnie od popytu — zawiozą do obozów dla uchodźców, gdzie dalej można będzie nic nie robić, żyć na koszt współobywateli, na łasce miliarderów-szeików. Pomoc krajów „obozu pokoju" pójdzie znów na nowe czołgi, samoloty, działa — Arab-rolnik jej nie zobaczy w innej formie.

Potok ludzki przewala się na drugą stronę — pięć tysięcy dziennie, dziesięć tysięcy, wreszcie słabnie: kto chciał odpłynął potykając się na nierównym moście do wątpliwej przyszłości. Żołnierze izraelscy chcieli zbudować obok drugi most, pontonowy dla uciekinierów, dla wracających — Jordańczycy ich ostrzelali. Stukały przez kilkanaście minut automaty ponad rzeką Jana Chrzciciela — umilkły i zostało po dawnemu. Tutaj, 400 metrów niżej poziomu morza, słońce pali najmocniej, pod daszkiem stacji benzynowej, pod jedynym drzewem, pod rozpiętymi płachtami czekają ludzie na przejście. Coraz ich mniej w tamtą stronę. Po odpływie następuje przypływ. Na razie ciekną z powrotem cienkim strumyczkiem, wracają do porzuconych oaz koło Jerycha, Nablusu. Czas na zbiory bananów z plantacji nad Wadi Farja. Na zboczach wzgórz dojrzewają oliwki — urodzaj zapowiada się wyjątkowy. W oazie koło źródła figami handluje arabska rodzina — kupuje izraelski patrol, kupujemy i my. Za izraelskie funty. Pierwszy arabski dom po drodze, który odpowiada pojęciu, jakie się z tym słowem wiąże: ma drzwi, okna, niskie tapczany i więcej niż jedną izbę. Inne napotykane w mijanych wsiach — to cztery ściany ulepione z gliny wypalonej słońcem, przykryte nierzadko liśćmi, lub niezdarną dachówką, żółte jak krajobraz, z którego wzięły swój początek. W jednej izbie mieścił się właściciel z żoną, albo żonami, dziećmi, których liczby nieraz nie znał, z dobrze policzonymi owcami. Czy znał on znaczenie słowa ojczyzna? co wiedział o Husseinie, o jego układzie z Nasserem? o sowieckiej grze politycznej, której miał paść ofiarą? Dla niego ojczyzna była wąziutką oazą, skrawek ziemi uprawiany jak za Hedżry, zależność od bezlitosnej przyrody, której nie umiał, czy nie chciał zaprząc do pomocy. Jeśli wyjdzie stąd — nową ojczyzną będzie mu barak obozu dla uchodźców gdzieś pod Ammanem, może obszerniejszy, z dostatkiem wody i pożywienia, a bez pracy.

W pustce kamienistej pustyni, wśród zamkniętych skałami wzgórz horyzontów, na szosie Arab na osiołku. Na szyi zwierzęcia wielkie puszki po amerykańskich konserwach napełnione nagrzaną słońcem wodą. Czas wydaje się nie mieć tu znaczenia, odległość mierzy się powolnym krokiem osła, rytmicznym obijaniem mu boków materiałem pędnym — ułamanym gdzieś patykiem.

Obok opustoszałej wioski pierwsi Beduini. Zwiedzieli się już o nowych pastwiskach, przyszli spiesznym marszem spod Beershevy, nie zajmują pustych domów — zwlekli skądś gałęzie, bananowe liście na szałas. Pilnują wielbłądów, stada czarno-białych owiec — stoją nieporuszenie w swych czarnych dżellabach: Cyganie Bliskiego Wschodu.

W Nablus życie toczy się normalne. Na bazarze stragany z owocami. W otwartych restauracjach talerzyki z techiną i sterty pity — arabskich placków. Na progach domów starzy i młodzi pociągają nargile. Tranzystorowy aparat wyrzuca z siebie monotonny śpiew na zmianę z komunikatami Ammanu. Słuchają leniwie, patrzą bez ciekawości na nieliczne patrole izraelskie na jeepach. Jest już handel, przyjadą turyści — nic się nie zmieniło.

Tu już nigdzie nie widać śladów walk. Jakiś postrzelany dom, piegowata od odłamków ściana — to wszystko. Ku Ramallah droga wije się wśród lasów oliwnych, gęsto zamieszkałych wsi — tu z okolic bogatszych nikt nie uciekał. W Ramallah przed prześlicznymi orientalnymi willami stoją Cadillac'i, Buick'i — wsiadają do nich panowie w czarnych garniturach, panie w sukniach z Paryża. Nic się nie zmieniło. Panowie jadą ku Jerozolimie, podają przez okno przepustki izraelskim posterunkom. Jeszcze kilka dni i będzie wszystko zwyczajnie. Tyle że król Hussein przestał być dla nich — na krótko, czy na zawsze — królem. Czym jest dla nich ojczyzna? chyba tylko pojęciem związanym z miejscem, gdzie kwitnie business. Obojętnie mijają dziesiątki spalonych jordańskich czołgów rozsypanych pojedynczo i grupami wzdłuż drogi do Jerozolimy. Okazało się, że wojna nie jest interesem. Wygrana pewnie tak. Ale przegrana? trzeba się przystosować do nowych warunków. Z Izraelem też da się żyć.

Tel Aviv w czerwcu

W Polsce elementarz zaczyna się zazwyczaj od prostego sformułowania światopoglądowego: Ala ma kota. Inaczej jest w Zjednoczonej Republice Arabskiej. Obok odpowiedniego rysunku wyjaśnienie w czytanych od prawej do lewej sznureczkach: Żyd to pies.

Rozkazy do wojsk arabskich zgromadzonych na Synaju, na syryjskich wzgórzach, nakazywały żołnierzom „absolutną bezwzględność", obiecywały bogactwo żydowskich domów i sklepów, kobiety, mięso. Jeśli obietnicy nie dotrzymały — nie ich wina.

Ulotki rozdawane wojsku przedstawiały plażę w Tel Avivie — Żydów po szyję w wodzie, a na brzegu zwycięskich żołnierzy ZRA stąpających po sztandarach z gwiazdą Dawida, zadowolo-

nych z siebie, z sowieckiej broni i SS-mańskich doradców ideologicznych i wojskowych.

Przerwa obiadowa trwa w Izraelu od 1 do 4 po południu i w tym czasie tysiące Żydów tkwią rzeczywiście po szyję w wodzie, a Arabowie stoją na brzegu, tyle że Kanału Suezkiego. Wąska piaszczysta plaża i nadmorski bulwar zaludniają się tysiącami młodych i starych — w licznych kawiarniach siedzą stateczniejsi nad *gefilte fisz* lub *espresso*. A jedynym śladem jakiejkolwiek zmiany to forma mówienia: „przed wojną" i „po wojnie". Przy czym ma się na myśli owe sześć dni.

Dziwna to była wojna, nie tylko na froncie. Dziwniejsza jeszcze w swych odczuciach i wynikach — na bliskich tyłach. 12 km na wschód od Tel Avivu znajdowały się jordańskie wojska — nie w wyniku działań wojennych, lecz wytyczania granicy roku 1948. Miejsca zbyt mało, żeby nawet ugrupować w głąb dywizję; miejsca dosyć, by w ciągu paru godzin czołgi arabskie dotrzeć mogły do Morza Śródziemnego. Na tych dwunastu kilometrach tutaj i na innych izraelskich cieśninach lądowych kraju o kształcie arabskiego sztyletu-szabariji — panował spokój. Ani w tygodniach, pełnych napięcia, poprzedzających wojnę, ani w dniach akcji, nie było popłochu, nie było szturmu na sklepy, nie skoczyły w górę ceny, nie zniknął z rynku cukier, ani sól. Ludzie chodzili normalnie do pracy, by pracować więcej niż zwykle: zastąpić powołanych do wojska kolegów, braci, synów. To nie była rezygnacja otoczonego SS-manami Getta, lecz raczej świadomość, że inaczej nie można.

Właściciel kawiarni, uratowany przez Polaków z warszawskiego Getta, wezwał w pierwszym dniu wojny do siebie swego arabskiego pracownika — postawił przed nim i przed sobą filiżanki kawy — i powiedział: pracujesz u mnie kilkanaście lat i będziesz pracował dalej — jesteś dla mnie bratem i nie trzeba byś się czegokolwiek z naszej strony bał.

Arabowie izraelscy, pozbawieni są tylko jednego prawa, które nie wydaje się im przeszkadzać: służenia w wojsku izraelskim. Wyjątkiem są muzułmańscy Druzowie, bardzo liczni w szeregach służby granicznej. Arabowie izraelscy okazali się lojalnymi obywatelami czy to w zaułkach starej Jaffy i Nazaretu, czy w bazarach Akko-St. Jean d'Acre i biurach nowej Jerozolimy. W czasach *prosperity* izraelskiej dzielili radości nowego państwa — dzielili trudności i niebezpieczeństwa nowej konfrontacji z ościennymi braćmi krwi.

Potomkowie Izraela i Izmaela szli przez wieki drogami rozchodzącymi się coraz bardziej. Jedni od lat prawie dwóch tysięcy rozsypali się po całym świecie, zachowując język święty, religię i obyczaje — drudzy, synowie cywilizacji, która była matką astronomii, matematyki i nowoczesnej medycyny, przybyli na opróżnione miejsce i zostali na nim, nie posunąwszy się cywilizacyjnie naprzód od czasów Saladyna. Została im wspólność bliskich swym rdzeniem języków semickich.

Czy wspólność tę można rozszerzyć, nakłonić obie strony do życia łącznego. Izraelczyków namawiać do tego nie trzeba. Widać to na każdym kroku, w każdej niemal rozmowie. Nie ma, nie znajduje się tu nienawiści do Arabów, a jeśli się ją znajduje, to tylko u ludzi, którzy na wschodnich brzegach rzymskiego Mare Nostrum znaleźli się w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Ale ci nie są typowi dla Izraela roku 5727, roku kalendarza hebrajskiego.

Nikt na dobrą sprawę nie wie, ilu Arabów Palestyńskich znajduje się w Gazie i El Arisz. Było ich przed dziesięciu laty podobno 350 tysięcy. Ale nie ma danych — których dostarczyć może dopiero nowy spis ludności — ilu tam zmarło pod opieką ONZ, i ilu przyszło na świat, znających tylko jeden rodzaj pracy: stanie z miską po pokarm dawany z łaski światowej organizacji. Nie wiadomo więc ilu potencjalnych wrogów przysporzył Izraelowi ONZ z pełną wiedzą egipskich współobywateli. Przez owe minione dziesięć lat kibuce wydzierały pustyni coraz to nowe hektary ziemi, linie lotnicze sięgały po Stany Zjednoczone i Afrykę Południową oblatując łukiem tysiąckilometrowym swych sąsiadów, na pustyni powstawały nowe miasta, rósł przemysł, nawet nuklearny, wyrastali młodzi uczeni, pionierzy, żołnierze-amatorzy bijący wyobraźnią sowieckoszkolonych arabskich marszałków. Kraj żył, i rósł pozbawiony naturalnych rynków, stosunków, w otoczeniu wrogim i nienawistnym, biednym nędzą fallachów i bogatym bogactwem naftowym. Kraj ateistycznych kibucników i babilońskich chasydów z Polski, Czechosłowacji, Węgier. Na Bliskim Wschodzie powstała w ciągu dwudziestu lat oaza, w której nie czekało się na Allaha, na Jehowę, lecz pracowało.

Sabra to częsty w Izraelu kaktus o owocach cierpkich, rosnący wśród kamieni, czerpiący wodę z suchej gleby. Sabra — to nazwa Izraelczyka urodzonego w tym kraju, umiejącego z suchej gleby strzelić pomarańczowym gajem, wskrzesić od dwóch tysięcy lat zapomniany a ożywiony przez Ben Jehudę język, przystosować go do czasów fizyki atomowej i samolotów odrzutowych.

Spotkany w jordańskiej oazie patrol wojsk izraelskich, to byli w większości sabry. Przeprowadziłem wśród nich ankietę: był wśród nich Anglik, południowy Afrykańczyk, Rodezyjczyk, Afgańczyk z Kabulu, Żydzi marokańscy, polscy, rosyjscy, litewscy, rumuńscy. Na ulicy Ben Jehuda gazety i papierosy sprzedaje Żyd z Liptowskiego Świętego Mikulasza, pamiątkami handluje lwowiak, dwie siostry w sklepie jubilerskim pochodzą z Wilna, taksówkarz wiozący mnie do redakcji *Maariv*, mówił po polsku

choć był z Kowna. Ludzie tworzący z wiedzą czy bez: nowy naród z wielonarodowej diaspory.

Każdy naród powstaje powoli. Wytwarzają się pewne wspólnoty kulturalne, językowe, obyczajowe. W ciągu setek lat. Znamy to z Europy. Ale oto na naszych oczach jak w odległej galaktyce powstająca gwiazda, tworzy się naród, rozpierzchły od Ziemi Ognistej po Władywostok i od Cieśniny Beringa po Capetown. I w tym procesie narodo-twórczym owe sześć dni odegrało rolę epoki geologicznej. Nie było popłochu, nie było inflacji, nie zabrakło w sklepach cukru ani soli. Poza frontem, na tyłach swej młodej armii powstawał naród.

Spokój to, może charakterystyczny, ale tylko objaw. Ale w ludziach, którzy korzeniami tkwią w swych niedawnych ojczyznach nad Dunajem, Wisłą, czy Renem — rosła nowa ojczyzna jak w Biblii, od Dan do Beershevy i jak dziś od Haify do Eilatu. Młode narody lubią wojsko, swoje wojsko — ale wojsko izraelskie nie lubi munduru. Toteż nikt nie potrafi powiedzieć ilu wśród wałęsających się po Tel Avivskich bulwarach przed chwilą zdjęło łaciaty kombinezon spadochronowy, nałożony z własnej woli i wyboru, na ochotnika. Oni nie chcą się obnosić ze swym patriotyzmem: słowem na którego dźwięk krzywią się niechętnie. Nie o to chodzi: trzeba było *tak*. Prawdziwy lub fałszywy patriotyzm zostawiają kawiarnianym paniusiom, które niewiele dla nowej ojczyzny zrobiły poza dbałością o własny dom, ale nauczyły się pielęgnować prowincjonalne szowinizmy, które nieznane są młodemu pokoleniu, nie nawykłemu do wielkich słów.

Od dziewiętnastu lat pograniczne kibuce były obozem wojennym. Specjalnie dla nich produkowano opancerzone traktory do uprawy jak najbardziej pokojowych roślin. Pod ziemią znajdowały się kibucowe jadalnie i świetlice, gdzie młodzież po pracy twistowała. Ze wzgórz wznoszących się o kilkaset metrów ponad żyznymi z woli pionierów dolinami — artyleria syryjska miała na celowniku każde zabudowanie, każdy zagon i każdą plantację. Przez całe dni rozlegały się wybuchy z owych wzgórz rozsadzanych trotylem przez zdobywców, owych młodych ludzi o niewielu słowach, którzy w dolinach zostawili swe spalone czołgi szturmujące trzystumetrowe wzgórza. Całe bataliony pancerne porozumiewały się fonią po polsku, językiem niezrozumiałym dla arabskich przeciwników siedzących w syryjskiej linii Maginota. Wzięci do niewoli sowieccy doradcy dziwili się niepomiernie swym rosyjskomówiącym przeciwnikom: *Wot, polityka, odnych wysyłajut w Syriu, drugich k'Jewrejam*. Na drogach Galilei, w Nazarecie, Kanie, u stóp góry Tabor trwa sowiecki salon samochodowy. ZIM'y, ZIŁ'y, GAZ'y, czołgi T34, T54, działka ppanc. jadą

o własnych siłach, albo na platformach na południe: do izraelskich koszar, lub do wysokich pieców jako złom. Dawno nie widziane ośmiotonowe czeskie Skody, ciągniki artyleryjskie znad Wełtawy i Sazawy — uzupełniają pokaz. Im dalej w głąb Syrii tym więcej śladów fosforowych pocisków, napalmowych bomb zwęglających wkopane w ziemię forty, w których arabscy oficerowie zamykali swych podkomendnych przy działach i karabinach maszynowych. Dziś nie ma śladu po syryjskich fortyfikacjach. I pograniczne kibuce po raz pierwszy od lat dziewiętnastu mają spokój. Ludzie nareszcie jedzą południowy posiłek w cieniu drzew, a nie w piwnicach, a w pole wyjechały najzwyklejsze w świecie traktory.

Z nisko lecącego samolotu widać jak na dłoni Gazę, El Arisz, mrowiących się w dole ludzi, kilka leji na polowym lotnisku, odstrzelony radar, a potem dziesiątki kilometrów pustyni, aż po wąski pasek Suezu. Tu wzdłuż dróg pozostały tylko czołgi i samochody nie nadające się do użytku — resztę zabrano już dla wzmocnienia własnego zaopatrzenia. Lecimy wzdłuż Suezu, lecz w odległości na tyle bezpiecznej, by nie mógł dosięgnąć nas ogień artylerii przeciwlotniczej. O rakiety nie ma zmartwienia: zostały na Synaju, nawet nie wypróbowane — łącznie ze sposobem użycia po rosyjsku i po arabsku. Skręcamy na wschód — pod nami przełęcz Mitla — wąskie gardło: cmentarz egipskich wojsk pancernych. Tutaj leżą rozpłaszczone sowieckie czołgi, pancerne transportery, działa szturmowe — wynik ułańskiej szarży izraelskich czołgów i lotnictwa. Na horyzoncie pojawia się Sharm el Sheih — biało-niebieska flaga z gwiazdą Dawida nad bateriami przybrzeżnymi, które miały zatrzymać izraelską żeglugę. Zatoka Akaba — cicha i spokojna — błękitne wody u żółtych brzegów — nie rozróżnisz z tej wysokości gdzie Jordania, gdzie Izrael, gdzie Arabia Saudyjska. Nowoczesny port Eilat. Jeszcze godzina i wracamy do hotelu *Dan* w Tel Avivie na tartą wątróbkę i Goldstar beer. Jest wczesne popołudnie: Izraelczycy siedzą po szyję w Morzu Śródziemnym, Arabowie za Suezem, a stateczni panowie w białych koszulach rozstrzygają przy czarnej kawie i soku owocowym taktyki i strategie pokoju na zawsze. *L'ordre règne à Tel Aviv*. Nie tak jak w Warszawie.

Jerozolima w lipcu

Pierwszą jaskółką otwartej starej Jerozolimy — połączenia rozdzielonego miasta, są Arabowie obsiadujący w kucki skrzyżowania ulic, cieszący się nieznanymi światłami regulacyjnymi. Przyszli tu rodzinnie: z żonami, dziećmi. Wchodzą do sklepów, zawie-

rają znajomości z właścicielami nad szklanką grapefruitu, handlują angielskimi długopisami, czeskimi ołówkami, muzułmańskimi różańcami — wszystko za jednego funta izraelskiego. Zaczynają już docierać do Haify i Tel Avivu, pełno ich w autobusach, pociągach, szerutach. W drugą stronę trwa wędrówka Żydów. Do starej Jerozolimy, do bazarów. Starzy i młodzi mieszkańcy chasydzkiej Mea She'arim o imponujących pejsach do ramion, nie uznający państwa Izrael, nie uznający znaczków pocztowych — uznają jednak walutę i handlują aż furczy, porozumiewając się po arabsku i na migi. Lisie czapy siedmnastowiecznej szlachty polskiej, które zawędrowały aż tutaj — pochylają się nad wystawionym arabskim towarem. Z ręki do ręki przechodzą pieniądze nie uznawanego państwa.

Przed Ścianą Płaczu młody człowiek blady, ascetyczny, zanosi się hymnem o słowach przedwiecznych, wśród których powtarza się co chwila słowo Adonai. Dwaj inni w czarnych kapeluszach i chałatach patrzą mu uważnie na usta — dopadają co chwila jakimś nieznanym tekstem, wdzierają się w jego modlitwę obcym zaśpiewem. Młody człowiek wygląda jakby miał za chwilę wznieść się ku górze. Po drugiej stronie Ściany — Świątynia Skały, cudowny meczet zbudowany ze złota i błękitu. Po środku skała, zwykła surowa skała jerozolimska, na której Abraham miał ofiarować Izaaka, z której wzniósł się do nieba Eliasz i Mahomet, studiujący tu w miejscu Pierwszej Świątyni, mądrości Salomonowe. Z tyłu, za muzułmańskim przybytkiem, zamurowana Złota Brama, przez którą do Jerozolimy ma wejść Mesjasz. Strzegą jej u progu Doliny Jozafata groby ciekawych proroków i świętych dwóch religii: żydowskiej i chrześcijańskiej — Jakuba, Zachariasza, Jozafata i Absaloma. A dalej Góra Oliwna — Getsemani, ze zrujnowanym żydowskim cmentarzem pod szczytem, z którego nagrobki posłużyły Jordańczykom do budowy wojskowych latryn. Tu i na Górze Scopus walki były najcięższe — świadczą o tym liczne leje po bombach i granatach, rozjechane czołgami mury i żywopłoty.

Jest wieczór. Zapada podzwrotnikowy szybki zmrok. Stara Jerozolima, pomarańczowieje w zachodzącym słońcu. Przyjaciel pokazuje zataczając krąg ręką: tam Świątynia Grobu, tu bliżej Kubet es Sachra, meczet el Aksa o srebrnej kopule, a za nim resztki murów Drugiej Świątyni. Dalej znów Góra Syjon z Wieczernikiem, z Grobem Dawida. Gdzieś, stąd niewidoczna, wije się wśród ciemnych już uliczek Via Dolorosa, ku której szli ludzie zbrojni wiedzeni przez Piotra z Amiens i opata z Clairvaux. A przez całą Europę niósł się jeden krzyk: Jeruzalem wyzwolona.

Jerozolima została po latach dziewiętnastu zjednoczona przez żołnierzy Izraela, co zostało potwierdzone uchwałą Knessetu, parlamentu, w nowej Jerozolimie. Po raz pierwszy nie z winy Żydów odcięci od swych miejsc świętych, mogli je odwiedzić obywatele izraelscy innego niż mojżeszowe wyznania, i po raz pierwszy do swych synagog obróconych na mieszkania i restauracje weszli Żydzi. Czy tak zostanie? Czy tak ma być? Przyszłość musi stać się wynikiem rozsądku i umiarkowania w decyzjach, które podjęte być muszą chyba tylko w bezpośrednich pertraktacjach między Izraelem i Jordanią.

Na wieść o zajęciu przez wojska izraelskie świętych miejsc chrześcijańskich, Papież wystąpił z projektem umiędzynarodowienia starej Jerozolimy. Sprawa może słuszna w teorii, trudna będzie w wykonaniu, bo kościół katolicki niewielką ma tam cząstkę, a do uregulowania pozostają sprawy religii innych: muzułmańskiej i żydowskiej, dla których Jerozolima jest miejscem nie mniej świętym.

Ale jeśli jest ktoś, kto ma najmniej do decydowania o sprawach przyszłości Jerozolimy — to kraj walczącego ateizmu i walczącego komunizmu, kraj dający broń w rękę arabską i budzący nacjonalizmy, miast godzenia — Związek Sowiecki.

G. J. FLEMMING

Sugestie

W okresie krótkiej wojny Izraela przeciwko Arabom, a jeszcze bardziej po niej, w prasie w PRL ukazało się niejedno przemówienie krajowych prominentów i odbyło niejedno zebranie protestacyjne przeciw... itd. Instrukcje sowieckie nie musiały być chyba zbyt dokładne, bo w przemówieniach, wstępniakach i rezolucjach było zbyt wiele uogólnień, a zbyt mało treści. Poniższe zestawienie podaję do druku z myślą o rozszerzeniu horyzontów towarzyszy z KC i autorów artykułów wstępnych. Jeśli z danych poniżej opublikowanych skorzysta także polska Komisja do Badań Zbrodni Hitlerowskich — będę się cieszył.

Ali Al-Nacher, czyli SS-Standartenführer Leopold Gleim, czynny w Gestapo w Polsce w okresie okupacji, skazany na śmierć zaocznie przez polski sąd; adres: Sikket al Badrashoin, el Harram, Kair. Zawód: szef tajnej policji egipskiej i zwierzchnik obozów koncentracyjnych na Pustyni Zachodniej, dla m.in. członków nielegalnej egipskiej partii komunistycznej.

Ben Salem, znany lepiej w Polsce z okresu wojennego jako Obersturmbannführer Bernhard Bender, jest szefem wydziału politycznego tajnej policji egipskiej i zamieszkuje pod tym samym adresem, co i jego zwierzchnik.

Hassan Hamid Sulejman, nazywał się dawniej Heinrich Selmann i był szefem Gestapo w Ulm w Niemczech. Obecnie jest jednym z filarów wywiadu egipskiego; mieszka: Zamaleq, Kair.

Louis al Hadj, czyli Louis Keiden, hitlerowski dziennikarz, przed wojną pracownik Reichsicherheitshauptamtu, a następnie szef nazistowskiej służby prasowej na kraje arabskie, odznaczył się jako tłumacz *Mein Kampf* na język arabski, na użytek egipskich i innych szkół oficerskich. Mieszka: Sharia Affas, Heliopolis, Kair.

Salah Shaffar był pod swym własnym nazwiskiem, Hans Appler, specjalistą od propagandy antysemickiej w ministerstwie propagandy Trzeciej Rzeszy. Dziś nadal pracuje w ulubionym zawodzie.

Dwaj koledzy biurowi poprzednio wymienionego pracują z nim nadal w Egipcie. Nazywają się: dr Werner Weitschale i baron von Karder.

Al Hussein, znany w swym rodzimym Gestapo jako Franz Bartel, nadal pracuje w zagadnieniach anty-żydowskich w aparacie egipskiej propagandy.

W tym samym biurze można zastać al Gamina, czyli Wernera Biegela, SS-mana z Lipska, Aman Khadera (Albert Thielemann), sudeckiego SS-mana i Ali Alana (Erich Bunz) Sturmführera SA.

Opiekę nad złożonym z hitlerowców personelem technicznym egipskiej broni rakietowej (produkcji sowieckiej), powierzono znanemu lekarzowi z Buchenwaldu, dr. Hansowi Eislerowi. Po parokrotnej odmowie ekstradycji, pracuje nie niepokojony i mieszka pod adresem: Kair 65, 14, Maadi street.

Sturmbannführer Walter Bollmann po stażu w ministerstwie dr. Goebelsa, na okupowanej Ukrainie i w czechosłowackim Brnie, pracuje w Egipcie w dawnym zawodzie, jako specjalista od propagandy antyżydowskiej.

Szkoleniem ideologicznym Armii Wyzwolenia Palestyny zajmuje się Ali Bella, czyli Erich Alten, dawny szef wydziału żydowskiego Gestapo w Polsce południowo-wschodniej. Razem z nim pracuje Ben Kashir (Willy Berner), znany dawniej głównie z KZ Mauthausen.

Abdel Kader mieszkał w Gdańsku i jako Karl Luder był szefem lokalnego Hitlerjugend, a następnie pomagał dr. Wilhelmowi Vossowi w prowadzeniu czechosłowackich zakładów Skody. Obecnie jest ekspertem bronioznawcą armii egipskiej.

SS Standartenführer Ali Ben Khader (Baumann), korzysta w szkoleniu Armii Wyzwolenia Palestyny z doświadczeń nabytych przy likwidacji warszawskiego getta.

Naczelnym lekarzem obozu koncentracyjnego w Samarra (200 km na południe od Aleksandrii), jest ppłk dr Na'im Famum, tj. dr Heinrich Willerman, dawny specjalista od doświadczeń z zamrażaniem, sterylizacją i truciznami w obozie w Dachau. W nowym miejscu pracy ma podobno dobre warunki do dalszego prowadzenia eksperymentów na egipskich komunistach.

Pod nr 8, przy ulicy Shari Abd al Mun'im, Kair-Heliopolis, mieszka SS-man nr 187708, Obersturmbannführer Dressel Jochon, czyli Munir Gamal, czyli Joachim Däumling z Reichsicherheithauptamtu. SS-Sturmbannführer Seipel, oficer Gestapo w okupowanym Paryżu, jest obecnie, jako Enad Zucher, doradcą do spraw bezpieczeństwa w kairskim ministerstwie spraw wewnętrznych.

W egipskim wywiadzie wojskowym pracuje Abdel Nah Krim, który brał udział w likwidacji warszawskiego getta jako SS-Sturmführer Wilhelm Boeckler.

Hassan Suleiman zajmujący się organizowaniem młodzieży egipskiej na wzorach zaczerpniętych z Hitlerjugend, poszukiwany jest przez swych sowieckich sprzymierzeńców za eksterminację Żydów na Ukrainie, gdzie występował jako Alois Moser.

Lista powyższa jest bardzo niepełna, bo wymieniłem tylko najważniejszych spośród zawodowych Arabów, o których nie raz i nie dziesięć upominały się i Niemcy Zachodnie, i Wielka Brytania i Francja. Nie wiem natomiast, czy Polska ośmieli się upomnieć o tak bardzo znanego w Warszawie SS-Oberführera Oskara Dirlewangera, jednego z najbardziej poszukiwanych zbrodniarzy hitlerowskich — a obecnie szefa ochrony samego prezydenta Nassera. Coraz liczniejsi nad Nilem sowieccy doradcy wojskowi wiedzą przecież, bo muszą, z kim współpracują w Kairze czy Damaszku, i czyją ściskają rękę. Trzeba więc, żeby i w Polsce wiedziano, nie tylko w Ministerstwie Obrony Narodowej, w MSW i KC, ale i na każdej ulicy: z kim, z jakim nieprzyjacielem walczy Izrael.

G. J. F.

książki, pisma, płyty

LIBELLA

12 Rue Saint-Louis-en-l'Ile Paris IV

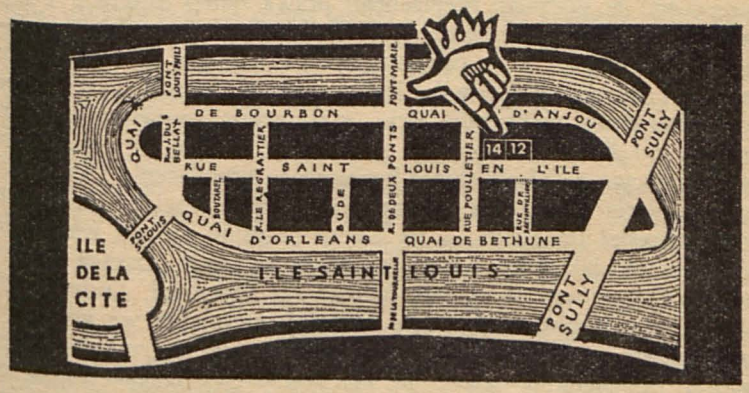

wystawy obrazów malarzy z całego swiata

GALERIE LAMBERT

14 Rue Saint-Louis-en-l'Ile Paris IV

Sejm

Wchodząc po marmurowych schodach czuł już, że opływa go znajomy klimat tego dziwnego przybytku, gdzie nikt nie był sobą i właściwie nic się nie działo, a jednak wszędzie, po kątach niebezpiecznie czaiły się niedomówienia, echa słów nie wypowiedzianych czy myśli skrystalizowanych tylko w połowie, lub w części, których zaniechano zanim jeszcze zdołały się stać sobą, zaniechano w poczuciu niepisanego prawa mdłej dyskrecji i wyjaławiającej dyscypliny, jakie tu rządziło. Skąd się wzięło to prawo i jaką znalazło sobie egzekutywę? Od szeregu lat strażnikiem jego był towarzysz Ludwik, który spełniał tę rolę z właściwą sobie nerwową nadwrażliwością, maskowaną zewnętrznie oderwanym od świata, chłodnym spokojem, trwając w owym nie opuszczającym go nigdy stanie kurczowego podniecenia i agresywnego napięcia wszystkich duchowych władz ideologicznych, tak to sobie określał Borowicz — to znaczy określał, ale też właściwie nie wiadomo jak, gdzie i kiedy to robił, bo nigdy przecież, nawet przed sobą samym określenia takiego nie wymówił. Ludwik był obok Szefa drugim naprawdę i w pełni wierzącym we wszystko człowiekiem w Partii — dlatego zapewne tak się ze sobą przyjaźnili: opowiadano nawet, że nie rzadko we dwóch pijają w domu wódkę, wspominając wojenne i stalinowskie czasy, a także, zapewne, pozwalając sobie na zapuszczanie się w głębsze pokłady szczerości, tam, gdzie na przykład stale czuwający Borowicz nie zapuszczał się nigdy — po prostu odwykł od tego przez długie

---

Powyższy fragment jest IV-tym rozdziałem książki Tomasza Stalińskiego pt. „Widziane z góry", która ukaże się na jesieni br. w ramach „Biblioteki Kultury".

lata nieustającego psychicznego pogotowia i samokontroli, tak jak przed nadmierną świadomość i introspekcję odwyknąć można od popędu płciowego, stopniowo zapomnieć o nim i w rezultacie przestać go nie tylko odczuwać, ale w ogóle posiadać. Borowicz nie miał już żadnej potrzeby szczerości wobec kogokolwiek, co więcej, mniej lub bardziej świadomie potępiał ten gatunek kontaktów międzyludzkich, jako rodzaj obnażania się, mającego w istocie cele wyłącznie rozpustne, duchowo rozpustne. W częstych swoich stosunkach z Szefem, z którym łączyła go przecież wyjątkowo dobra i w dodatku dwudziestoletnia już przeszło, niczym dotąd nie zmącona komitywa, chwalił sobie bardzo tryb pewnej konwencji, w jaki ujęte zostały niezmiennie ich rozmowy, co wykluczało raz na zawsze możliwość wszelkich ekscesów irracjonalizmu czy przypadkowego emocjonalizmu: człowiek żyje i działa tak długo, jak długo precyzuje sobie swoje cele i możliwości i jak długo jest w stanie po w ten sposób sprecyzowanej linii podążać; można by zaryzykować paradoks, że człowiek jest sobą dopóki nie mówi kim jest, dopóki zamiast wyrażać myśli posługuje się mową zastępczą, umownie symboliczną. Taka mowa jest gwarantką rzeczowego i konkretnego a zachowującego wzajemną niezależność układu stosunków między ludźmi; w pracy z Szefem odpowiadała ona Borowiczowi absolutnie, była właściwie jedynie możliwą, bo, w jakiś sposób utrzymując i Szefa w pewnym dystansie, budziła jego przychylny respekt, a przez to dawała możność uzyskiwania od niego takich czy innych koncesji, wpływania na niego: przecież to właśnie przez nadmiar familiarnej szczerości utracił wszelkie wpływy na Szefa nieszczęsny Grochowski; mało, że utracił wpływy, ale, nazbyt odkryty, stał się w ogóle postacią drażniącą i budzącą odrazę. Borowicz miał zawsze przed oczyma ów odstraszający przykład, ale i bez tego nigdy nie nawiedzała go najmniejsza ochota do wykroczenia poza przyjęty umownie (choć umowa ta nie została nigdzie sprecyzowana, ani nawet nazwana!) tryb wzajemnego komunikowania się czy sposób wyrażania. Najmniej zaś odczuwał potrzebę szczerości wtedy, gdy Szef od czasu do czasu zapraszał go wraz z matką na „rodzinną" kolację do siebie, gdzie w dodatku pito wódkę, której Borowicz nie znosił, bo potrafiła ona w jakimś trudnym do przewidzenia i wymierzenia momencie popchnąć człowieka w kierunku właśnie nagłych poufałości czy ekshibicjonizmów, fatalnych a w dodatku zwykle fałszywych, gdyż wódka wbrew rozpowszechnionemu mniemaniu, nie wyzwala wcale pędu do szczerości, lecz tylko pęd do pozerstwa.

Tak więc Borowicz bez wysiłku i raczej z upodobaniem przestrzegał w stosunkach z Szefem przyjętej zasady językowej a właściwie i pojęciowej konwencji (język wpływa na pojęcia bardziej

niż się wydaje), ale czasem z odruchowym zdziwieniem myślał o owych rzekomych sympozjonach alkoholowej szczerości, jakie odbywać mieli skrycie Szef i towarzysz Ludwik. To było tak, jakby o jakiejś poważnej inteligentnej kobiecie, znanej sobie tylko ze stosunków ściśle służbowych i rzeczowych usłyszał nagle, że poza biurem z upodobaniem uprawia ona stosunki zgoła inne, choć nigdy ani o tym nie wspomina, ani najmniejszym odruchem nie nasuwa podobnych myśli czy podejrzeń. Ciekawe, nawet zdumiewające. Zwłaszcza zdumiewające to było u towarzysza Ludwika, który, poza tym, że był odpowiednio wierzący, odznaczał się przysłowiową nawet w kołach zbliżonych do Komitetu sztywnością, brakiem humoru i ową, z matematyczną wręcz dokładnością przestrzeganą, eliminacją ze słownika i sposobu bycia wszelkich rzeczy nie istotnych, jakąkolwiek swą malowniczością wykraczających poza krąg, w którym mieszczą się sprawy ważne i poważne. Tylko, że u Ludwika wszystko to było autentyczne, nie uplanowane, wynikało z jego natury, stanowiło z nią jedność. Ludwik wierzył i Borowicz wierzył, ale, nie wiadomo właściwie dlaczego, nie było to to samo, choć przecież wierzyli w rzeczy identyczne: w socjalizm, w rewolucję, w Partię, w Polskę. Borowicza zawsze podejrzewano o nieszczerość, może dlatego, że był z natury żywy, mało dostojny, w dodatku jeszcze dosyć młody, nawet nad swój wiek, wysportowany, bezpośredni, a przy tym wszystkim z upodobaniem używał konwencji. Oczywiście nieszczerze — mówili ludzie — podczas gdy w towarzyszu Ludwiku nikomu ani się śniło dopatrywać nieszczerości (wobec siebie samego naturalnie) czy rozdwojenia — jego poglądy i jego osobowość stanowiły organiczną całość — stąd w końcu pochodził jego autorytet i lęk, jaki budził w niektórych towarzyszach, zwłaszcza takich, co mieli cokolwiek na sumieniu. Ale może, przez to właśnie, że był wewnętrznie tak niepodzielnie szczery i jednolity, nie obawiał się chwil spontanicznego odprężenia, jak owe rzekome wódkopicie u Szefa. Nie obawiał się, bo pozostawał w nich sobą, a przy tym potrzebował ich: do przyjęcia jakiejkolwiek bądź pozy był, nawet po największej dawce alkoholu organicznie niezdolny, zaś takie chwile odprężenia w sferze czynów a jednocześnie uskrzydlenia w sferze myśli, spowodowane wódką czy intymnością retrospektywnych wspomnień, dawały mu poczucie lekkości, którego na pewno przy swym ciężkim usposobieniu, zewnętrznej sztywności i wewnętrznej, ukrywanej nerwowości, bardzo potrzebował. Ciekawe, ogromnie ciekawe!

Właśnie pokonawszy paru skokami białe, marmurowe schody, prowadzące do położonych z tyłu, zimnawych i sztywnawych, ale na swój sposób uroczystych czy monumentalnych salonów recepcyjnych Sejmu i Rady Państwa (z tyłu, bo osobliwy ten gmach

miał swój reprezentacyjny front właśnie w tyle, a prozaiczny tył z recepcją hotelową i wejściem dla posłów — z frontu) — Borowicz ujrzał w długim, kolumnowym, wykładanym białym bazaltem korytarzu samego towarzysza Ludwika. Chudy, łysawy, lecz wyglądający względnie młodo, z suchą twarzą, wielkim haczykowatym nieco nosem i zbliżonymi do siebie oczami rozsądnej sowy, wcale nie zdradzającymi ukrytej pod ich pozornym spokojem gwałtownej, nerwowej popędliwości, kroczył po bazalcie ni to czujnie zamyślony, ni to nieobecny, choć pełen skupienia. Ten Sejm to było już całkowicie jego dzieło. Towarzysz Ludwik z mikroskopową dokładnością oddestylował z niego wszystko, co w najmniejszym choćby stopniu przypominać mogło komukolwiek parlamentaryzm zachodni, pogardliwie liberalnoburżuazyjnym zwany. Większość kilkuset osobowego grona poselskiego stanowili precyzyjnie, pod lupą chyba przez Ludwika badani ludzie prości, chłopi, robotnicy, przeróżni terenowi funkcjonariusze ze społecznego awansu, dla których wejście do sejmu było szczytem kariery, życiowym pułapem, toteż do obyczajów panujących w tej izbie odnosili się z pietyzmem, za najwyższą cnotę uważając sobie uległość i brak skłonności do dziwienia się czemukolwiek, oraz niewzruszoną powagę, z jaką celebrowali wszelkie niedorzeczne, bo z góry już, mechanicznie co do swego rezultatu przesądzone głosowania, czasem tylko, w ramach zamkniętych posiedzeń komisyjnych, upominając się z niewyżytą zajadłością o jakieś tam dopuszczone do dyskusji materialnotechniczne sprawy terenowe, zajmując w dodatku z reguły stanowisko bardziej dogmatyczne niż sam rząd. Gdy jednak postulaty ich odrzucano czy dyskusję nagle przecinano, nie żywili najmniejszej urazy, a w każdym razie nie okazywali jej: śladów jej nie wykryłby najbystrzejszy obserwator, nie pokazywali po sobie nic, umiejąc wywdzięczyć się za fawor przebywania w tym gmachu, a przede wszystkim za splendor ludowej władzy, jaki spadał na nich w terenie; poza tym pretensje ich, jeśli się już objawiły, okazywały się zawsze pretensjami kalibru małego, partykularnego: sprawy ogólne umykały ich uwadze, były dla nich nieosiągalne. Zresztą w żadnym wypadku nie zamierzaliby ich osiągać — i oni bowiem również wierzyli, instynktownie a głęboko, w polityczny determinizm okoliczności stałych, niezmiennych, zakreślających zdyscyplinowane ramy wszelkiemu działaniu, warunkujących reguły gry i przepisy ceremoniału. Ich psychika to było jedno z arcydzieł Ludwika, który ponad wszystko nie znosił i obawiał się publicznych konfliktów i demonstracji, a tu właśnie, w tym ogromnym zespole, umiał, tak gracko a niewidocznie podobnym rzeczom zapobiec.

Z ludzi owych wywodził się również i doskonale ich uosabiał Przewodniczący — Ludwik, aby było śmieszniej (tak myślał Bo-

rowicz, Ludwikowi nie przyszło to oczywiście do głowy) pozostawał oficjalnie tylko jego zastępcą. Przewodniczący ten, jeden ze starych, od urodzenia chyba mało wyrazistych polityków chłopskich (tylko w czasie okupacji, działając zresztą po stronie Londynu, zachowywał się iście po bohatersku, ale wtedy wszyscy chcąc nie chcąc musieli być bohaterami), stał się osobistością w swym komizmie niemal sympatyczną: jego skwapliwa uległość wobec Partii, połączona ze wzruszającą niezręcznością, z jaką demonstrował swą zależność, czego zresztą gremium poselskie, a zwłaszcza koledzy, z powodzeniem starało się nie dostrzegać, czyniło z niego postać bardziej ludzką niż cokolwiek innego na tej sali.

Ale prostoduszni posłowie z terenu nie stanowili jeszcze całego zgromadzenia. Istniała też druga grupa, mniej liczna, ale ważna: towarzysze z kierownictwa i z Komitetu byli zazwyczaj również posłami, w ten sposób kuluary Sejmu przekształcały się po trochu w partyjny salon recepcyjno dyskusyjny, zwłaszcza, że dla okrasy nie zabrakło tu i grupki literatów. Ludwik, w swojej wiernej miłości do Partii uważający, że tego rodzaju wyróżnienie należy się również marnotrawnym jej synom (nie traci się przynależności do Partii tak jak niegdyś nie traciło się szlachectwa) obdarzył mandatami także jawnych odszczepieńców w rodzaju towarzysza Grochowskiego, czy nawet enigmatycznie opozycyjnego, kiedyś w tajemniczych okolicznościach usuniętego z samego Biura, a zasłużonego podczas okupacji towarzysza Zalewskiego. Wprowadzając ich do sejmu Ludwik niczym nie ryzykował: nie mieszali się z grupą prostodusznych choć i nie okazywali jej lekceważenia, w Izbie pojawiali się raczej rzadko, na krótko, ograniczając się do kuluarowych rozmów i dowcipów, zaś na sali plenarnej milczeli nieugięcie, głosując zawsze bezbłędnie, tak jak trzeba. Nie chcieli przecież okazywać niepowołanym wewnętrznych partyjnych rozdźwięków, to nie było miejsce ani do prania brudów, ani do prawdziwej walki. To nie było miejsce — na pewno nie. Ale czym było właściwie to osobliwe miejsce, którego Borowicz tak nie lubił? Chyba bocznym boiskiem, gdzie toczyła się drugorzędna ale jakoś potrzebna gra pozorów, bez której widać także nie ma życia!

Prawda: w sejmie działały jeszcze, poza bezpartyjnymi, którzy się nie liczyli, mikroskopijne, kilku osobowe grupki posłów katolickich. Ci jedni chyba brali swój parlamentaryzm całkiem na serio, niektórzy uważali się za symbolicznych przedstawicieli większości społeczeństwa, dopuszczonych z jakichś tam względów taktycznych przez Partię i przeznaczonych do obrony interesów Kościoła. Przy takim megalomańskim wyolbrzymieniu swojej roli czy misji, ogromnie się czuli za wszystko odpowiedzialni, w przemówieniach ważyli każde słowo, jakby od tego Bóg wie co poza

własnym mandatem zależało, prowadzili skomplikowane gierki taktyczne, licytując się wzajemnie, co ogromnie bawiło Borowicza. Czasem w ich starannie wystudiowanych przemówieniach odbijały się przebłyski dawnego, minionego świata — Borowicz nie lubił tego, wspominanie takie to jedna z odmian błazeństwa — czasem pozwalali sobie na demagogiczne, opozycyjne wyskoki: towarzysz Ludwik trochę się tym denerwował, ale w sumie jakoś na to zezwalał, prawdopodobnie w przekonaniu, że bezsilność tych wyskoków była dla pozostałych członków Izby, przede wszystkim właśnie dla owych prostodusznych milczków, nader wychowawcza i pouczająca: stanowiła dowód, że żadnej innej drogi nie ma, że to, co kiedyś przedstawiano jako odważne i wzniosłe, jest dziś co najwyżej śmieszne. Towarzysz Ludwik ponosił tu ryzyko, ale nigdy dotąd nie przegrał, rzecz nie wychodziła poza pewne granice, zresztą sejm był w społeczeństwie niepopularny, niemal nieznany, przyczyniał się do tego i Borowicz, ścinając w prasie jakiekolwiek szczegóły o tego rodzaju wyskokach. I w ten sposób, nie bez jego skromnej pomocy, arcydzieło Ludwika okazywało się bezbłędne. Mądry to w istocie człowiek, ten towarzysz Ludwik, choć robi wszystko, żeby ukryć swoje wewnętrzne nawarstwienia, żeby nikogo nie epatować inteligencją czy złożonością swych myśli. To także jest zresztą rys wielkości: dla siebie Ludwik nie chciał nic, ani sławy, ani nawet uznania. Poważny człowiek — bez cienia błazeństwa!

Borowicz pozdrowił go przyjaznym gestem i skręcił w biały, wykładany marmurami korytarz, skąd oszklone drzwi wskazywały drogę do tak zwanych kuluarów, ciągnących się wzdłuż sali sejmowej: tu dla odmiany królowały zielone dywany i pod ścianą zielone kanapki, zaś szereg równoległych szklanych drzwi pozwalało bezpiecznie obserwować salę nie biorącym udziału w obradach, to znaczy nie zmuszającym się do wysłuchiwania kilometrowych referatów, dukanych z grubych maszynopisów przez ludzi prostych o zbrużdżonych czołach i twarzach pełnych wysiłku, tak nieproporcjonalnego do osiąganych rezultatów, przemówienia owe bowiem z reguły trafiały jedynie do stenogramów, stając się zaledwie tytułem prywatnej chwały dla posła, który w każdym razie mógł je odczytywać rodzinie lub kolegom czy towarzyszom z terenu. Było to dziwaczne, a Borowicz nie znosił wszystkiego co dziwaczne, dlatego przecież jak mógł likwidował wszelkie dziwactwa w rozmaitych przedstawieniach teatralnych czy kabaretowych, dziwactwa modne, zwłaszcza w studenckich teatrzykach Warszawy. Ale cóż pomoże walka z dziwactwem w sztuce, jeśli tu, w oficjalnym gmachu panoszyło się ono w najlepsze? Borowicz czasem zadawał sobie pytanie, czy to tylko on jeden i jeszcze paru inteligentów z Partii widzi owo bezinteresowne, bo całkiem

bezużyteczne dziwactwo sejmu, czy też w istocie widzą je wszyscy, tylko przed sobą tę rzecz ukrywają? W drugim wypadku dziwactwo byłoby jeszcze bardziej dotkliwe jeszcze dziwaczniejsze, a właściwie przez to, w rzeczowym męskim świecie, jaki postanowili stworzyć komuniści, smutne i anachroniczne. Było śmieszne, więc dlatego właśnie smutne i to smutkiem, którego w socjalistycznych stosunkach być nie powinno, płynął bowiem z jakiegoś refleksu czy widmowego odbicia spraw dawno i słusznie umarłych. Gdyby rzecz zależała od Borowicza, zredukowałby obrady tego zbędnego ciała do minimum, również Ludwik nie cieszył się swoim arcydziełem, zaledwie ukrywając cierpkie nim znudzenie. Jeden Szef wydawał się zadowolony, choć bardzo mało tu bywał i choć irytowały go czasem nazbyt odbiegające od konwencji przemówienia posłów katolickich czy, z rzadka, bezpartyjnych: kiedyś gdy jakiś bezpartyjny profesor politechniki nie wiedząc co czyni skrytykował ulubione przez Szefa inwestycje hutnicze, ten zmusił Borowicza do wygłoszenia miażdżącej repliki. Borowicz nie miał pojęcia o temacie, tym ostrzej więc mówił, starając się gwałtownością i brutalnością zamaskować zupełną nijakość swej improwizowanej argumentacji. Ale rzecz szła o politykę, gniewał się więc i oburzał z zapałem całkowicie autentycznym: miał przecież okazję z jednej strony dogodzić Szefowi, z drugiej ugruntować swoje znaczenie wobec wszystkich świadków tego nierównego pojedynku, pokazać swoją niezbędność w obecności Seweryna i jemu podobnych. Najmizerniejszą rolę grał tu ów nieszczęsny śmiałek, który, chlastany potopem inwektyw i smagany szyderstwami, mienił się na twarzy, aby pod koniec posiedzenia złożyć oświadczenie, wycofujące wszystkie swoje zarzuty: nie chciał, biedak, narażać na wyimaginowane raczej niż rzeczywiście grożące represje siebie i swojej uczelni. Borowicz schodził z trybuny wśród oklasków partii i zaprzyjaźnionych czyli przestraszonych i przypodchlebnie oburzonych stronnictw, wiedząc, że świadomość smutnego dziwactwa tej całej sprawy, tego zgromadzenia i tego gmachu nawet tkwi w nim mocno, jak niestrawny pokarm na dnie żołądka. Ale Szef był z tej historii zadowolony, uznał ją za dobrą nauczkę, z jaką spotkała się owa, jak powiedział, reakcyjna próba siania nieufności. Szef nie odczuwał tu ani smutku, ani dziwactwa, bo nie znał żadnych tradycji liberalnych: młodość strawił po więzieniach, wiek dojrzały w okupacyjnej konspiracji, potem na przemiany był u czubka władzy, znowu w więzieniu i znowu u czubka władzy. Prawie nigdy właściwie nie żył normalnym, codziennym życiem tego społeczeństwa, chyba w dzieciństwie, które upłynęło mu w rodzinnej, półwiejskiej osadzie, może jeszcze w szkole czy w pierwszej fabrycznej pracy. A potem już całym jego światem stała się Partia —

i tak trwa po dzień dzisiejszy. Ale ciekawe, że, uznając tylko Partię, jednocześnie pochwalał taki właśnie pozbawiony treści sejm: może tkwiła w tym chłopska potrzeba obrzędów, wszakże dla chłopa nabożeństwo im nudniejsze tym bardziej budzi przekonanie o swej ważności, nuda bynajmniej nie jest w tym wypadku czymś dyskwalifikującym lecz przeciwnie, oznacza hieratyczną powagę, cechującą sprawy doniosłe, a tak ugruntowane, że nie potrzebują uciekać się do efektownej kokieterii. Szef w ogóle cenił sobie etykietę, rocznice, obchody, ceremonialne wizyty, uroczyste telegramy gratulacyjne: cenił sobie, pod warunkiem, żeby nie było w nich nic merytorycznego czy nadmiernie podniecającego — o ile możliwe sama forma, krzepiąca swą bezosobową harmonią i powagą, a także skrystalizowanym już tradycjonalizmem. Tradycja, choćby młoda, co roku przecież jest starsza. Tu Szef miał swoją rację, choć nie zdawał sobie sprawy, jak wykpiwano tę etykietę i ceremonialną formę w społeczeństwie, ono bowiem, jeśli już decydowało się na ceremonie, z reguły wolało znacznie starszą tradycję procesji i pielgrzymek, zaś do nowej religii, której zresztą nie rozumiało i rozumieć nie chciało, odnosiło się z pogardą i lekceważeniem. Trudno i darmo, wszyscy oni razem szerzyli oto ideę zupełnie temu narodowi nieznaną, w dodatku byli obciążeni grzechem pierworodnym — poparciem Rosji. Rosjanie mogli być dumni ze swego marksizmu-leninizmu, Polacy nie mieli z czego i żadna uroczystość w dumę ich nie wbijała, przeciwnie — budziła „kompleksy", urażała stare blizny, nadeptywała na odciski. Szef tego wszystkiego nie wiedział, miał swoje własne sprawy z Rosjanami, nie chciał zaś słyszeć o urazach dawnych, przedsocjalistycznych. Tworzył nowe życie i tylko to życie uznawał, ale nie rozumiał, że ów sejm ma jakiś obleśny refleks życia starego. Zresztą nie rozumiał i mnóstwa innych rzeczy, bo żył w oderwaniu, w tym jednak była jego siła. Rewolucji nie robi się bez siły, jeśli zaś siła jest ślepa, to trudno, takie są koszta historii. Zresztą Szef nie we wszystkim był ślepy, robił tylko błędy, przeważnie natury psychologicznej, bo nie rozumiał, że nowy proletariat go nie lubi a nawet nienawidzi; nienawidzili go za to, że przemawia w ich imieniu, a wcale nie jest z nich, jest z innej epoki, z innej formacji. Szef ponosił porażki propagandowe: nie wiedział o tym, ale doskonale wiedzieli to sztywniacy z jego otoczenia, którzy pomagali tym porażkom wydobyć się na wierzch, a potem oskarżali o nie Borowicza, odpowiedzialnego przecież za propagandę. Oczywiście porażki nie były winą Borowicza, który miał przeważnie w sprawach propagandy odmienne zdanie od Szefa, ale nie zdradzał się z tym, aby nie stracić zaufania, bo Szef był apodyktyczny i nie znosił czyjegoś odmiennego poglądu, choć nie miał przecież pretensji nawet do tych,

co kiedyś aprobowali jego uwięzienie. Nie znosił odmiennego zdania wówczas, jeśli trąciło ono inteligenckością, więc też Borowicz nie mógł pozwalać sobie na luksus szczerości, był bezsilny, a ponosił odpowiedzialność. O tej jego sytuacji doskonale wiedzieli Seweryn i jego ludzie, a on wiedział, że oni wiedzą i vice versa. Było to błędne koło, ale Borowicz wierzył, że cierpliwością i mozolną pracą osiągnie przecież w końcu konkretne rezultaty: zdobędzie u Szefa takie zaufanie, iż przy ewentualnej zmianie koniunktury w Kierownictwie będzie mógł, choćby dyskretnie omijając przyzwyczajenia i dziwactwa Szefa, poprowadzić sprawy prasy i propagandy w sposób rozsądny, choć bynajmniej nie mieszczańsko liberalny, jak mu to demagogicznie zarzucał Seweryn. Ale na to trzeba samozaparcia: ukrywać swe przekonania i intencje jak najskrzętniej, potrafić nawet działać przeciw sobie — to musi dać owoce, tylko cierpliwości!

Właśnie ten dziwaczny Sejm to była wielka porażka Szefa, na którą Borowicz zżymał się w cichości. Parodia zgromadzenia ludowego, łącząca pozory rewolucyjności z formami dawnymi, z wszechwładnym, zatęchłym klimatem biurokratyzmu, że smrodem tych zasiedziałych, starczych, zielonych foteli, symboli formalistycznego marazmu! I do tego absurdalne w tej sytuacji echa czy wspomnienia liberalizmu, które, obijając się śmiesznie i bezradnie w tej pomylonej pod każdym względem sali, budziły opaczny zresztą oddźwięk tylko wśród nie wiedzieć po co tu dopuszczanych zagranicznych dziennikarzy. Wszystko razem bzdura i to upokarzająca: nie tak powinno się objawiać wyładowanie rzeczywistej siły, jaką reprezentować miało zgromadzenie ludowe w socjalistycznym kraju. Borowicz wiedział, jakby tę izbę zreformował i to wcale nie w duchu liberalnym, o nie, przeciwnie, zlikwidowałby nie tylko treść lecz również wszelkie ośmieszające pozory nawiązywania do dawnej stęchlizny, zlikwidowałby ów absurd obradowania w tych samych formach i w tym samym gmachu, co przedwojenne sejmy. Ale musiał milczeć, bo nieuchronnie oskarżono by go właśnie o ów jak najbardziej mu obcy — liberalizm. Milczy się jednak tylko do czasu — póki reguły gry tego wymagają.

Dziś właśnie miał się posłużyć Sejmem dla dobra swojej gry — Sejmem, jako plotkarsko towarzyskim salonem Partii. Tylko, że na razie niezbyt mu się wiodło, bo wciąż spotykał innych ludzi, niż potrzebował. Jeszcze w owym marmurowym korytarzyku, skąd prowadziły drzwi i do kuluarów i na salę i do ław rządowych, mignęła mu się ociężała sylwetka Prezesa, który, jako szef rządu, asystował zazwyczaj przy otwarciu posiedzenia, aby po kilkunastu minutach nieznacznie się ulotnić. Borowicz na jego widok przyspieszył kroku: Prezes miał rzadkie w tej sali poczucie humoru, choć nigdy zeń nie robił użytku, zachowując niezmiennie swoją niby solenną powagę; do tego znał przedwojenne czasy, był inteligentem z dawnego PPS-u, lubił zabawy i kobiety, słowem wszystko to, czego rozsądniej było unikać, nosząc samemu masło na głowie. Sojusznik z niego byłby kłopotliwy, bo, choć wielki spryciarz, miał swoją własną grę i pozycję, a mógł też ponieść i własną porażkę: lepiej więc go omijać, niech każdy ratuje się po swojemu. Z kolei napatoczył się jak najniefortunniej poseł Wojczyński, redaktor wielkiego warszawskiego dziennika. Temu znowu chodziło o jakieś tam swobody dla pisma w dziedzinie krytyki gospodarczej: wiedział, że im większa możliwość owej skromnej zresztą i wciąż deklarującej swoją lojalność krytyki, tym większa popularność pisma u publiczności, a na popularności tej ogromnie mu zależało. To było nawet sympatyczne, że komuś tak bardzo o coś chodzi, ale Borowicz w obecnej sytuacji nie mógł mu nic obiecać: Seweryn i jego ludzie od razu wyzyskaliby to w wiadomy sposób, przy tym Borowicz nie rozumiał się na sprawach gospodarczych i nie mógłby określić granicy ustępstw, a znał przecież zarówno drażliwość Szefa na tym punkcie jak i perfidię Seweryna. Rozłożył więc ręce, mówiąc Wojczyńskiemu, że nic nie może i że wszystkie zależy od towarzysza Ludwika, (który co było jasne, na pewno odeśle tamtego z powrotem do Borowicza), wyrwał się jakoś cudem i przez rozległą palarnię ruszył do bufetu.

Tłoczno tu było i mocno nieapetycznie: w powietrzu kłęby papierosowego dymu, na stolikach wśród talerzy z resztkami jadła walały się na pół wysypane popielniczki, kupki zaś popiołu plus plamy rozlanego piwa czyniły z białych niedawno obrusów ohydne szmaty. Przy każdym stoliku trwało czterech lub pięciu niezbyt czystych, niehygienicznie odżywianych, grubych, buchających śmierdzącym dymem, posiwiałych mężczyzn, pochylonych ku sobie w jakimś konfidencjonalnym podnieceniu. W sali gwar, szum, ruch, jakby tu chodziło o coś Bóg wie jak ważnego. A w gruncie rzeczy — o cóż to właściwie chodzi?! Pozory — wcale niepotrzebne i niemiłe!

Tutaj z kolei spotkał Borowicz towarzysza Endelberga, który uchodził za przywódcę tak zwanej frakcji żydowskiej w Komitecie. Nazwą tą upajała się cała kawiarniana Warszawa, Borowicz zaś uważał nie tylko nazwę, ale i samą rzecz — jeśli w ogóle istniała, bo czasem przekonywał sam siebie, że wszelkie zorganizowane frakcje i mafie w Kierownictwie to wymysł plotkarzy — za wysoce niesmaczną. Jakże to w partii komunistycznej ludzie dobierać się mieli na zasadzie kryterium rasowego?! Powinno się tego uniknąć za wszelką cenę, tak zresztą, jak i całej atmosfery, która oprzędła tę sprawę od kilkunastu lat.

Po wymordowaniu milionów Żydów, zaludniających polskie miasta i miasteczka, po dogorywającej wreszcie wojnie, której walec znowu przetoczył się przez Polskę, tym razem ze Wschodu na Zachód, na zgliszcza gett powróciła znikoma garstka żydowskich niedobitków, trochę z Rosji, trochę z kryjówek czy z konspiracji. Byli teraz nadzy, pozbawieni przez Niemców tła społecznego, pozbawieni nawet mogił przodków, bo mogił nie było, dym spalonych zwłok dawno się rozwiał w nicość, a popiół rozproszył. Czuli się wystawieni na widok publiczny: Żyd stał się rzadkością, widząc go każdy pytał w myśli, skąd się wziął i w jaki sposób przetrwał. Nie mogli wytrzymać tej sytuacji i poszukali oparcia w Partii — ci nawet, którzy nigdy nie byli komunistami, ci liberalni, mieszczańscy, obojętni. Przyjęto ich z otwartymi rękami: rewolucja potrzebowała aparatu, a zgłaszał się mało kto — lud tego kraju wcale nie był rewolucyjny, zresztą każdy lud jest konserwatywny, a pierwszą fazę rewolucji zawsze robi inteligencja. I tu pogrobowcy popełnili fatalny błąd, chociaż może im to imponowało, może szukali rekompensaty, a może zresztą padli ofiarą czyjejś dalekosiężnej intrygi. Oto, jak najniepotrzebniej w świecie, stali się od razu a gremialnie ramieniem i symbolem rewolucji, objęli najbardziej eksponowane i drażliwe stanowiska: oficerów Bezpieczeństwa, prokuratorów, sędziów, cenzorów. Zaszkodzili sprawie i znów wzbudzili nienawiść do siebie. Skołatany okupacją, spragniony jakiegokolwiek ładu lud mógł, owszem, uznać i przyjąć nową władzę, ale nie władzę reprezentowaną przez nich: niedawno widziano ich poniżenie, nagłe wywyższenie robiło wrażenie demonicznego spisku. Z czasem zaczęli coś niecoś z tego rozumieć, załamali się, po kilkunastu latach jęli wracać do siebie samych, stają się nawet z powrotem liberalni, chcą oto walczyć przeciw sobie z dnia wczorajszego. Ale wszystko nadaremno, pomyłka, za późno: stracili zaufanie jednych, nie odzyskali zaufania innych. Nie mogli odzyskać, to była złuda i oto stoją znów odosobnieni, wyizolowani, oko w oko z rozbudzonym przez siebie samych widmem rasizmu i to paradoksalnego, bo pleniącego się wewnątrz partii rewolucyjnej i komunistycznej.

Towarzysz Endelberg był w okresie minionym jednym z najtwardszych: tropił herezje nie gorzej, niż dzisiaj Seweryn. A jednocześnie wciąż gromadził dolary — w pończosze i w bankach zagranicznych. To było wstrętne — Borowicz nienawidził asekuranctwa i hipokryzji, sam nigdy nic nie miał i nie chciał mieć — pod tym chociaż względem naśladował Szefa. Czuł niechęć do Endelberga i dawniej i dziś — jego obecną, spóźnioną działalność i jego frakcyjność uważał za szkodliwe, szkodliwe pod każdym względem: Żydzi dzisiaj w Polsce nie są sobą, są tylko mitem i dlatego nie powinni łączyć się w grupy, bo to najniepotrzebniej

konkretyzuje ów mit. Borowicz był dumny, że nie należał w Partii do żadnej grupy, nawet do rzekomej żydowskiej: w ten sposób przeciwdziałał rasizmowi i dawał wyraz swej postawie prawdziwego komunisty. Nie lubił też liberalizmu, tak niewcześnie demonstrowanego przez tamtych. Nie lubił go w ogóle nigdy, choć tępy Seweryn zawsze go o to pomawiał, sądząc widać, że liberalizm to nieodłączna oznaka semityzmu. Cóż za nonsensy!

Endelberg pochodził z B... w Zagłębiu, miasta przemysłowego, ogromnie bogatego, gdzie Żydzi stanowili przed wojną większość ludności. Jakżeż ich tam nienawidzono i to nienawiścią na wskroś klasową! Ojciec Endelberga miał ogromny sklep, ba — szereg sklepów — a syn, trzeba mu to przyznać, wciąż siedział w więzieniu za komunizm. Ale miejscowa ludność nie czyniła rozróżnień, najzwyczajniej w świecie, nienawidziła ojca i syna po równi. Może Niemcy dusząc miliony Żydów gazem spełnili po prostu skryte (nie zawsze) marzenie tego zbiedniałego ludu? Borowicz nie lubił takich myśli. A czy dałoby się budować rewolucję i komunizm, gdyby w Warszawie tłoczyło się kilkaset tysięcy chałaciarzy, nędzarskich, ale ślepo przywiązanych do swego chałupnictwa, pośrednictwa, handlu? I takich myśli Borowicz nie lubił. Nigdy nie należy sięgać pamięcią wstecz, ani popuszczać w tym kierunku wodzy jałowej wyobraźni, zawsze skłonnej do rozważań, co by się stało, o ile by się stało to, co się nie stało. Komunista patrzy realnie i patrzy w przód. Endelberg zawsze budził w Borowiczu skłonność do myśli, których tenże nie lubił i nie pochwalał, dlatego omijał go jak mógł; zrobił to również i teraz, zwłaszcza że do tamtego zbliżał się oto posuwistym krokiem jego nowo upieczony brat w liberalizmie czyli właśnie onże Grochowski, przez którego przecież wynikło całe to nieudane popołudnie.

Borowicz poczuł nagle dotkliwe osamotnienie: nie osobiste oczywiście lecz polityczne, osamotnienie w swojej taktyce i strategii, w koncepcjach i w ocenie sytuacji. Dziwna to zaiste była sprawa: przed laty, w okupacyjnej Warszawie, w dzielnicy aryjskiej, gdzie każde niepowodzenie równało się śmierci, na którą był skazany przez Gestapo zaocznie i bezapelacyjnie, czuł się jednak raźnie, bojowo, czuł się w szeregu, obok towarzyszy. A tu dzisiaj, w socjalistycznej Warszawie, był samotny, odosobniony, nierozumiany. I właściwie wszyscy oni czuli się samotni — stąd może owe prawdziwe lub urojone mafie czy też tęsknoty do mafii. Przerodziło się to już zresztą po prostu w mity, do których tak przywykła Warszawa czy raczej Warszawka: mówiono o mafii Żydów, konspiratorów, stalinistów, ba, istniały przecież jeszcze i poza Partią tradycyjne już mafie pederastów, hrabiów, kto wie, może nawet i jakichś zachowanych masonów.

Istniejące czy nie istniejące, mafie te stały się jednak zwyczajowym już oparciem myślowym dla ludzi, nie mogących się pogodzić z centralistyczną unifikacją, jaką przynosił nowy ustrój: ludzie ci wyładowywali w ten sposób swoje tęsknoty do dawnych czasów i ich obumarłych form życia politycznego. Borowicz potępiał to — był świadomym człowiekiem nowych czasów i do żadnej mafii nie należał, w ogóle nikt rozsądny nie mógłby go o to posądzić. Ale dlatego nieraz czuł się samotny, samotny nawet w swym realizmie i racjonalizmie. Czyżby zwyciężał irracjonalizm, czyżby wymarzona jedność ruchu stawała się fikcją i nieosiągalnym złudzeniem?

— Cóż to, omijamy Szmulka, wolimy księżulka? — spytał nagle znajomy głos. Przed Borowiczem stał Pułkownik, on to właśnie wyrzekł te osobliwe słowa.

— Nie rozumiem Was, towarzyszu — o co chodzi? — powiedział chłodno, ale bez wewnętrznego napięcia Borowicz. Pułkownika dosyć lubił: chociaż prostak i raczej człowiek z grupy Seweryna, nie był on jednak maniakiem i doskonale pojmował specjalnie złożoną i samotną pozycję Borowicza. Tym bardziej dziwne, o co właściwie mu szło, o jakiego księżulka? Czyżby już...

— No bo widzę, że bokiem obchodzicie tego naszego Endelka-Mendelka — tłumaczył dobrodusznie, choć gruboskórnie Pułkownik — a dziś dzwonił do naszego wydziału z miasta jakiś księżulo, ale nie miał do nas interesu, tylko się pytał o Wasz telefon. No to sobie pomyślałem, że zmieniacie wyznanie czy resort, czy nie wiem co. Bo wiecie, księża to już zwykle dzwonią tylko do nas. Nawet sporo ich dzwoni, po kilku dziennie. Ale nie gniewajcie się na mnie ja nic — tak sobie wspomniałem...

— Ano rzeczywiście, dzwonił do mnie w południe ksiądz — mruknął Borowicz, udając, że nie przywiązuje do tej sprawy specjalnej wagi, choć w środku gotował się ze złości na owego bałwana w sutannie, na Wandę i na wszystkie kłopoty, bezsensowne kłopoty, jakie może mieć z tą nikomu niepotrzebną sprawą. I jeszcze musiał, osioł, dzwonić akurat do Pułkownika, który był pies na księży i zajmował się przeważnie wymierzaniem im kar czy podwyższonych podatków. Na szczęście Pułkownik w tej chwili nie wydawał się zazdrosny o wkroczenie na jego teren, poza tym był mało gadatliwy, a Borowicza rzeczywiście lubił, znali się dobrze z okupacji i z powstania. Mimo wszystko pechowy dzień trwał nadal — zaczął go niezłomny i nieproszony Grochowski, kończył ów wyskakujący jak diablik z pudełka ksiądz. Ale w tej chwili Borowicz odzyskał wreszcie zagubiony po trochu kontenans. Pomyślał nawet, że nie warto było kłopotać się zbytnio wizytą Grochowskiego i próbować komuś nie pytającemu wyjaśniać tę sprawę. Strach miewa wielkie oczy, a kto mu zbyt

łatwo ulega, może samochcąc ściągnąć na siebie właśnie to, czego w sposób nadmiernie przewidujący chciałby uniknąć. Lepiej więc nic nie robić — instynkt znalazł nareszcie wyjście. Borowicz poczuł ulgę, a zarazem żal za utraconym popołudniem z Władką i skrupuły, że zaniepokoił ją swoim zachowaniem. Dziś się już nie da, ale zaraz jutro trzeba będzie rzecz naprawić.

Wszystko to myślał, a raczej nagle już wiedział, stojąc jeszcze chwilę i gawędząc o niczym z Pułkownikiem; jednocześnie czuł na sobie różne spojrzenia przechodzących posłów: spojrzenia bystre, zainteresowane, ironiczne lub gniewne — tylko życzliwych brakło. Ale Borowicz wiedział już, że jest uspokojony i podbudowany wewnętrznie: tak było zawsze, gdy sprawy się konkretyzowały. Telefon księżula do Pułkownika to już konkret, wprawdzie nieco kłopotliwy, ale z konkretem można walczyć, można samemu coś przedsięwziąć, nie zaś oczekiwać na niewiadomy cios. Poza tym osoba Pułkownika była wygodna, można jej użyć dla zagaszenia dalszego ciągu tej niepotrzebnej sprawy. Borowicz miał już plan, toteż jak zwykle spokojny i pewny siebie ruszył obok Pułkownika w stronę kuluarów, gdy długi, kilkakrotnie powtarzany dzwonek wezwał posłów na obrady.

Tomasz STALIŃSKI

BIBLIOTEKA "KULTURY"

GEORGE J. FLEMMING

TOM CXXXI

POLSKA MAŁO ZNANA

Str. 164. Cena 10 F. (dol. 2,25; 15/-)

TOM CXXXVII

CZYM TO SIĘ JE ?

Str. 132. Cena F 10 (15/-; dol. 2,25)

Wiersze

STROFA I TREN

Gdzieżeś ty wówczas był o Apollinie
i czemuś nie porzucił swoich strun
przez które rozpierzchłe twe trzody
tonęły w wezbranej rzece
i pasterzykowie mali
co za nimi biegli co tchu
w odmęty cicho płakali
targając pokrwawiony sznur
gdy twoja gra jak puszysty łabędź
pieściła jezior zdmuchniętych nocą toń
skąd sierp księżyca wyniósł nagłe ostrze
bożku przepiękny
na sztorc?

Dziecko moje
gdzie mię prowadzisz
jakie głazy kamienują ci usta
na przedsłowiu w mgłę wchodzimy
oćma targa las
i środek życia twego
jest milczeniem

kto czci chłopca małego
czci słowo
nie wyrzeźbi go farba
płótna się nie chwyci
kto czci słowo
czci Boga pokocha człowieka

dzikie płakanie gniewny żal

7. VIII. 1967.

POINT-NO-POINT

1

Jaskółcze jezioro
spokojne
jak martwe oko
czyste, bez łzy
z dziwnym drzewem przygiętym
od przelotnego wiatru,

oprawia kamień
w centrum
jeszcze spokojniejszy,

odbija niebo
po dżdżu
jeszcze czystsze

2

Ptak
w wielkim szklanym akwarium
zamarzł
na szklanym pręcie

nie budzą go
ławice ryb
ani wieloryb

tak przeźroczysty
że nie wołamy
o nic
z jego wnętrzności

3

Zimę można odgrodzić
i zaspać,
ale wiosnę i lato?

najtrudniej z jesienią:
każdy
chciałby zatrzymać
nawet jej najsmutniejsze
pajęczynowe
dni

4

Piasek przepływa w wodę
i faluje w góry
drżącego powietrza
bryły świata
są bez substancji
jak diagram
amplitudy trzciny
widać nad morzem
genezę mgieł

ranek, jaki ranek!
odlot aniołów
po stworzeniu światła
z metamorfozy nocy
wzlot tajemnic

wczoraj
gdy góry
odcięły ostro niebo
brzeg ten
świdrowały gorące ognie
w okół nich
pęczniało w kształty i masywy
grawitowało
w wymiary
rozpostarte czasu
to

co dzisiaj ranek ten
ujawnił:

brzeg przebuduje ciała
piasek przepływa w wodę
i faluje w góry
są bez substancji
bryły świata

5

Ciemna kobieta
patrząc w lustro
narysowała
swój portret

rozhukane oczy
jak dwa ogiery
pod kruczą miotłą
grzywy

na strzaskanym lustrze
zraniony kocur
drapieżnie
kona

6

Pędząc
wymarłą drogą
przez noc
spłoszonej sarny

dotarliśmy wreszcie
do Point-no-Point

podobno
dawni żeglarze
myśleli
że to koniec wyspy

otwarty
Pacyfik

a to ziemia
falą uderzona
nagle
bez-myślnie
zakręca

Bogdan CZAYKOWSKI

Obserwatorium

Nowa kasta

Ladislav Mnaczko, „czerwony Hemingway" (według określenia *Frankfurter Allgemeine Zeitung)*, jest znanym słowackim pisarzem i dziennikarzem komunistycznym. Ma lat czterdzieści osiem. Był do niedawna oficjalnym czeskim korespondentem wojennym w Północnym Wietnamie. Wraz z Dedijerem reprezentuje Europę Wschodnią w założonym przez Russella *Committee for the Investigation of US Crimes in Vietnam.* Tylko fragmenty jego powieści *Smak władzy* ukazały się w praskim miesięczniku literackim *Plamen* (sierpień i wrzesień 1966), reszta została zablokowana przez cenzurę. Mnaczko zdecydował się na wyzwanie: od kilku miesięcy istnieją dwa przekłady jego książki. Niemiecki wydano w Wiedniu pod tytułem *Wie die Macht schmeckt,* angielski w Nowym Jorku i w Londynie pod tytułem *The Taste of Power.*

Przedmowę do wydania angielskiego napisał Max Hayward, slawista z Oxfordu. Parę urywków z niej zasługuje na przytoczenie.

„Otwartość powieści Mnaczki pozostawia daleko w tyle wszystko, co na podobny temat ogłoszono dotąd drukiem w Rosji i w Europie Wschodniej. Jest to najlepszy portret *homo stalinensis* jaki dotychczas namalowano, nie cofający się przed niczym co pozwala jasno i klinicznie zbadać wyjątkowo podstępną formę tyranii. W większości sowieckich i wschodnioeuropejskich książek tego typu uwaga skupiała się na tyranach lżejszego kalibru w niższych rejonach struktury władzy; centralną postacią powieści Mnaczki nie jest mały kacyk biurokratyczny, lecz szef rządu... Uderza w tej historii nie tyle stopniowe znieprawienie idealisty przez owoce władzy (to jest zjawisko powszechne), ile obrzydliwy strach który krok po kroku zmienia 'męża stanu' w nikczemną figurę pozbawioną niemal całkowicie znamion tragizmu. W warunkach ustroju totalitarnego władza nie tylko znieprawia, lecz zniewala także i odczłowiecza tych którzy ją sprawują... Powieść Mnaczki jest nieprzeciętnym utworem sztuki narracyjnej, jako studium ludzkiej ułomności wznosi się na poziom który literaturę odróżnia od zwykłego reportażu. Posiada jednak przede wszystkim ogromną, prawie podręcznikową,

wartość dla badaczy mechanizmu polityki totalitarnej. Obdziera reżymy stalinowskie we Wschodniej Europie z tych cech swoistej wielkości, jakie fascynowały w nich niegdyś zarówno admiratorów jak przeciwników. Za groźną fasadą wszystko było znacznie bardziej podłe i plugawe. Gdy się patrzy wstecz, zdumiewa że powojennym rządom we Wschodniej Europie udało się wytworzyć dokoła siebie taką aurę ascetycznego idealizmu. Mnaczko dobija definitywnie dogorywający mit".

Powieść Mnaczki nie wydaje mi się „wybitnym dziełem sztuki narracyjnej", widzę w niej raczej produkt zręcznego i sugestywnego dziennikarstwa. Ale Hayward ma bez wątpienia rację, uważając ją za coś w rodzaju małego przewodnika dla interesujących się mechanizmem polityki stalinowskiej w krajach Europy Wschodniej. Jej konkluzja zawarta jest w dwóch słowach ostatniego rozdziału: „Władza znieprawia". Gdyby jednak chodziło wyłącznie o to, gdyby *Smak władzy* potwierdzał jedynie słynną maksymę Lorda Actona *every power tends to corrupt and absolute power tends to corrupt absolutely,* mielibyśmy do czynienia z dość banalną operacją pisarską. Na szczęście Mnaczko posuwa się dalej. W jego powieści najwyżsi przedstawiciele władzy komunistycznej są więcej niż „znieprawieni": żyją w absolutnej izolacji, w całkowitym oderwaniu od swoich podwładnych. Może czas zastąpić formułę Dżilasa *Nowa klasa.* „Klasa" implikuje mimo wszystko pewien kontakt z innymi klasami, choćby w formie świadomego i konsekwentnego wyzysku. U Mnaczki dokoła „bossów" panuje idealna próżnia. Nie wiedzą, i nie chcą wiedzieć, co myślą i czują i jak sobie radzą tak niegdyś przez Brandysa sławieni „obywatele". Są przekonani o swojej nieomylności i nietykalności. Stanowią klasyczną *kastę,* dla której wszelka konfrontacja z rzeczywistością, czy jej najskromniejsza bodaj weryfikacja, sprowadza się do raportów przygotowywanych *ad usum Delphini* przez niższych „kapłanów". Każde spojrzenie w dół odbywa się, zresztą rzadko, z niebosiężnych wysokości. Widać stamtąd ludzkie mrowie, krzątające się w swoich „sektorach" przy „budowie socjalizmu".

Mnaczko opisuje dwóch takich „arcykapłanów": jeden, anonimowy w powieści, jest „szefem rządu"; drugi, nazwiskiem Galowicz, zdaje się być generalnym sekretarzem partii. Anonimowy „szef rządu", w młodości wzorowy komunista i dzielny dowódca partyzancki, przypomina (oczywiście na większą skalę) „bohatera pozytywnego" Guzego: tłusta morda utytłana w żłobie, do którego nareszcie dorwał się *skolko ugodno,* bydlęcy rechot lub pijacki bełkot, wybałuszone i zamglone ślepia, willa, limuzyny, polowania i kurewki. Galowicz, „ascetyczny idealista", ma w sobie coś z Gomułki: tępy i zimny wzrok za okularami, spartańskie mieszkanko, ani kropla alkoholu, żona ze starego asortymentu, piesze spacery do biura, podróże prywatne trzecią klasą i na własny koszt. Obaj, rzecz prosta, czatują na siebie wzajemnie. Dla obu „zgnoić" człowieka zawadzającego pod czy między nogami jest naturalnie igraszką. Ale podczas gdy „szef rządu" uważa władzę

za cel sam w sobie, Galowicz widzi w niej środek do celu. O pierwszym Mnaczko pisze tak:

„Bałeś się, bałeś się coraz bardziej. Najpierw Galowicza, potem wszystkiego. Bałeś się najbardziej cieni — pamięci ludzi których zaszczułeś, skopałeś i zrujnowałeś? Bałeś się już wówczas, gdy mówiłeś że w polityce nie ma przyjaźni? O kim wtedy myślałeś? O tych którzy ci zagradzali drogę do kariery, czy o sobie? A może myślałeś że pewnego dnia będziesz również stał samotny, oglądając się bojaźliwie na lewo i na prawo i zadając sobie pytanie gdzie teraz spadnie topór? Powiedziałeś do siebie: im więcej władzy, tym większe bezpieczeństwo? To dlatego skupiałeś coraz więcej i więcej władzy w swoich rękach, to dlatego umacniałeś bez przerwy zdobyte już pozycje?... Bałeś się wszelkich decyzji, bałeś się inicjatywy. Zagryzałeś się zawsze o własną pozycję — a co jeśli jakiś twój fałszywy krok będzie obrócony przeciw tobie? Stoczyłeś się więc w nic-nie-robienie i w deklamowanie pustych frazesów, których nikt nie brał na serio, nawet otaczający cię potakiewicze... Ilekroć zdarzały się niepowodzenia, wina za nie obciążała oczywiście innych. Z biegiem czasu cały naród stał się w jego oczach masą bez głów i bez twarzy, którą należało prowadzić za rączkę i w razie potrzeby karać, nigdy jej i pod żadnym pozorem nie ufając: masą nastawioną tylko na dokuczanie mu, zazdrosną o jego pozycję, spiskującą wiecznie by go pozbawić władzy. W późniejszych swoich latach przestał w ogóle komukolwiek wierzyć. Wszyscy go zdradzili, opuścili, oszukali i zawiedli, na nikim nie można było więcej polegać".

A o drugim tak:

„Galowicz nigdy nie wątpił o słuszności swego postępowania; był zdania że wątpliwość, nawet nie wypowiedziana na głos, jest bliźniaczym bratem zdrady... Galowicz był maszyną do ucierania ludzi na proszek, skoro nieomylni są wykuci z granitowego bloku skalnego... Nie uznawał żadnych półtonów lub półcieni. Dobro było dobrem, zło złem, między nimi rozwierała się pustka. Tylko obłudni intelektualiści — słabeusze, jak ich określał, z niedorozwiniętymi muskułami — gustują w paplaninie o zawiłościach ludzkiego rozwoju. Jego, Galowicza, na takie plewy nie nabierzesz. Nic nie może być ludzkie co nie jest postępowe, a nic nie jest postępowe co nie jest rewolucyjne. Nikt nie ośmielił się nigdy zapytać Galowicza co rozumie przez „rewolucyjność", gdyby zaś zadano mu takie pytanie, znalazłby się w kropce. Nie na długo: odpowiedziałby w końcu jedną ze swoich wytartych sztanc. Tak oto Galowicz karczował, obciosywał i przerabiał na trociny ludzkość w imię czystości rewolucyjnej. Najlżejsze podejrzenie, choćby zupełnie śmieszne, było dla niego dowodem rzeczowym. Potem można było sprawę skierować do organów śledczych, którym powierzono skazywanie podsądnych. Wyśledzić, skazać, zlikwidować — skąpy był słownik Galowicza".

Jest chwila, gdy „mąż stanu" może podstawić nogę Galowiczowi. Rezygnuje z okazji.

„Bał się Galowicza? Nie było wtedy powodu. Nie, bał się że jeśli wyjdą na jaw sprawki Galowicza, wywiąże się reakcja łańcuchowa, równowaga władzy w kierownictwie zostanie zachwiana i pochyli się cały domek z kart — a to byłoby groźne, bo jak się raz zacznie to gdzie i przy kim się zatrzyma?"

Jest to jedyne w powieści komunisty bratysławskiego wytłumaczenie trwałości reżymu.

Smak władzy jest serią obrazów pamięci, które widok leżącego na marach „męża stanu" ewokuje w fotografie urzędowym, towarzyszu partyjnych i partyzanckich walk zmarłego. Nie chodzi tu tylko o pomysłowy chwyt kompozycyjny. W osobie fotografa urzędowego — który zawsze wszystko wiedział i w domu przechowuje archiwum fotograficzne o „sile wybuchowej dynamitu" — Mnaczko wprowadza umownie na scenę „kulturę" partyjną. Dlaczego, *wiedząc wszystko*, byli wspólnikami i bałwochwalcami fałszywego mitu? Dlaczego służyli mu wiernie i gorliwie aż do chwili, gdy zaczął sam dogorywać ugodzony śmiertelnie na XX zjeździe KPZR? Wolno widzieć w nich wyłącznie (lub prawie wyłącznie) profitantów, spłacających gotowością do wszelkich usług przywilej dopuszczenia do nowej kasty? Co do mnie, uważam *Porachunki osobiste* Tyrmanda, choć „toporne" czy w każdym razie mniej „wyrafinowane", za bliższe prawdy od błyskotliwego *Zniewolonego umysłu* Miłosza. Toczyła się ostatnio nad nimi dyskusja radiowa, w której K. A. Jeleński powiedział m.in.:

„Nie zapominajmy o tym że każdy mógł w pewnym sensie wierzyć, czy też udawać przed samym sobą że wierzy w stalinizm póki było możliwe utrzymanie mitologii, iż każda zbrodnia jest dopuszczalna, bo wiedzie do przekształcenia człowieka i do nowego społeczeństwa. Z chwilą kiedy Chruszczow powiedział, że to wszystko było niepotrzebne, że Stalin był zbrodniarzem, z chwilą gdy ten mit bezbłędności partii komunistycznej się skończył, żaden człowiek już w to nie mógł wierzyć. I to spowodowało u tych ludzi prawdziwy dramat moralny. I dlatego była to przemiana głęboko moralna. Ci ludzie już nie mieli żadnego pretekstu, żeby w to wierzyć".

Z czego wynika że gdyby Chruszczow wybrał był milczenie, „ci ludzie" wierzyliby nadal w konieczność mordowania celem „przekształcenia człowieka", a „mit bezbłędności partii komunistycznej" prosperowałby dalej w najlepsze. Aż tyle zależało od tej najwyższej (dla marksistów) wyroczni u progu drugiej połowy dwudziestego stulecia! Można i tak, po cóż jednak mówić wtedy o „intelektualistach" i „moralności"? Sekret jest prostszy: „wiedza tajemna" nowej kasty o zbrodniach Stalina stała się po XX zjeździe wiedzą powszechną, wykrzykiwaną bezkarnie na głos w tramwajach i na rogach ulic, na *takie* zaś ośmieszenie nie mogli się zgodzić próżni z natury „pracownicy kultury" nawet za cenę przynależności do profitariatu; okazało się wówczas że nikt nigdy nic nie wiedział, pojawiły się szybko *Matki Królów* i nowe interpretacje szekspirowskich „tragedii królewskich", a ledwie gramotny Nikita Sergiejewicz zaawansował do roli *bocca della verità*.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

List do redaktora «Prawdy»

Szanowny Towarzyszu Zimianin, W. M.

Od tygodnia bez mała żyję w atmosferze szantażu, nieporozumień, prowokacji.

16 czerwca otrzymałem oficjalne zawiadomienie ze Związku Pisarzy, że mój wyjazd do Nowego Jorku, gdzie miałem wystąpić 21 czerwca na Festiwalu Sztuki (a był to jedyny wieczór poezji na Festiwalu i ten wieczór był zarezerwowany dla poety sowieckiego), jest niepożądany.

Uprzedziłem kierownictwo Związku, jakie to może mieć następstwa. Od pół roku ten wieczór był reklamowany, były rozplakatowane afisze i rozsprzedane bilety. Zmiana programu była już niemożliwa. Abstrahując od mojego wewnętrznego przekonania, że decyzja Związku jest skrajnie nierozsądna, po rozmowie natychmiast wysłałem depeszę do Stanów Zjednoczonych, że nie mogę przyjechać.

W końcu, do diabła z tym wieczorem! Zapomnijmy, że nie wiadomo dlaczego początkowo (do 16-go) wszyscy byli za, a potem, nagle, zmieniono zdanie. To, co w tym jest nie do zniesienia, to ogrom kłamstwa i brak jakichkolwiek zasad, jakimi to wszystko było otoczone.

Osobiście pracuję, biorę udział w imprezach Związku, chodzę do teatrów, zmusza się mnie do przyjmowania zagranicznych pisarzy, a okazuje się, że Związek Pisarzy już od trzech dni informuje dziennikarzy, że jestem ciężko chory. Niewątpliwie zarząd wie lepiej, ale dlaczego mnie przynajmniej o tym nie zawiadomiono? Trudno wymyśleć większy idiotyzm. To jest naigrywanie się z elementarnej ludzkiej godności.

Jestem sowieckim pisarzem, jestem żywym człowiekiem z krwi i kości, a nie marionetką, którą się ciągnie za sznurek.

Dlaczegóż nagle, słuchając radia, dowiaduję się, że jak się okazuje „władze ZSSR pozwoliły Wozniesienskiemu pojechać na Festiwal. Zakaz wyjazdu został odwołany. Wizy zostały przyznane. Jest tylko problem biletu lotniczego?"

Otóż w tym samym czasie w Związku mówią mi: „Podróż nie odbędzie się. Zawiadamiamy, że jesteście chorzy". Okazuje się więc, że mnie kłamie się jedno, a pozostałym co innego. W jakiej jestem sytuacji? Co mam odpowiadać ludziom? Dlaczego przez cały ten czas nikt z kierownictwa Związku nie wezwał mnie, nie wyjaśnił o co chodzi, lub nie powiedział jaka jest oficjalna wersja mego niewyjechania. Mamy do czynienia z integralnym bluff'em. Dlaczego oni raz kręcą, że jestem chory, potem że za późno zgłosiłem się po bilet na samolot, ale że w najbliższym czasie wyjadę i to wtedy, gdy wszystkim wiadomo, że data wieczoru minęła. Dlaczego kompromituje się sowieckiego poetę w oczach tysięcy miłośników sowieckiej poezji? Dlaczego łudzić ludzi wystąpieniem, którego nie będzie? Dlaczego wpędzać organizatorów wieczoru w nowe wydatki? I w ogóle, dlaczego stwarzać takie poruszenie koło mego przyjazdu, nie-przyjazdu i to w tak ważnym momencie historycznym?

Nie chodzi o mnie, idzie o los literatury sowieckiej, o jej godność, o jej światowy prestiż. Jak długo sami będziemy się oblewali pomyjami? Jak długo podobne metody będą kontynuowane w Związku Pisarzy?

Najwidoczniej kierownictwo Związku nie uważa pisarzy za ludzi. Podobne metody kłamstwa, krętactwa są normalne. Tak się traktuje wielu moich kolegów. Listy do nas nie dochodzą, czasem na nie, za nas, odpowiadają inni. Jakieś prawdziwe kameleony pełne chamstwa. Otacza nas kłamstwo, kłamstwo, kłamstwo, bezceremonialność i kłamstwo.

Wstyd mi, że jestem w jednej organizacji z takimi ludźmi.

Oto dlaczego piszę ten list do waszej gazety, która nazywa się „Prawda".

Andrej WOZNIESIENSKIJ

TOM 142 BIBLIOTEKI «KULTURY»
Seria «DOKUMENTY»
ALICJA ZAWADZKA-WETZ
REFLEKSJE PEWNEGO ŻYCIA
Wspomnienia
Str. 240. Cena egz. F. 16,50 (dol. 3,50; 24/6)

Polemiki

Smutno mi Boże — — kiedy na Zachodzie...

Ale właściwie nie za bardzo. Prawdę mówiąc, to nawet i nasłodziłem się trochę tymi opiniami. Potwierdziły one raz jeszcze egzystencjalną prawidłowość, wyrażalną krótkim terminem: po cholerę? Po co rwać się, szarpać, próbować i starać się ukazać choć kawałek, choć cząstkę tego co tak trudno wyrazić i przyszpilić, kiedy rezultat będzie zawsze tak samo dwuznaczny i samobójczy. Nie należy mieszać się w doraźność, zwłaszcza totalną i komunistyczną, pouczał mnie kiedyś ktoś komu naówczas nie wierzyłem: wydawało mi się w ciepłych trzewiach doraźności zawsze doszukać się można czegoś czystego i pulsującego, czegoś co wcale nie odraża. Ale gdy zaraz po Październiku zaczęli napływać do Warszawy zachodni cudzoziemcy, każdy z tych co to był na nie, uważał ich za najdroższych, oddanych, lojalnych sprzymierzeńców. Byliśmy ofiarami komunistycznej propagandy, która idiotycznie, przez lata całe, głosiła tę teleologiczną wspólnotę interesów. Tymczasem to była krwawa pomyłka. Intelektualni turyści, dziennikarscy komiwojażerowie, laboratoryjni wyceniacze tzw. bieżącej prawdy rozkładali tę prawdę samoczynnie, tylko przez dotknięcie, przez swe upodobane pochylenie się nad „narodowymi" komunistami, cierpiącymi stalinowcami, subtelnymi kolaborantami i finezyjnymi oportunistami, zgwałconymi bez znieczulenia i uwikłanymi w „niewypowiedziane". Przepadali za wysłuchiwaniem ich psychicznych skurczów przy kawiarnianych stolikach i ich talmudycznych spowiedzi. Nie przeczę, być może to była właśnie najwłaściwsza analiza historii, ale dodać trzeba, że zwykli oporni odrażali ich symplactwem, a reszta ginęła na bezdrożach ambiwalencji. I wtedy to właśnie pewien umysłowy kozaczek, któremu skarżyłem się na ślepotę, tępotę i niefrasobliwość tych nowoprzybyłych z Bostonu i Paryża, wzruszył ramionami i rzekł treściwie: „Po cholerę. I tak w życiu nie pojmą. W tym trzeba było być".

A może zresztą tkwi w tym jakaś zdrowa konieczność, że nie trzeba wiedzieć za dużo, żeby wiedzieć lepiej, właściwiej i w ramach prawidłowych perspektyw. Czterech panów, którzy dyskutowali moje „Porachunki Osobiste" przed mikrofonem Radia Wolna Europa* ocenili je z dobrze dobranego dystansu i kto wie — może z maksymalną precyzją, na którą nie potrafiłem się zdobyć. Przede wszystkim, umiejętnie wydobyli i uwypuklili kwintesencję tytułu: rzecz była o porachunkach osobistych, więc ich osobistość określa sens całej wypowiedzi. Walor uogólniający — stąd — nader wątpliwy, a więc i także prawo do uniwersalniejszych sądów raczej ograniczone. Chyba to i racja i jakoś nie przyszło mi do głowy. Zaś pochodne? Z tych właśnie pochodnych dowiedziałem się mnóstwa o sobie, co podano mi do wiadomości w sposób delikatny i skłaniający do skruszonych zastanowień. A więc, że jestem pisarzem trzeciorzędnym i wszystkie moje kompleksy i urazy wynikają z owej dalekorzędności, przy czym mój jakoby najtrwalszy obrońca nazwał mnie „mistrzem w swojej kategorii". (Wiadomo, co za kategoria, he, he...) Że działam i piszę pod ciśnieniem nienawiści i zawiści. Że przy pomocy upostaciowanych zasług i drapowania się w nieskazitelność rekompensuję swoje intelektualne ubóstwo. Że stroję się w prostackie „a widzisz, kto miał rację?", bo to jest jedyny sposób zaznaczenia własnej obecności. Że nie jestem Mickiewiczem (co nie jest spostrzeżeniem zaskakującym, ale zawsze przykro). Wreszcie p. dyr. Jan Nowak pouczył mnie moralnie, że rzetelność nie popłaca, natomiast daje wewnętrzne zadośćuczynienie, i że moje oczekiwanie na nagrodę za nienaganność — cytuję — „przekreśla w pewnym sensie motyw każdej rzetelności".

Tu jednak muszę rzec skromnie: nie. To nie tak. To inaczej — i albo p. Nowak przeoczył co jest inaczej, albo nie chciał tego dostrzec. W „Porachunkach Osobistych" podkreślałem na każdym kroku, że ich osobistość to filtr, że takich jak ja jest mnóstwo, tysiące i miliony, że żyją oni, działają, myślą, czują i martwią się w Polsce w tak wielorakich pionach, poziomach, płaszczyznach i w sposób tak zróżnicowany, iż właśnie po to, ażeby nie upraszczać, sprowadzam ich do mojego mianownika. Nigdzie w „Porachunkach" nikt nie znajdzie akcentu „jedynego sprawiedliwego w Gomorze", zaś wszędzie mówię o takich jak ja, dotkniętych przez to samo, uginających się pod ciężarem tego samego. Oczywiście, uginanie to i jego rytm różne są w różnych środowiskach

* Audycja RWE z dn. 26 czerwca br., której stenogram ukazał się w dodatku do „Wiadomości" „Na Antenie", w nrze 1113 z dn. 30 lipca br.

i zawodach, stąd liczne nieporozumienia, ale chyba zgodzi się p. Nowak, że dla poparcia mych tez nie należy powoływać się na autorytety, czy egzemplifikować po nazwisku. Nie jest prawdą, że ja chcę nagrody za rzetelność, nienaganność, czy jak to tam moi jurorzy nazywają, ale prawdą jest, że zdecydowanie chcę i domagam się odnotowania i uznania mojego udokumentowanego *punktu widzenia* i moich zasad ideowo-moralnych, które ten punkt widzenia ustanawiały, a które z kolei rzeczy są zarówno własnością wielu innych ludzi w Polsce, jak i konkretnym układem odniesienia wobec tych, którzy pisali, mówili i działali inaczej i wrogo w stosunku do przytłaczającej większości społeczeństwa i mnie *y compris*. Owi politycy, działacze społeczni, pisarze i intelektualiści pisali i czynili różne brudne świństwa, służyli zbrodniom i kłamstwu, nurzali się w krzywdach innych ludzi, bronili gwałcicieli i metod gwałtu. Brud polityczno-społeczny pozostaje zawsze brudem, bez względu na to czy dyskutant p. Jeleński nazwie go „niesłychanie skomplikowaną kwestią psychologiczną, o której można mówić godzinami", zaś mechanika (i to tragiczna) tych spraw w komunizmie jest taka, że nawet najczystsi ideowo komuniści nie potrafią uniknąć schlapania się gnojem podłości i matactw. Oczywiście, można sobie po prostu powiedzieć, że brud nie jest brudem i wszyscy usmoleni zawsze tak sobie mówią co przecież wcale nie znaczy, że błoto obiektywnie znikło z ich twarzy. Pojawia się przeto doniosłe, a zarazem trudne pytanie: co zrobić ze słusznością (czy rzetelnością) odczynioną od tego gnoju? Co robić teraz, jeśli *nie* przykładało się wówczas rąk do przecherstw i łotrostw, a dziś uważa się, że ówczesne przykładanie jest z takich czy innych powodów godną uwagi sprawą? Jak dać świadectwo temu, że ówczesne odmowy szmacenia się miały proste i nieskomplikowane powody, albowiem uważało się, że białe jest białym, a czarne czarnym, albowiem smród śmierdział, kłamstwo było łajdackim odwróceniem prawdy, a polityczne morderstwo zbrodnią, a nie dialektycznym meandrem historii? Właśnie z tych prostych i niewymyślnych powodów wielu i ja między nimi nie chciałem pisać tego co pisywali pisarze, których p. Maciej Morawski wymienia w dyskusji jako głębszych i doskonalszych ode mnie. Więc jak brzmi odpowiedź? Czy fakt, że o tym wszystkim zdecydowałem się pisać jest niesmacznym oczekiwaniem na nagrodę? Dyr. Nowak jest *homo politicus* i jako taki wierzy w erozje i uznaje pakty z diabłem za tzw. pociągnięcia. Lecz każdy polityk, czy chce czy nie chce, musi szukać oparcia w *jakiejś* społecznej moralności. Obawiam się, że zarzucając mi natrętne wyczekiwanie na nagrodę za uparty antykomunizm jako coś co nie jest zbyt *comme-il-faut*, dyr. Nowak podcina gałąź, na której sam siedzi. Radziłbym się

nad tym zastanowić. Zwłaszcza, że nie mam powodu posądzać dyr. Nowaka o pryncypialną obojętność dla ideologii i moralności.

Wszyscy dyskutanci w mniej lub bardziej stanowczej formie wyrazili podejrzenie, że jestem (przynajmniej obiektywnie i nieświadomie) pomniejszycielem i paszkwilantem Października. Jako drugiego wymienili Jedlickiego. Okazuje się, że my dwaj z Kraju jesteśmy jakoby przeciw Październikowi, a panowie z emigracyjnej loży są za. Ciekawe byłoby posłuchać innych świadectw z Kraju i może po latach wiele z Październikowej mitologii uległoby przewietrzeniu. Dla obserwatorów z zewnątrz Październik był i jest cudownym, szlachetnym zrywem, który pchnął do przodu koło historii. Trochę tak, nikt temu nie przeczy, ale my z Kraju mamy jeszcze ponadto naskórkową świadomość różnych mętnych kombinacji wokół tego pchania, oraz tkwiące w podświadomości przekonanie o tym jak daleko pchnięto. Antykomunistyczni i emigracyjni teoretycy znają mnóstwo dedukcyjnych, zsyntetyzowanych przez publicystykę szczegółów, ale autopsja to potęga i tego im właśnie brak. Dlatego moi dyskutanci tak różnią się ode mnie w ocenie Października. Dlatego gotowi są tak wiele wybaczać, a ja nie. Wiedzą oni bez pudła jak doniosłą rolę odegrał w Październiku „Poemat dla dorosłych" Ważyka. Ja wiem od nich inaczej. Wiem, na przykład, że upajała się nim pewna część inteligencji partyjnej i aparatu, ale szerokie masy narodu i młodzieży nie miały o nim zielonego pojęcia. Tu moi krytycy uznają, że sam oddałem się im na pastwę i powtórzą: to właśnie utrzymujemy przez czas cały, właśnie czytywali go i uznali za swój manifest partyjni intelektualiści, którzy *zrobili* Październik, za co chwała im i odpuszczenie grzechów wszelkich. Na to ja: nieprawda. Październik nie był przez nikogo *zrobiony*, lecz był wynikiem materialnego i moralnego załamania się komunizmu w Europie Wschodniej na skutek 10-letniego, kamiennego, biernego oporu antykomunistycznych mas. Oczywiście, można było te masy trzymać jeszcze w terrorze przez następne dekady, ale śmierć Stalina i towarzysząca jej walka o władzę uwolniły siły, którym zwłaszcza w Polsce przypadły w udziale rola dynamiczna i celowy sposób działania. Polski antykomunizm, mimo pozorów inercji i zobojętnienia zakorzeniony głęboko w masach i w nonkonformistycznej części inteligencji, stał się narzędziem w rękach partyjnych koterii i elementem rozgrywek, kontrola nad którymi w określonym momencie i na krótko wymknęła się z rąk wszystkich grających. Zrewoltowani intelektualiści partyjni, a między nimi intelektualni lokaje, nie *robili* Października, lecz żywili się nim jak samochód benzyną. To nie oni wymyślili Chruszczowa i jego obrazoburstwo, to nie oni urządzili Poznań i nie oni

„szumieli" na fabrykach, nie z ich inicjatywy ludzie zbierali się w tłumy na Żeraniu i na rogach ulic. Oni tylko o tym pisali pośród przychylnego chaosu sprzecznych zarządzeń partyjnych, korzystając z zepsucia się lampy drogowej z zapalonym, zielonym światłem. „Jedyna nadzieja na zmiany tkwi właśnie w tym środowisku", powiedział w dyskusji dyr. Nowak o zbuntowanych intelektualistach partyjnych i rewizjonistach, „bo jest to środowisko, które mimo wszystko zachowało ogromny wpływ". Cóż za czarująca naiwność! Myślę, że wystarczyłoby dyr. Nowakowi przysłuchać się jednej sesji Związku Literatów Polskich by gwałtownie zmienić zdanie. Skończmy także z innym śmiesznym mitem: to nie *oni* przygotowywali Październik — kiedy społeczeństwo kładło w ciemnościach fundamenty pod przyszłe zmiany, *oni* pisywali impertynencko-żałosne elegie socrealistyczne, lub uprawiali samogwałt sumień w zamian za trzypokojowe mieszkania na Starówce. W latach 1949-1953, gdy procesy substrukturalne kłębiły się w żywym organizmie społeczeństwa, prowincjonalny, nieustępliwy proboszcz, odziedziczony po PPS-sie działacz związków zawodowych i zakamuflowany akowiec na głodowej posadce więcej zrobili dla przyszłego, komunistycznego Października, niż wszyscy Ważykowie, Andrzejewscy, Kottowie wzięci do kupy. Ponurym smutkiem Rosji jest, że wszelka walka o przyzwoitość rozgrywa się w obrębie pojęć marksistowsko-leninowsko-partyjnych. W Polsce mnóstwo tradycyjnie odziedziczonych wyobrażeń o prawości, przyzwoitości i etyce społecznej pozostało twardo raz na zawsze poza partią i poprzez nieustępliwą negację, odmowę, sabotaż dezorganizowało śmiertelnie komunizm od góry do dołu, od wiary do ekonomiki, co w końcu doprowadziło do przed-Październikowego załamania, chaosu i konieczności zmian. Zaś w samym okresie Października naród, który bez trudu pamiętał elukubracje „swych" pisarzy i publicystów sprzed 4 lat, z rozbawieniem patrzył na ich nowe olśnienia i oniemienia wobec *Neo-Prawdy;* zresztą uważał ich za błaznów, a ich nagłe wolty za szmatławość. Ludzie byli dość rozżarci wtedy i nikt nie witał oklaskami obecnych laureatów Wielkiego Rozczarowania, jak to się aktualnie urabia w legendę. Nie bardzo ich w ogóle wtedy było widać, liczyły się wartości nowe i autonomiczne, dopiero co poczęte i bez garbu, „Po prostu" i „Bim-Bom", Goździk i Hłasko. Ale nie bądźmy małostkowi: „Poemat dla dorosłych" jest jednym z donośnych strzałów artyleryjskiego przygotowania przedpaździernikowego i nikt nie myśli odbierać mu należnego miejsca w galerii innych, pamiątkowych pocisków; rzecz w tym, że nie należy go lansować zbyt wysoko ani ze względu na jego literackość, ani na osobę autora. Po prostu stoi w jednym rzędzie z Teatrem na Tarczyńskiej, festiwalem jazzowym w Sopocie, wystawą malarską w Arsenale, wszechnarodową dyskusją o praworządności i o chuligaństwie, ani wyżej, ani niżej, pośród mnóstwa innych. Nie chciałbym w niczym umniejszać zasług Ważyka, tym bardziej, że osobiście uważam go za postać sympatyczną i wymienianie go jednym tchem z Janem Kottem (jak to robi p. Nowak) przynosi mu moim zdaniem ujmę. Adam Ważyk był postacią odrażającą zaraz po wojnie, kiedy to paradował po Klubie Pickwicka w Łodzi z wielkim rewolwerem u boku, uważał wraz z Wiktorem Groszem A.K. za „zaplute karły reakcji" i pisywał sztuki teatralne piórem maczanym w obskuranckiej dialektyce. Ale zdarzyło mi się słuchać Ważyka na prywatnym zebraniu z intelektualistami katolickimi po Październiku, gdy mówił o swej światopoglądowej tragedii i o bankructwie całożyciowych wiar — słowa jego brzmiały poważnie i autentycznie, a nawet wzruszająco. Ważyk nie szeptał na ucho dowcipów o Stalinie za Stalina, zaś po upadku swych idej nie usiłował sprzedawać swych dręczących metamorfoz za grube pieniądze i tanią popularność. Tak, jak to właśnie czynił Jan Kott, który z humorkiem uskrzydlonego żartownisia obnosił swe sceptycyzmy wieczorami pomiędzy zaufanymi znajomymi, podczas gdy poranna prasa przynosiła nowe, lokajskie Jana Kotta ukorzenie się przed Nieodwracalną Brutalnością Historii; zaś natychmiast po obaleniu tyrana zabrał się do zręcznego handlu swą własną apostazją. Lecz fakt, że szanuję Ważyka nie przeszkadza mi widzieć go we właściwych proporcjach i „Poemat dla dorosłych" nie jest w moim pojęciu „gestem bardzo wielkiej odwagi osobistej", jak uważa p. Jeleński, lecz zasługującym na szczere uznanie aktem publicznego rozdzierania szat i prania pojęciowych brudów, za który w czasie jego pisania i publikacji już nic nikomu nie groziło poza poklaskiem ogółu, uszanowaniem ze strony kolegów i krzywymi spojrzeniami gburów z Natolina. Odwagą byłoby gdyby Ważyk napisał go 4 lata wcześniej i dawał maszynopis znajomym do czytania. Tak samo jak myli się p. Nowak, gdy uważa wystąpienie Kotta na wiecu na Politechnice za bohaterstwo. Po łagodnie malenkowowskiej ochabszczyźnie (też słowo!), po zwalnianiu więźniów z łagrów na Syberii, czołgi sowieckie koło Radzymina miały w sobie tylko połowę grozy i wzmacniały tylko patos gestów na trybunie. Na listach proskrypcyjnych Witaszewskiego figurowało niemal pół Polski i mało było szans na ich pełne wyegzekwowanie. Nikt w ogóle nie wierzył, że może być gorzej: mogło być albo lepiej, albo z powrotem Ochab, co znowu nie wyglądało zbyt fatalnie w porównaniu z Bermanem i Radkiewiczem. Przecież nawet na Węgrzech strzelano tylko do tych, którzy strzelali, a nie mówili, i z doświadczeń węgierskich wynika, że strzelało się do Goździków i Stefanów Staszewskich, ale nie do Kottów. Praw-

dziwa heca z kamieniami, milicyjnymi „bananami" i fizycznym ryzykiem zaczęła się dopiero przy likwidowaniu „Po prostu": może się mylę, ale nigdy nie słyszałem o jakichś wystąpieniach Kotta na Placu Narutowicza.

Pozostaje sprawa p. Konstantego Jeleńskiego, który zaatakował mnie ostro, bezpardonowo i z podziwu godną naiwnością. Nie dziwię mu się. Stanowimy tak przeciwstawne osoby, wywodzimy się z tak różnych *backgrounds* i tak inaczej przebywamy życie, że nawet „byt określa świadomość" wzmocniony teorią dziedziczności uchwyciłby tu jakąś prawdę. Jako inteligentna jednostka arystokratycznego pochodzenia p. Jeleński jest zwolennikiem intelektualnego dandyzmu, uważa walor umysłowy i igraszki rozumu za kulturotwórczą wartość samą w sobie, rzadko podlegającą innym wartościowaniom. Jest to piękna tradycja wybitnych arystokratów rodu i myśli, którzy nawet umierając pod gilotyną określali z wyniosłą i czarującą introspekcją to co się wokół nich działo jako „ciekawe" i „zabawne". Mnie jednak mordowanie ludzi w imię skazanych na zagładę abstrakcji jakoś nigdy nie bawiło. Dla p. Jeleńskiego prof. Adam Schaff jest „zabawny", bo tak „zabawnie" pisze o alienacji i „zabawnie" interpretuje marksizm. Ja pochodzę z o wiele skromniejszych regionów społecznych, wychowałem się w mieszkaniu bez łazienki i dla mnie prof. Schaff jest... nie mogę użyć tego słowa bowiem zabrzmiałoby niegramatycznie, a mnie chodzi o czystość języka. Wywodząc się z klas nieposiadających i mało uduchowionych i jak ci wszyscy, którzy dopiero z czasem zaczęli rozglądać się po cywilizacji i kulturze, nie uważam wcale za zabawne jeśli ktoś buduje swoje znaczenie na giętkości umysłu w służbie zbrodni i kłamstwa, oddaje uprawę filozofii w pacht ordynarnego koniunkturalizmu politycznego, potrafi sofistycznie usprawiedliwić każdą podłość i składać fałszywe świadectwo na każdym kroku, a przy tym denuncjować bardziej niezawisłych od siebie i pozbawiać posad i emerytur starych, inaczej myślących ludzi. Podczas dyskusji p. Jeleński zarzucił mi szereg brzydkich rzeczy, na przykład — cytuję — „... w tekście Tyrmanda jest zawiść i nienawiść do wybitnych. Czego symbolem jest właściwie występujący w artykule Jan Kott? Pod Kotta można podłożyć każdego, który podpisał manifest 34-ech. To jest (niby mój artykuł — L.T.) atak na tych 34...".

To jest, nie unosząc się, rzec muszę i *excusez-le-mot*, bełkot, usprawiedliwiony wyłącznie przedmikrofonowym p. Jeleńskiego podnieceniem. Nie tylko fałszujący najprostsze przesłanki mojego artykułu, ale i zapoznający najoczywistsze fakty z aktualności krajowej, które publicysta zajmujący się Krajem obowiązany jest znać. Jest rzeczą powszechnie wiadomą jakim rozwarstwieniom

ulegli sygnatariusze protestu 34-ech, ilu z nich po dziś dzień nie otrzymuje paszportu i nie wydaje książek, podczas gdy Jan Kott siedzi od ponad roku w Ameryce i książki jego ukazują się bez przeszkód w Polsce. Identyfikacja Kotta z całością grupy 34-ech jest cudem ekwilibrystyki polemicznej: pamiętam dobrze, że byli i tacy, którzy wahali się przed złożeniem swego podpisu ze względu na nazwisko Kotta pod listem. Wielu spośród sygnatariuszy jest godnych, w moim przekonaniu, najwyższego uznania i poważania, inni są moimi wieloletnimi przyjaciółmi, i pamiętam równie dobrze, że zarówno jedni jak i drudzy tłumaczyli się gęsto w gronie swych zwolenników i admiratorów za znalezienie się z Kottem w jednym szeregu i przyznawali z troską, iż w istocie jest to rzecz mało gustowna. Czytając kategoryczne stwierdzenia p. Jeleńskiego było mi przykro za tych ludzi, którzy nie mogą się bronić przed fantazjami p. Jeleńskiego, a których p. Jeleński tak dojrzale i odpowiedzialnie stawia na jednej płaszczyźnie z Kottem, których z nim utożsamia i na siłę fraternizuje. Owych ludzi, o czym p. Jeleński zdaje się nie wiedzieć, różni od Kotta rzecz zasadnicza: posiadają oni prawidłowo umiejscowiony zmysł obrzydzenia i nikt z nich nie splamił się nigdy owym rodzajem psychicznej hucpy, która pozwala Kottowi bez zmrużenia powieki napisać w 1955 roku to, co sobie myślał w roku 1950 na zjeździe literatów w Warszawie: „Po raz pierwszy ujrzałem się w zasadniczym konflikcie ze zdaniem partii i to w sprawie dla mnie najważniejszej... w sprawie dróg rozwoju literatury...". W 1950 ujrzał, w 1955 o tym napisał, a co pisywał w międzyczasie (może dla chleba?) sprawdzić można w rocznikach „Przeglądu Kulturalnego" i „Nowej Kultury". Powyższy cytat wyjąłem z przedmowy Martin Esslin'a do amerykańskiego wydania „Shakespeare Our Contemporary": rzecz jasna, biedny Esslin uważa te etapy za niezwykłą glorię intelektu, zaś w sumie stanowi to razem przemiłą ilustrację do buńczucznie przez p. Jeleńskiego postawionej tezy, że rozgłos książki Kotta nie ma nic wspólnego z jego przeszłością. Boję się jednak, że większość spośród 34-ech nie posiada tak zawiłej przeszłości, wobec tego nie grozi im rozgłos światowy, a tylko szacunek własnych pobratymców.

Spór o Kotta stanowi zresztą rzecz drugorzędną, ostatecznie każdy lubi co lubi. Gorzej, że p. Jeleński popadł ze mną w spór o kwalifikacje i z dość magnacką niefrasobliwością zarzucił mi, że piszę głupstwa. Chodzi mu o następujący pasaż z mojego artykułu: „Za Gomułki najsilniejszy jest w Polsce średni aparat administracyjny. Wiceministrowie i dyrektorzy... Gomułka już ich mierzi, zaś Kottowie są sympatyczną alternatywą, z którą łatwo można się pogodzić...". Po czym p. Jeleński dodaje od siebie:

„Przepraszam bardzo, Kott jako kontrkandydat Gomułki? To jest szczyt głupstwa! Tak zwana grupa 'trzydziestu czterech' nie ma politycznej szansy w Polsce. Jest absurdem mówienie, że oni są przez średni aparat komunistyczny popierani...". A więc po pierwsze: co za grupa? Jak już wspomniałem, wśród 34-ech jest wielu takich, którzy wahają się przed podaniem Kottowi ręki i ci rzeczywiście nie mają żadnej szansy w Polsce, nie tylko politycznej. Po drugie: jak to łatwo zauważyć w zacytowanym przez p. Jeleńskiego fragmencie, nie napisałem, że Kott jest dla Gomułki alternatywą władzy; taka implikacja jest z gruntu fałszywa i wynika albo z p. Jeleńskiego złej woli, albo z zupełnego niezrozumienia mojego tekstu. Przypuszczalnie to drugie i to chyba z mojej winy. Należało zaopatrzyć „Porachunki Osobiste" w adnotację: „Tylko dla Kraju! Zachód — proszę nie czytać!". W „Porachunkach" używam na każdym kroku języka skrótów, jedynego możliwego w przepaściach komunistycznych przeinaczeń, którym posługują się miliony ludzi tam. I my się rozumiemy. Słysząc: „szczytowa wyżówa" p. Jeleński nie wie o co chodzi, ale my wiemy od razu, że termin ten oznacza niezwykle inteligentnego przedstawiciela młodego pokolenia płci żeńskiej. Pewne cechy egzystencji i postaci ludzkich w takim systemie to syndromy, grupy symptomów dla określonych zjawisk i warunków. Gomułka jest pojęciem zbiorczym: polityk i sztywniak, antyinteligent i ograniczony, purytański katecheta, dyktator i populista w złym stylu. Kott to również syndrom i reprezentuje nie tylko siebie, lecz klasyczną postawę bezczelnej kazuistyki, intelektualnego cwaniactwa, żonglerstwa zasadami, gimnastyki odpowiedzialnością i sumieniem, krzepkiego, ideowego hochsztaplerstwa. Uosabia to wszystko, za czym przepada średni aparat administracyjny (przynajmniej ten z doniedawna, sprzed roku jeszcze), od ambasadora Michałowskiego, poprzez wyemancypowanych na międzynarodowych targach, wymuskanych wiceministrów resortowych, aż do towarzyszek Blatmanowych włącznie. Stanowi *sympatyczną*, a nie *polityczną* alternatywę i dlatego aparacik ten tak skutecznie walczy o paszport i książki Kotta. P. Jeleński nigdy nie żył w totalizmie, trudno go winić, że nie rozumie nic a nic z komunistycznych mętności życia i kluczowych do nich skrótów, należą mu się więc wyjaśnienia. Ale dlaczego od razu „głupstwa"? Czy dlatego, że wcale nie napisałem tego, co p. Jeleński myśli, że napisałem? Czy ładnie jest określać mianem „głupstwa" coś czego się nie rozumie? Daleko byśmy nie zaszli w rozwoju nauk i sztuk gdyby każdy tak postępował w druku jak p. Jeleński.

Fakt, że p. Jeleński nie żył nigdy w totalizmie leży u podłoża zarzutu najboleśniejszego. Mówi p. Jeleński (zresztą z ujmującą poufałością): „Odczuwam jako zgrzyt w artykule Tyrmanda przewijającą się zasadę, że najwięksi karierowicze, którzy są dobrzy dla Poldka, wychodzą w jego artykule dobrze. Ci, którzy są obojętni dla Poldka, albo nie lubią 'Złego' — wychodzą źle".

Słowom tym nie można odebrać pewnej słuszności, lecz rzecz wymaga wyjaśnień. Życie w totalizmie jest nieprzeniknionym gąszczem moralnym, dżunglą najsprzeczniejszych dyspozycji rozumowych i uczuciowych. Wśród nieustającego ścierania się kryteriów dochodzi się wreszcie do punktu, w którym wartościowanie subiektywne jest jedynym schronieniem, o ile chce się ujść najprostszym nikczemnościom, jak odpłacanie złem za dobre i kąsanie ręki, która właśnie karmi. Wie o tym każdy, kto doświadczył hitleryzm i komunizm na własnej skórze. To nie demokracja, parlamentaryzm, liberalizm, gdzie terminy, podziały, klasyfikacje mają znaczenie zdrowe i obowiązujące, gdzie republikanin, katolik, konserwatysta, socjalista, czy agnostyk pozwalają poruszać się w sprawdzonych i ważnych zaszeregowaniach. Tam każdy idzie indywidualnie pod mikroskop i to bez nalepki, wywieszka się nie liczy, to co mówi jest nieważne, to co robi trzeba sprawdzić — i tak formuje się wiedza o bliźnim, o drugim człowieku. Być może, że niektórzy ludzie, o których napisałem bez odrazy, zasługują na odrazę i moja prywatna taryfa ulgowa może stanowić dla p. Jeleńskiego przedmiot pogardy i kpin. Ale nawet żyjąc w warunkach wolności p. Jeleński nie potrafi ustrzec się przed podobnym błędem. Zaraz bowiem po opinii p. Morawskiego, że — cytuję — „... chyba artykuł Tyrmanda pomoże zdemaskować zakłamanie oportunistów..." p. Jeleński oświadcza z mocą: „Nie, nie pomoże zdemaskować dlatego, że on atakuje właśnie tych ludzi, do których *JA* (podkreślenie moje — L.T.) mam najwyższy szacunek!..."

Są to słowa nieostrożne i stawiają motywy ocen p. Jeleńskiego w jeszcze dwuznaczniejszym świetle, niż moje. Jakie mamy dane na to, że p. Jeleński szanuje właściwych ludzi? Dość żadne, jeśli nie liczyć jego własnego zapewnienia, że są oni godni najwyższego szacunku. A może p. Jeleński wie o tych ludziach nie wiele i niezbyt dokładnie? Może są to zdeklarowane kanalie, którym udało się wmówić p. Jeleńskiemu, że są mężami Opatrzności? Szacunek p. Jeleńskiego sam w sobie nie jest żadną obiektywną, ani moralną, ani prawną miarą wartości. Może inni ludzie głęboko gardzą ludźmi, których p. Jeleński szanuje. Sąd p. Jeleńskiego nie jest społecznie sprawdzalny i stanowi tylko p. Jeleńskiego osobiste przekonanie, oparte na jego prywatnej wiedzy i doświadczeniu. Czy więc dlatego ja nie mam prawa do demaskowania, bo moje przekonanie i doświadczenie popada w kolizję z p. Jeleńskiego super-normą szacunku? Bodaj, że św. Augustyn napisał, że to o czym wiemy, jest bardzo mało, a tego, czego

nie wiemy jest bardzo wiele. O czym pozwalam sobie p. Jeleńskiemu z pokorą przypomnieć.

◆

Smutno mi, Boże, gdy pan Józef Czapski... Tu nawet i rekreatywna melancholia kolegi Jula Słowackiego zawodzi doszczętnie. Zawsze wierzyłem (i wierzę nadal), że p. Czapski jest wzorem serdecznej postępowości i wyrozumiałej wiedzy o różnych zakątkach życia i duszy człowieczej. Toteż zmartwiłem się szczerze, gdy z dyskusji owej dowiedziałem się, iż upatruje on w fakcie nie zapłacenia mi przez Rosjan honorarium za wydanie „Złego" źródło mych wielkich rozgoryczeń. No, ale z tego to ja się już tłumaczyć nie będę.

Leopold TYRMAND

TOM 144 BIBLIOTEKI «KULTURY»

JULIUSZ MIEROSZEWSKI

POLITYCZNE NEUROZY

Jak należy ustosunkować się do Rosji? Jakie błędy popełnili powstańcy węgierscy? Gdzie leżą źródła naszej anty-rosyjskiej neurozy? Na powyższe pytania, i na wiele innych, stara się dać odpowiedź autor w swoim nowym tomie esejów.

Str. 192 Cena egz. 13,50 F (dol. 3,00; 20/-)

Archiwum polityczne

« Ani z Rosją ani z Niemcami »

Mini-mocarstwo nie może mieć wspólnej granicy z super-mocarstwem. Gdyby Izrael posiadał wspólną granicę ze Związkiem Sowieckim, przebieg trzeciej wojny izraelsko-arabskiej miałby inny charakter. Rosjanie mieliby wówczas możliwość bezpośredniego nacisku politycznego, gospodarczego i wojskowego i w każdej sytuacji wymusiliby na Izraelu znaczne ustępstwa. Z tych przyczyn Polska w Europie wschodniej nie jest mini-mocarstwem a 2,5 milionowy Izrael na Środkowym Wschodzie jest mini-mocarstwem.

Układ sił stanowi do pewnego stopnia niewiadomą, aż do dnia próby. Na układ sił składają się bowiem elementy, których nie ujmują ani statystyki ani raporty agentów wywiadu.

Ilekroć przyjeżdżałem na urlop z Iraku do Palestyny czy z Afryki do Palestyny — miałem uczucie powrotu do Europy. To był kawałek cywilizacji i kultury europejskiej przeniesiony na grunt azjatycki. Arabowie już wówczas zarzucali Żydom, że stanowią „obce ciało" na terenach Środkowego Wschodu. Arabowie mają rację — Izrael jest państwem i narodem europejskim pomimo, że etnicznie Żydzi są semitami.

Tragedia Arabów polega na tym, że choć, podobnie jak Żydzi, są semitami — to jednak, w przeciwieństwie do Żydów, nie są Europejczykami. Arabowie zarzucają Żydom, że stanowią „obce ciało" na Środkowym Wschodzie. Lecz Arabów zdradził ich własny element, tj. pustynia. Nie pomogło im dochowanie wierności odwiecznemu obyczajowi i tradycji. Pustynia — w przeciwieństwie do dżungli — stanowi wymarzony teren dla wojny technologicznej. Na pustyni zwycięża ten, kto góruje nad przeciwnikiem myślą taktyczną i wyposażeniem technicznym. Nie dość jest mieć przewagę w broni pancernej. Poziom wyszkolenia całej armii musi być bardzo wysoki. Na pustyni pomysłowy generał może dokonywać cudów pod warunkiem, że wszystko jest dowiezione na czas i organizacja zaplecza funkcjonuje jak szwajcarski zega-

rek. Technologia, organizacja, *efficiency* — nie są do osiągnięcia w czasokresie jednego pokolenia. Z tych przyczyn Arabowie przegrali. Egipscy oficerowie wzięci do niewoli mieli przy sobie podręczniki taktyki pancernej tłumaczone żywcem z rosyjskiego. Doktryna rosyjska — być może znakomita na terenach europejskich — jest całkowicie niezastosowalna na pustyni.

Specjaliści Pentagonu, którzy ze zrozumiałych względów przeanalizowali kampanię izraelsko-arabską z mikroskopową dokładnością — wyrażają pogląd, że Arabowie przez następne ćwierć wieku nie będą stanowili militarnego zagrożenia dla Izraela.

Dla Rosjan błyskawiczna klęska Egiptu była całkowitym zaskoczeniem. Jeszcze raz okazało się, że państwo totalne nie może mieć dobrego wywiadu. Setki „doradców" sowieckich na Środkowym Wschodzie informowało Moskwę nie zgodnie z prawdą, ale zgodnie z życzeniami centrali. Doradcy sowieccy przy armii egipskiej, którzy dostali się do niewoli izraelskiej — byli bardzo skrupulatnie i długo przesłuchiwani a następnie odesłano ich morzem do Odessy. Amerykańscy reporterzy na Środkowym Wschodzie twierdzą, że taśmy z nagraniem przesłuchań i filmy stanowią poważny atut w rękach Izraela.

Wielu Polaków uporczywie podtrzymuje tezę, że komunizm nie ewoluuje ponieważ nie wyrzekł się ideologicznego postulatu opanowania świata. Wydarzenia na Środkowym Wschodzie stanowią wymowną ilustrację faktu, że Związek Sowiecki uprawia *de facto* nagą politykę imperialną, choć doktrynalnie nie wyrzekł się polityki ideologicznej. W Izraelu partia komunistyczna działa legalnie. W Egipcie partia komunistyczna jest zakazana a komuniści siedzą w więzieniach. Niemniej, z punktu widzenia czysto imperialnej polityki rosyjskiej — Arabowie są znacznie bardziej atrakcyjni niż Izrael. Opanowanie Środkowego Wschodu możliwe jest tylko poprzez ustanowienie baz sowieckich w Egipcie, Syrii itd. — według klasycznych wzorów brytyjskich z „minionego okresu".

Zmieniają się nazwy państw, zmieniają się ideologie — nie zmienia się tylko polityka imperialna. Wszystkie rewolucje prowadzone były w imię anty-imperializmu. Z programów rewolucyjnych nie pozostało śladu ani popiołu a imperializm — jak dawniej — wydaje się główną napędową siłą historii.

Kryzys na Środkowym Wschodzie ujawnił z przerażającą plastyką polityczny upadek Europy. Na Morzu Śródziemnym liczyły się tylko floty amerykańska i sowiecka a w Glassboro spotkał się tylko Johnson z Kosyginem. Cały Środkowy Wschód i jego problematyka jest dziełem europejskim. Lecz to nie Europejczycy będą likwidatorami tej masy upadłościowej — ale nasi sukcesorzy tzn. Amerykanie i Rosjanie. Nostalgiczne propozycje Paryża by zwołać konferencję czterech mocarstw zostały zignorowane. Nie ma już czterech mocarstw — choć Europejczykom trudno jest się z tym pogodzić. Dopóki nie zagraża wojna lub poważniejszy kryzys międzynarodowy — można inscenizować wizyty głów państw — zakładać telefony do Kremla i wygłaszać przemówienia. W chwili jednak gdy na Środkowym Wschodzie ruszyły czołgi i pokój świata zawisł na włosku — stolice europejskie znikły ze sceny politycznej jak zdmuchnięte świece.

Kryzysy, które nagle na kilkadziesiąt godzin przybliżają wojnę — posiadają wielką wartość poznawczą. W takich chwilach, jak w błysku reflektora, dojrzeć można rzeczywisty układ sił i te elementy, które naprawdę się liczą.

To są ważne problemy, ponieważ wielu Polaków wiąże wielkie nadzieje z tzw. zjednoczoną Europą. Ludzie ci argumentują, że nie mamy powodu deklarować się ani po stronie Rosji ani po stronie Niemiec — ponieważ naszym zbawieniem jest „zjednoczona Europa".

Na marginesie następująca uwaga. Pewni publicyści emigracyjni wysuwają tezę, że w obecnej sytuacji nie ma miejsca ani na „orientację rosyjską" ani na „orientację niemiecką". W mojej opinii tego rodzaju teza jest równoznaczna z wyznaniem, że w obecnej sytuacji nie ma miejsca na polską politykę. Naród, który nie wie jak ma ułożyć stosunki ze swoimi dwoma potężnymi sąsiadami — jest niezdolny do samodzielnego bytu. W polityce nie istnieją okresy „moratorium". Publicysta czy polityk w każdej sytuacji i w każdym okresie musi mieć odpowiedź na kardynalne pytanie polskiej polityki: jak należy ułożyć nasz stosunek do Rosji i do Niemiec? Polityk, który nie wie co z tym „fantem" zrobić — nie jest politykiem.

Rosja zagarnęła nasze ziemie wschodnie — Niemcy domagają się naszych ziem zachodnich — wskutek tego powracamy na punkt startu, tzn. do wojny na dwóch frontach. Fakt, że polityka „ani z Rosją ani z Niemcami" zakończyła się klęską wrześniową nikogo nie martwi, bo tym razem przyświeca nam wizja zjednoczonej Europy. Nie wybieramy ani Rosji ani Niemiec — tylko wybieramy zjednoczoną Europę.

Zadaniem pisma typu paryskiej „Kultury" nie powinno być redagowanie programów politycznych — lecz analizowanie i dyskutowanie programów, formułowanych przez partie polityczne. „The Guardian" czy „The Observer" nie wypracowują programów politycznych, tylko przeprowadzają krytykę i analizę programów partii rządzącej i partii opozycyjnej.

Establishment emigracyjny z partiami politycznymi włącznie — ugrzązł w błędnym kole postulatów wyłączających się wzajemnie. W oparciu o postulaty, które wyłączają się wzajemnie nie można wypracować żadnego programu, czy choćby ogólnego zarysu polityki.

„Kultura" reprezentuje pogląd, że naczelnym postulatem polityki polskiej jest obrona ziem zachodnich. Ziemie zachodnie możemy utrzymać wbrew Niemcom lecz nigdy wbrew Rosji. Innymi słowy, bronić i utrzymać ziemie zachodnie możemy tylko w ramach polityki zbliżenia z Rosją. „Kultura" stoi na stanowisku obecnych granic Polski, ponieważ nawet od Rosji nie można

wymagać, by popierała nas na Zachodzie i równocześnie akceptowała nasz program rewindykacyjny na Wschodzie. Polityka może być mądra — polityka może być głupia — lecz w żadnym wypadku nie może opierać się na sprzecznych założeniach.

Jesteśmy zwolennikami przebudowy Związku Sowieckiego w federację, która gwarantowałaby pełne narodowe samostanowienie Ukraińcom i Litwinom — lecz nie domagamy się Wilna i Lwowa dla Polski. Naczelnym postulatem polskiej racji stanu winno być zabezpieczenie obecnych granic, które są wyjątkowo korzystne. Bez poparcia rosyjskiego ów postulat jest nie do zrealizowania. Tym, którzy deklamują, że odzyskanie niepodległości ważniejsze jest od granic, należy odpowiedzieć, że jeżeli utracimy ziemie zachodnie nic nam nie przyjdzie z niepodległości, ponieważ będziemy do niej politycznie i gospodarczo niezdolni.

Jeszcze jedna dygresja. Minister spraw zagranicznych Izraela, Eban, w wywiadzie z korespondentem BBC — zauważył, że wojna izraelsko-arabska była jedyną wojną w historii po której zakończeniu pokonani domagają się całkowitej kapitulacji zwycięzców a zwycięzcy proponują pokonanym sąsiedzkie rozmowy i pokojowe negocjacje.

Min. Eban ma rację. Nasser został pokonany, lecz nie uznał swej klęski, ani nie uznał państwa Izraela, które go zwyciężyło. Nasser uważa bowiem, że głównymi przeciwnikami w konflikcie na Środkowym Wschodzie są Rosja i Ameryka. Jeżeli Rosja popierać będzie Arabów bardziej energicznie i wydajnie niż Stany Zjednoczone Izrael, Nasser wnioskuje, że Egipt odrobi swą klęskę militarną. Życzymy Izraelowi, by zdołał w pełni politycznie zdyskontować swe zwycięstwo, lecz nie ulega wątpliwości, że w ostatecznym rozrachunku o nowym układzie na Środkowym Wschodzie zadecydują Rosjanie i Amerykanie. Zwycięstwo Izraela z całą pewnością nie pójdzie na marne i stanowi znakomitą kartę w politycznej grze, która toczyć się będzie prawdopodobnie przez wiele lat. Niemniej, na szczeblu polityki globalnej, konflikt na Środkowym Wschodzie uważać należy za wojnę sukcesyjną. O schedę europejską na tych terenach walczy Rosja ze Stanami Zjednoczonymi i wynik tych zmagań nada ostateczny kształt sytuacji na Środkowym Wschodzie.

W Europie „wojna sukcesyjna" uległa zamrożeniu. Europę zachodnią ktoś określił mianem „dolarowego imperium". Europa wschodnia wchodzi w skład imperium sowieckiego.

W jednym z poprzednich moich artykułów przytoczyłem wypowiedź min. Willy Brandt'a, że Niemcy są gigantem przemysłowym i politycznym karłem. To określenie rozciągnąć można na całą Europę zachodnią. W okresie wojny na Środkowym Wschodzie głos zabrały Stany Zjednoczone, Związek Sowiecki, Izrael lecz nie Europa. Prezydent de Gaulle mówił w imieniu Francji, podobnie jak premier Wilson mówił w imieniu Wielkiej Brytanii. Politycznie zachodnia Europa istnieje tylko na papierze.

Polacy w wielu wypadkach zjednoczenie gospodarcze traktują zaś za równoznaczne ze zjednoczeniem politycznym. Jeżeli przez

zjednoczoną Europę rozumieć trzecie super-mocarstwo tzn. federację państw politycznie i gospodarczo niezależną tak od Rosji jak i od Stanów Zjednoczonych — wypada stwierdzić, że takiej Europy nie ma. Z tych przyczyn wysuwanie hasła: ani z Rosją ani z Niemcami tylko ze zjednoczoną Europą — jest w gruncie rzeczy redukowaniem polityki do paciorka pobożnych życzeń.

Europa — powtarzam zawsze — to są Niemcy. Minister Brandt albo jego następca, cytowane powyżej powiedzenie ujmie pewnego dnia w formę pytania: dlaczego Niemcy mają być politycznym karłem? Dlaczego Bonn nie ma mieć *hot line* bezpośrednio do Kremla?

Co czyni z Niemców, trzeciej gospodarczej potęgi świata, politycznego karła?

Niemcom status „politycznie małoletnich" narzucają Rosjanie. Zarówno Londyn jak i Paryż mają telefoniczne kable wiodące wprost do Kremla i tak prez. de Gaulle jak i prem. Wilson wkładają wiele trudu, by mieć możliwie jak najlepsze stosunki z Moskwą. Trudno się temu dziwić. Niezależność oznacza zawsze poprawne stosunki z obu super-mocarstwami. Nieprzejednanie wrogie nastawienie do jednego super-mocarstwa pociąga za sobą automatycznie uzależnienie się od drugiego super-mocarstwa. W Europie jeżeli chce się coś znaczyć, nie można Rosji ignorować i być przez Rosję ignorowanym. Na taką postawę mogą pozwolić sobie „rządy" emigracyjne — lecz nie rządy mocarstw, które chcą uprawiać konkretną politykę.

Wszystko sprowadza się do podstawowego pytania: wojna czy koegzystencja? Podkreślałem na tych łamach wielokrotnie, że w mojej opinii wojny w Europie nie będzie. W Europie nie można prowadzić wojny *by proxy*. Od pierwszego dnia, każda wojna europejska byłaby wojną sowiecko-amerykańską, nuklearną i światową. Wielu z nas koegzystencja z Sowietami nie odpowiada. Lecz naszym atomowym hegemonom jeszcze bardziej nie odpowiada wizja zrównania z ziemią ich miast i przemysłów. I z tych przyczyn zarówno Stany Zjednoczone jak i Rosja czynią wszystko, by uniknąć bezpośredniego zbrojnego konfliktu amerykańsko-sowieckiego.

To są truizmy. Czytając jednak prasę emigracyjną trudno oprzeć się wrażeniu, że Polacy do hasła „ani z Rosją ani z Niemcami" dodają drugie uzupełniające hasło „ani wojna ani pokój". Prasa emigracyjna w czambuł potępia koegzystencję. To są owe sprzeczności wśród których grzęźnie polska myśl polityczna. Nasz stosunek do Rosji jest nie tylko neurotyczny lecz niegodny europejskiego historycznego narodu. Z jednej strony Gomułka i jego politbiuro reprezentują szczyt służalczości wobec Moskwy — z drugiej strony, w tej samej Polsce Ludowej, kelner w wagonie restauracyjnym zachowuje się po chamsku w stosunku do rosyjskich turystów („Konfrontacje", „Kultura", lipiec-sierpień 1967). Z jednej strony Rosjan uważamy za „kałmuków" i tam, gdzie niczym to nie grozi, okazujemy im pogardę — z drugiej strony, kłaniamy im się w pas godząc się pokornie na każde

ich zlecenie i skinienie. W niczym nie jesteśmy tak przeraźliwie i upakarzająco wschodni jak w stosunku do Rosjan.

Ktoś powie, że to tylko Gomułka, Kliszko czy Ochab. Ale przecież to nie są Chińczycy czy Arabowie tylko rdzenni Polacy, których nazwisk z historii Polski nikt nie wymaże. Historia może kiedyś potępi tych panów — lecz popisów ich służalczości nikt nie wykreśli z kart naszych dziejów.

Wszystko to wiąże się bezpośrednio z następującym punktem. Nie jest rolą publicysty bawić się w przepowiednie lecz niewątpliwie do obowiązków pisarza politycznego należy przewidywanie. Otóż, osobiście przewiduję, że w obrębie najbliższych kilku lat, Bonn podejmie bezpośrednie rozmowy z Sowietami. Niemcy zaczynają sobie zdawać sprawę, że emancypacja oznacza przede wszystkim wyprostowanie stosunków z Moskwą. Z Kosyginem rozmawiają panowie Johnson, Wilson i de Gaulle. Dlaczego nie miałby rozmawiać p. Kiesinger?

Rozwój sytuacji w Niemczech śledzę z wielką uwagą. Nie byłem jednak w Niemczech od wojny i nie ryzykuję poglądów opartych wyłącznie na osobistym wyczuciu.

Jeden z najlepszych znawców Niemiec w Anglii Uwe Kitzinger (Fellow of Nuffield College, Oxford), autor doskonałych książek o współczesnych Niemczech w swym najnowszym studium pt. „New Moods in West Germany" cytuje następującą wypowiedź prof. Erwina Scheuch'a z Kolonii:

„Obserwuję pewne usiłowania rządu mające na celu wzbudzić nastroje anty-amerykańskie — oraz poczucie niezadowolenia na skutek obcej krytyki. To wszystko ma spełnić rolę szczepienia ochronnego przed obcą krytyką, skierowaną pod adresem przyszłej niemieckiej polityki zagranicznej — polityki zasadniczo zwróconej ku Rosji. Nic nie jest jeszcze postanowione i sądzę, że upłynie co najmniej rok nim dowiemy się czy inżynierowie obecnej wielkiej koalicji utrzymają się przy sterze. Lecz jeżeli ci politycy (obecna koalicja) będą mogli realizować swoją linię — oznaczać to będzie stosunek młodszego do starszego brata w odniesieniu do Związku Sowieckiego — stosunek w ramach którego nie będzie miejsca na Stany Zjednoczone".

Prof. Erwin Scheuch jest bardzo doświadczonym i wybitnym znawcą politycznej sceny niemieckiej i jego opinii nie można lekceważyć.

Osobiście nie zażyrowałbym w całości poglądów Scheucha. Lecz wydaje mi się, że rację ma inny profesor nauk politycznych Waldemar Besson, który twierdzi, że krystalizuje się nowe niemieckie poczucie narodowe. W roku 1945 Niemcy świadomie optowali za Zachodem i uznali się za naród zachodni. W przeszłości Niemcy uważali się jednak za coś niepomiernie wyższego od Wschodu i różnego od Zachodu. Wydaje się, że owa identyfikacja z Zachodem nie została uwieńczona pełnym sukcesem. Niemcy chcą mieć demokrację ale nie anglosaską tylko niemiecką. Jak widzimy na przykładzie obecnej koalicji — demokracja niemiecka obywa się znakomicie bez opozycji, która w modelu anglosaskiej demokracji odgrywa wręcz podstawową rolę.

Owo poczucie, że Niemcy nie są zachodnią tylko środkową Europą, że są czymś odrębnym na skutek swej niemieckości — wszystko to może ułatwić ewolucję w kierunku porozumienia z Rosją.

Nie należy przewidywać ani nowego Rapallo, ani dramatycznego odwrócenia sojuszów. Federalna Republika będzie natomiast musiała w takiej czy innej formie uznać NRD. Lecz to nie jest bynajmniej zbyt wysoka cena w porównaniu z ewentualnymi korzyściami i perspektywami, które otwarłyby się przed Bonn.

Niemcom do tej pory wydawało się, że najpierw nastąpić musi zjednoczenie a później odprężenie. Sądzili również, że jest rzeczą możliwą „spenetrowanie" państw satelickich przy równoczesnym ignorowaniu Rosji. *Ostpolitik* oparta na powyższych założeniach nie mogła dać rezultatów.

Gdyby doszło do odprężenia między Bonn a Moskwą — nastroje antyniemieckie w Europie wschodniej z polecenia Moskwy zgasłyby jednego dnia. Gomułka wydałby odpowiednie polecenie cenzurze i sprawa byłaby załatwiona. Re-orientacja prasy, radia i telewizji — w państwie totalnym — nie przedstawia najmniejszej trudności.

Do czego zmierzają te rozważania? Chciałem wykazać, że ponieważ nie doszło do negocjacji amerykańsko-sowieckich w sprawie Europy jako całości — mocarstwa europejskie podejmują dialog z Moskwą, każde we własnym imieniu. Byłoby może naiwnością oczekiwać, że Niemcy ustanowią chwalebny wyjątek w tej regule.

◆

Zjednoczenie Europy mogłoby się dokonać tylko w wyniku negocjacji amerykańsko-sowieckich. Europa, Azja, Środkowy Wschód — to są wszystko odcinki globalnego frontu. Na każdym z tych frontów toczy się walka o ustalenie przewagi, lub przynajmniej znośnego *balance of power*. Ameryka nie przegrywa w Wietnamie — lecz wskutek Wietnamu przegrywa w Europie. Nawet tak potężne mocarstwo jak Stany Zjednoczone nie może wygrywać zawsze i wszędzie. Wietnam jest bardzo ważny, lecz wątpię czy jest wart ceny Niemiec. Jeżeli wojna w Wietnamie toczyć się będzie jeszcze przez kilka lat — jeżeli Amerykanie w sensie polityczno-wojskowym nie będą pomagali Europie lecz odwrotnie, będą oczekiwali pomocy od Europy — jeżeli załogi amerykańskie w Niemczech będą topnieć — wówczas skłonny jestem przypuszczać, że prof. Erwin Scheuch okaże się prorokiem we własnym kraju.

Podkreśliłem w pierwszej części tego artykułu, że kryzys na większą skalę ujawnia rzeczywistą sytuację. W chwili wybuchu wojny na Środkowym Wschodzie Europejczycy zamanifestowali wszystkimi dostępnymi środkami, że w razie rozszerzenia konfliktu pragną pozostać neutralni. Jak wynika z ankiety przeprowadzonej przez „Sunday Times" 63% Brytyjczyków opowiedziało

się za neutralnością w sytuacji gdyby konflikt przekształcił się w wojnę sowiecko-amerykańską. Nie ulega wątpliwości, że większość społeczeństwa francuskiego pragnie również neutralności w wypadku konfliktu światowego — czego wyrazem jest poparcie mas społeczeństwa (choć nie intelektualistów) dla polityki prez. de Gaulle'a.

Niemcy zachodnie znajdują się w polu bezpośredniego obstrzału 700 sowieckich MRBM — i trudno sobie wyobrazić by rząd w Bonn pragnął zrównania z ziemią miast i przemysłów Federalnej Republiki. Gdyby Niemcy liczyli się z wojną nie redukowaliby Bundeswehr o 60 tysięcy ludzi w celu zaoszczędzenia 200 milionów funtów szterlingów rocznie. Wiadomość o zamierzonej redukcji wywołała w Waszyngtonie jak najgorsze wrażenie. Wielka Brytania ogłosiła również redukcję swoich sił zbrojnych, która będzie przeprowadzona stopniowo w obrębie najbliższych kilku lat.

Owe nastroje neutralistyczne są więcej niż zrozumiałe. Do wojny atomowej Europa „nie nadaje się" i każdy Europejczyk czuje to w swoich kościach. Szanse przetrwania wojny atomowej mają mocarstwa-kontynenty, jak Rosja, Ameryka czy Chiny, lecz nie Anglia, która jest jednym przeludnionym, 60-ciomilionowym miastem. Europa zachodnia ma największą na świecie gęstość zaludnienia i skupienia przemysłów i wojny atomowej prawdopodobnie by nie przetrwała.

Nastroje neutralistyczne w Europie wzrosną niewątpliwie na skutek wiadomości, że Stany Zjednoczone tracą w stosunku do Sowietów swoją przewagę atomową. Jak wynika z memoriału opracowanego przez grupę wybitnych amerykańskich rzeczoznawców dla „House Armed Services Committee" — potencjał atomowy sowiecki, liczony w megatonach zrówna się z megatonażem amerykańskim jeszcze w tym roku, lub nawet go przewyższy („The Guardian", 12. 7. 67). Nie przytaczam cyfr, które w tej dziedzinie nigdy nie mają wartości bezwzględnej — sądzę jednak, że można przyjąć niemal za pewne, że poziomy potencjałów atomowych obu super-mocarstw zaczynają się wyrównywać, co zresztą od dawna przewidywano.

Niemniej, z europejskiego punktu widzenia, wartość „parasola" amerykańskiego była oczywiście inna gdy Stany Zjednoczone dysponowały przewagą atomową w stosunku 1 : 3, niż dziś, gdy ta przewaga zaczyna się ulatniać.

NATO jest instrumentem mało wartościowym nie dlatego, że ma mało dywizji — lecz dlatego, że narody europejskie nie chcą brać udziału w ewentualnej trzeciej wojnie światowej. Należy podkreślić z naciskiem, że de Gaulle nie wstępuje w ślady Pétaina — lecz, że zarówno on jak i większość Europejczyków zdaje sobie sprawę, że Europa nie może być teatrem wojny nuklearnej, ponieważ tym razem nie byłoby ani czego odbudowywać ani kogo wyzwalać.

Owemu neutralizmowi europejskiemu należałoby nadać pewną konkretną formę. Dialog państw zachodnio-europejskich z Moskwą nie zmieni niczego — tym bardziej, że każde z państw

prowadzi ów dialog tylko we własnym imieniu. *Czy naszym ideałem jest Europa, której każda stolica będzie posiadała odrębne i bezpośrednie połączenie z Kremlem?*

Siła przetargowa Stanów Zjednoczonych jest niewspółmiernie większa niż całej Europy zachodniej. Globalnym partnerem Rosji są Stany Zjednoczone i to zarówno w Kairze jak i w Berlinie, zarówno na morzu japońskim jak i na Morzu Śródziemnym.

Osobiście nie wierzę w powszechne rozbrojenie i wieczyste odprężenie. Leży natomiast w interesie obu super-mocarstw skracanie linii globalnego frontu i kolejne rozwiązywanie spornych zagadnień.

W interesie Stanów Zjednoczonych leży niewątpliwie stworzenie w Europie takiego układu, który uniemożliwiałby Niemcom wstąpienie w ślady Francji. Być może Waszyngton miałby możliwość zaproponowania Sowietom równoczesnej likwidacji Paktu Warszawskiego i NATO w odmiennej formie niż proponują to Rumuni. W praktyce, powyższa likwidacja musiałaby oznaczać ewakuację wojsk sowieckich z NRD i z innych państw satelickich. Oczywiście Amerykanie musieliby opuścić Niemcy zachodnie, choć nie Europę. Wojska sowieckie stacjonujące we Lwowie są również w Europie. Ze Lwowa jest mniej-więcej tak daleko do Berlina jak z Brukseli.

W tym wypadku nie chodzi o szczegółowe plany pasów neutralnych, *disengagement* itd. — tylko o przyjęcie zasady, że sytuacja w Europie dojrzała do zastąpienia konfrontacji porozumieniem amerykańsko-sowieckim. Tylko w ramach Europy wyłączonej z bloków wojskowych byłaby możliwa bliższa współpraca gospodarcza pomiędzy państwami „wspólnego rynku" a państwami wschodnioeuropejskimi — co z czasem wyraziłoby się pewnym wyrównaniem poziomów w stopie życiowej i liberalizacją ustrojów.

Powyżej naszkicowany plan jest niestety nie do zrealizowania dopóki trwa wojna w Wietnamie. Rosjanie za każde ustępstwo w Europie żądaliby zapłaty w Wietnamie. Pozycja północnego Wietnamu jest podobna do statusu NRD. Rosjanie zdają sobie sprawę, że Hanoi nie może wygrać wojny przeciwko Stanom Zjednoczonym. W ogólnoniemieckich wyborach Ulbricht nie miałby żadnej szansy zwycięstwa. Nie trzeba być obdarzonym jakąś szczególniejszą wyobraźnią polityczną, by zdawać sobie sprawę z faktu, że gwałtowny upadek rządu komunistycznego istniejącego od 20 lat stanowiłby dla Rosji cios nie tylko prestiżowy. To byłaby klęska Rosji i triumf Chin. Największymi obrońcami Ulbrichta są Chińczycy. Rosjanie nie mogą go sprzedać, ponieważ tym samym dostarczyliby Pekinowi argumentów, które na arenie świata komunistycznego byłyby nie do odparcia. To samo dotyczy rządu w Hanoi. W mojej opinii, gdyby Amerykanie podjęli inwazję północnego Wietnamu — Chińczycy nie pospieszyliby z pomocą, ponieważ ich celem byłoby doprowadzić do całkowitej kompromitacji Moskwy. Sformowaliby na chińskim terytorium komunistyczny rząd Wietnamu *in exile*, który świadczyłby przed

całą Azją, że klęska Wietnamu jest wynikiem spisku amerykańsko-sowieckiego.

Wojna w Wietnamie może trwać jeszcze kilka lat. Oznacza to, że nie będzie rozmów amerykańsko-sowieckich w sprawie uporządkowania sytuacji europejskiej. Oznacza to również, że Niemcy, wcześniej czy później, podejmą próbę ułożenia swych stosunków z Moskwą na nowych podstawach. Rosja być może nigdy nie będzie super-mocarstwem globalnym na wzór Stanów Zjednoczonych. Jeżeli jednak wyrówna swe stosunki z Niemcami stanie się hegemonem Europy. Zbigniew Brzeziński napisze wówczas, że Rosja jest mocarstwem regionalnym, zaangażowanym głównie w Europie. Tak to będzie wyglądało w Waszyngtonie. Lecz obraz Europy, widziany z Warszawy, przedstawiać się będzie zgoła inaczej.

Niebezpieczeństwo polega na tym, że społeczeństwu w Kraju wydaje się, że szowinizm anty-niemiecki gwarantuje poparcie rosyjskie. Nie potrzeba na Rosję wpływać, nie potrzeba w Rosji umacniać sił postępu i reformy — wystarczy uprawiać histeryczną anty-niemiecką propagandę. Ten typ polityki może nas w niedalekiej przyszłości doprowadzić do sytuacji wymarzonej przez pewien odłam polityków emigracyjnych: ani z Rosją ani z Niemcami.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Karlove Vary

Trudno utrzymywać, że konferencja 24 europejskich partii komunistycznych w Karlovych Varach, która toczyła się od 24 do 27 kwietnia, zakończyła się powodzeniem. Zgodnie z zamierzeniami jej organizatorów, a w szczególności Związku Sowieckiego, miała ona zamanifestować wewnętrzną jedność w stosunku do pewnego programu w zakresie polityki zagranicznej: ta jedność miała wyrazić się przede wszystkim w zajęciu jednolitej postawy wobec nieustępliwej linii politycznej, reprezentowanej obecnie przez Ulbrychta i Breżniewa w „sprawie niemieckiej".

Usiłowania stworzenia zwartego bloku przyniosły jednak rozczarowanie. Za dążenie do przywrócenia hegemonii sowieckiej nad partiami i państwami komunistycznymi Europy, Breżniew musiał zapłacić bardzo wysoką cenę: udało mu się bowiem wykazać jedynie, że Moskwa rozciąga kontrolę, mimo trudności i opozycji, nad siedemdziesięciu procentami partii europejskich. W obradach w Karlovych Varach uczestniczyły 24 partie; na wezwanie do stawienia się na konferencję nie odpowiedziały jednak partie komunistyczne Rumunii, Jugosławii, Albanii, Holandii, Norwegii, Islandii i Szwecji.

Wśród dysydentów niezmiernie ważna partia rumuńska znalazła się już na progu schizmy, i to nie tylko w dziedzinie samej istoty zagadnienia, lecz także w formie w jakiej do sprawy tej podeszła. Rumuni bowiem — o ile nam wiadomo — rozesłali do wszystkich partii uczestniczących w obradach list wyjaśniający przyczyny ich nieobecności oraz ich negatywnego stosunku do polityki Ulbrychta i Breżniewa; jest to metoda, która, przypominając sposób postępowania Chińczyków na początku konfliktu z Moskwą, ma na celu podkreślić — także i w formie — akt publicznego zerwania dokonany przez Bukareszt na oczach europejskiego ruchu komunistycznego.

Sposób postępowania przyjęty przez Rumunów i zmierzający do odrzucenia zasady centralizmu dyplomatycznego, usankcjonowanej ostateczną uchwałą „24 partii", odbiega nieco od metody, dużo bardziej kompromisowej, zaadoptowanej przez Jugosłowian. Komuniści jugosłowiańscy, którym nieustanne odchylenia od linii sowieckiej umożliwiają dzisiaj posługiwanie się formą protestu mniej dobitną, pozbawioną wszelkich akcentów dramatycznych, woleli wysłać jeden tylko list, skierowany do samej konferencji, list co prawda zdecydowany w treści, lecz oględny w formie, który ogłosili później w prasie. Rumuni natomiast, którzy stali się głównymi oskarżonymi podczas obrad w Karlovych Varach i w stosunku do których łatwiej jest uciekać się do szantażu — wchodzą bowiem w skład organizmów ponadnarodowych bloku, jak Pakt Warszawski czy Komekon — zmuszeni zostali, pod wpływem wytworzonej sytuacji, do porzucenia ostrożności bizantyjskiej i do otwartego zbuntowania się przeciwko rozkazom Ulbrychta i Breżniewa.

◆

List wysłany metodą chińską do poszczególnych partii musiał być — chociażby ze względu na jego poufny charakter — surowy w treści. Równie bezwzględne i zadziwiające było nieoczekiwane stanowisko jakie zajął sekretarz partii rumuńskiej Ceausescu w artykule ogłoszonym w *Scinteia* z 7 marca. Było ono bezwzględne, gdyż oskarżał on Moskwę o „posługiwanie się starą metodą, polegającą na ustalaniu stosunków między partiami w zależności od tego czy odrzuciły lub przyjęły jakiś określony punkt widzenia" i o uciekanie się do „nacisków, które w rezultacie pogłębiają rozbieżności w łonie ruchu komunistycznego". Było zadziwiające — gdyż Ceausescu dał do zrozumienia, nie wymieniając zresztą imiennie Związku Sowieckiego — że wykryto ostatnio, iż pewna grupa komunistów w łonie partii rumuńskiej pozostająca w kontakcie z siłami komunistycznymi zagranicą, podjęła próbę akcji wywrotowej. „Wszystkie usiłowania prowadzone przez

jakąś partię" — pisał on — „w celu nawiązania poza oficjalnymi ramami organizacyjnymi stosunków z członkami czy też grupami jakiejś innej partii, są równoznaczne z naruszeniem zasady internacjonalizmu proletariatu; nabierają one charakteru akcji zmierzającej do rozbicia danej partii".

W świetle faktów, które wychodzą na jaw dopiero teraz, w świetle polemik, które wywołują ogłaszane rewelacje, konferencja w Karlovych Varach wygląda nieco inaczej; atmosfera, w jakiej toczyły się obrady, była dużo bardziej niepewna, dużo bardziej burzliwa niż można było przypuszczać. Trzeba bowiem pamiętać, że Rumunia nie jest Albanią i że jej odstępstwo pociągnie znacznie głębsze konsekwencje. Na, co prawda niedostatecznie jeszcze przejrzystym, tle konferencji „24 partii" zarysowuje się decyzja, prawdopodobnie definitywna, zerwania z jednolitą linią ruchu komunistycznego w Europie, decyzja, którą pobiera państwo komunistyczne będące dzisiaj ze względu na swój prestiż międzynarodowy, rozwój przemysłowy i bogactwa naturalne, jednym z najważniejszych wśród krajów wschodnich. Dlatego też, zaniepokojeni tym nowym zerwaniem, Nowotny, Kadar i Longo — przedstawiciele trzech partii najbardziej skłonnych do kompromisów i łatania dziur aby zachować wewnętrzną spoistość komunistyczną — pośpieszyli zapewnić, że „dialog z nieobecnymi" toczyć się będzie w dalszym ciągu. Ale późniejszy, nieoczekiwany bieg wypadków z cieniem spisku anty-rumuńskiego, jaki zarysował się między pięcioma partiami, sprawią, iż dialog ten będzie raczej rozmową głuchoniemych. Breżniew zachował przecież całkowite milczenie na temat możliwości czy też potrzeby nawiązania „dialogu z nieobecnymi".

Jest rzeczą jasną, że w tych warunkach konferencja, która miała w zasadzie poświęcić swe obrady kryzysowi w Europie zachodniej, musiała w rzeczywistości zająć się sprawą kryzysu w Europie wschodniej. Raz jeszcze „sprawa niemiecka" stała się pretekstem służącym do przywrócenia dyscypliny i przywołania do porządku dysydentów. To co miało być zamanifestowaniem wspólnej, jednolitej linii komunistycznej w Europie, wywołało dezorientację wśród samych komunistów, doprowadziło do rozbicia ich wspólnej postawy politycznej w zagadnieniach europejskich.

◆

Zbadajmy jednak bliżej treść oświadczenia, podpisanego przez „24 partie". Jeżeli chodzi o konkretne propozycje nie zawiera ono żadnych istotnych zmian w porównaniu z deklaracją uchwaloną w lipcu 1966 roku w Bukareszcie przez państwa członkowskie Paktu Warszawskiego. W zakresie natomiast uzgodnienia postawy politycznej między partiami i państwami komunistycznymi wobec zagadnień europejskich przynosi ono poważne ograniczenie: w Bukareszcie bowiem przyjęto, z inicjatywy i pod

naciskiem Rumunów, zasadę „kontaktów bilateralnych" między państwami wschodu i zachodu, w Karlovych Varach zaś zasadę tę zignorowano zupełnie. Fakt ten jest zresztą całkowicie logiczny: spotkanie „24 partii" zwołane zostało przede wszystkim po to, by położyć kres „kontaktom bilateralnym", na wzór rumuński, między państwami komunistycznymi wschodu a Niemiecką Republiką Federalną.

W punktach poświęconych sprawie bezpieczeństwa w Europie, rezolucja nie schodzi z utartych szlaków pokojowej propagandy komunistycznej, która zmierza w rzeczywistości do usunięcia Amerykanów z Europy i do obalenia równowagi sił na kontynencie na korzyść Rosji. Zajmuje ona zdecydowanie negatywną postawę w stosunku do całkiem nowego elementu politycznej sytuacji europejskiej, to znaczy w stosunku do koalicji rządowej chrześcijańskich demokratów i socjaldemokratów w Bonn i jej ruchliwej polityki wschodniej zapoczątkowanej spotkaniami w Bukareszcie, Pradze, Sofii i Białogrodzie. Tekst ten wydaje się nosić wyraźne piętno ulbrychtowskie.

W oczach tych, którzy podpisali deklarację, Niemcy zachodnie uchodzą, właśnie z powodu ich nowej polityki wobec komunistycznych państw wschodu, za konia trojańskiego wprowadzonego do bloku komunistycznego przez Waszyngton w celu rozbicia tego bloku przy pomocy akcji dyplomatycznej i neo-kolonializmu gospodarczego. Rezolucja, przyjmując „doktrynę Ulbrichta" — przeciwko której zbuntowali się Rumuni i Jugosłowianie a którą poparli mimo zastrzeżeń Czesi, Bułgarzy i Węgrzy — nie tylko wypowiada w wielu punktach poglądy sprzeczne z tą doktryną, lecz także daje fałszywy obraz współczesnej Europy, obraz, który każe myśleć o konfliktach i o zimnej wojnie.

Z jednej strony notuje ona możliwości zwiększenia wpływów dzięki nowym tendencjom partii socjalistycznych i socjal-demokratycznych oraz wita z zadowoleniem nowe stanowisko „świata chrześcijańskiego wobec problemów postępu społecznego i pokoju", lecz z drugiej potępia niemiecką partię socjal-demokratyczną, jedną z najpotężniejszych w Europie, tę właśnie, która na skutek uczestniczenia w Wielkiej Koalicji w Bonn przyczynia się do otwarcia nowych perspektyw politycznych na wschodzie i do stopniowego porzucania najbardziej sztywnych formuł „doktryny Hallsteina". „Nic nie wskazuje na to, że nowy rząd w Bonn zrezygnował z polityki imperialistycznej, prowadzonej przez jego poprzedników". Stara teza Kominternu o „socjal-faszyzmie, tym głównym wrogu" zostaje zastosowana do Niemiec, to znaczy tam gdzie poniosła całkowitą porażkę. Zgubny mit o „socjal-faszyzmie", który w tak poważnym stopniu przyczynił się do upadku demokracji w Republice Weimarskiej i do zwycięstwa hitleryzmu, pobrzmiewa na nowo, chociaż wzbogacony o kilka nieznacznych wariantów, w przemówieniu jakie wygłosił Ulbrycht podczas konferencji. „Socjal-demokraci niemieccy nie robią nic innego — powiedział on — jak tylko obwijają we frazesy socjal-demokratyczne imperialistyczną politykę monopolów i to zarów-

no w dziedzinie spraw wewnętrznych jak i zagranicznych Niemiec". W ten sposób konferencja w Karlovych Varach, która wspaniałomyślnie zaproponowała otwartą współpracę europejskim ugrupowaniom socjalistycznym, odmawia jednocześnie przyjęcia do wiadomości faktu, że socjal-demokraci niemieccy, przyjmując współ-odpowiedzialność za rządy w swym kraju, stworzyli nową sytuację polityczną.

Dyskusja ta nie otworzyła więc, bo nie mogła otworzyć, nowych horyzontów w sprawie europejskiej, a zablokowała jednocześnie zagadnienie Niemiec. Tutaj też wychodzi na jaw pewna prawda: polityka europejska Moskwy jest właściwie instrumentem służącym do wywierania nacisków na wschodzie. Sztywne trzymanie się *status quo*, izolacjonizm będący odpowiedzią na propozycje zachodnie, abstrakcyjne potępianie Niemiec, które są w trakcie przygotowywania strategii wojennej stosując politykę uśmiechów, oto cechy charakterystyczne przemówień i rezolucji konferencji „24 partii". W istocie, przebieg tej konferencji jest wynikiem zbieżności jakie zarysowują się między polityką izolacji Ulbrychta a polityką Breżniewa, zmierzającą do utrzymania hegemonii sowieckiej w łonie ruchu komunistycznego. Nie jest sprawą przypadku, że atakom na Niemcy zachodnie towarzyszyły nieustannie wezwania o zachowanie „jedności", „zgody wewnętrznej" i „zasady internacjonalizmu" w łonie bloku. „Doktryna Ulbrychta" polegająca na stawianiu veta gdy chodzi o nawiązanie stosunków dyplomatycznych z Bonn i która w rzeczywistości stanowi odwróconą, komunistyczną wersję „doktryny Hallsteina", jest środkiem dyscyplinarnym, za pomocą, którego Moskwa pragnie wzmocnić, przynajmniej na terenie Europy, swą hegemonię nad ruchem komunistycznym. Ulbrycht zresztą podkreślił ogólnie ową zbieżność między jego własną polityką a zasadą domagającą się utrzymania kierownictwa jednej partii. „Internacjonalizm — powiedział on — który służy jednocześnie interesom narodowym, może rozwijać się w sposób szczególnie dynamiczny jedynie w ścisłym związku z partią wielkiego państwa socjalistycznego rewolucji październikowej".

◆

Najbardziej paradoksalnym faktem jest to, że deklaracja ogłoszona w Karlovych Varach, deklaracja będąca zbiorem sprzecznych ze sobą tez rozwiniętych chaotycznie w oparciu o nietolerancyjną „doktrynę Ulbrychta", zwraca się do socjalistów i katolików europejskich z wezwaniem by poparli politykę, przeciwko której występuje poważna grupa ruchu komunistycznego. Sprzeczność ta wydała się równie oczywista co żenująca komunistom włoskim, którzy podjęli w łonie komisji przygotowującej ostateczny tekst deklaracji zaciętą walką o wprowadzenie szeregu poprawek zmierzających do „wyprostowania" niektórych oświadczeń. Mimo, że udało się im tylko zmienić tu i ówdzie pewne sformułowania, zmuszeni zostali do podpisania deklaracji.

Cała słabość włoskiej partii komunistycznej ujawniła się w przemówieniu wygłoszonym na zakończenie obrad przez Longo, który, zabierając głos jako przewodniczący ostatniego posiedzenia, zdobył się na wysunięcie kilku zastrzeżeń, których nie potrafił wprowadzić do tekstu oficjalnego. Nawiązał on do sprawy „autonomii" poszczególnych partii i podkreślił, że postępowa polityka paneuropejska nie może stanowić „wyłącznego" monopolu komunistów.

Pełne subtelności stanowisko Włochów nie doprowadziło jednak do zmienienia dyscyplinarnego i izolacjonistycznego charakteru konferencji, ani też do zmniejszenia dogmatycznej, mechanicznej sztywności oraz pesymizmu „doktryny Ulbrichta", która odniosła zwycięstwo.

Stanowisko komunistów włoskich ujawniło głęboką wewnętrzną sprzeczność. Z jednej strony bowiem fakt, że przybyli na konferencję nie mówiąc już o tym, że podpisali deklarację, był dowodem pozytywnego stosunku do polityki jednoczenia Breżniewa, zjazd bowiem miał na celu podkreślenie jedności wszystkich wokół sowieckiej partii komunistycznej; z drugiej zaś starali się oni przeciwstawić się zbyt bezwzględnej i kompromitującej linii politycznej Ulbrychta. Otóż tego rodzaju stanowisko jest przeciwne wszelkiej logice, fałszywe i nie da się utrzymać: dlatego przede wszystkim, że próby przywrócenia hegemonii Moskwy opierają się właśnie na „doktrynie Ulbrychta", będącej obowiązującym programem dla ruchu komunistycznego w Europie. Komuniści jugosłowiańscy nie ukrywali rozczarowania jakie wywołało u nich stanowisko zajęte przez włoską partię komunistyczną; dali temu wyraz zarówno w licznych aluzjach ogłoszonych przez prasę jak też w obserwacjach, które poczynili dziennikarze jugosłowiańscy obecni w Karlovych Varach. Jugosłowianie mieli nadzieję, że opozycja włoska w stosunku do linii Breżniew-Ulbrycht będzie bardziej zdecydowana i mniej chaotyczna. Rozczarowanie ich zwiększył niewątpliwie mit, szeroko rozpowszechniony na świecie, o liberalizmie i policentryzmie włoskiej partii komunistycznej.

Otóż mitowi temu zaprzeczyła rzeczywistość w Karlovych Varach. Dopóki komuniści włoscy starać się będą o to, by uchodzić na zewnątrz za awangardę rewizjonizmu, która wyzbyła się w największym stopniu wszelkich przesądów, a jednocześnie będą podpisywać na wewnątrz deklaracje, które odrzuca poważna część ruchu komunistycznego, nikt na świecie nie będzie obdarzał ich zaufaniem; zaufania tego odmówią im zarówno komuniści dysydenccy na wschodzie jak i lewica demokratyczna na zachodzie.

Enzo BETTIZA

(*Correspondenza socialista*, maj 1967)

(*Przełożył z włoskiego Paweł Zdziechowski*)

Kronika angielska

MIT UNIWERSALNY

Premier sowiecki w drodze powrotnej ze Stanów Zjednoczonych zatrzymał się na Kubie. Dobrze poinformowani dyplomatyczni korespondenci pism amerykańskich twierdzą, że Kosygin usilnie doradzał Dr. Castro, by zaprzestał rewolucyjnej działalności w krajach Ameryki łacińskiej a natomiast zogniskował swoje wpływy na programach reform rolnych. Kosygin doradzał również politykę, która byłaby zdolna przekształcić lokalne partie komunistyczne w krajach Ameryki południowej w społeczno-polityczne organizacje akceptowane przez odnośne społeczeństwa.

Dr Castro głosi z uporem, że pierwszym obowiązkiem rewolucjonisty jest „robić rewolucję", wydaje się więc wątpliwe by rady Kosygina trafiły mu do przekonania.

Lecz jak postąpi Moskwa w stosunku do Egiptu? Wbrew radom udzielonym Dr. Castro — klasyczna polityka sowiecka zmierzała zawsze do dyskontowania pomocy gospodarczej i militarnej w płaszczyźnie ideologicznej. Według tego schematu ukoronowaniem operacji egipskiej winno być przekształcenie Zjednoczonej Republiki Arabskiej w „Arabską Republikę Ludową". Oczywiście w takiej sytuacji Nasser musiałby zniknąć ze sceny i ustąpić miejsca ortodoksyjnemu komuniście.

W artykule pt. „Ani z Rosją ani z Niemcami" wysunąłem pogląd, że Rosja na Środkowym Wschodzie prowadzi czysto imperialistyczną politykę. Dodać jeszcze należy, że przekształcenie Egiptu w państwo komunistyczne zwiększyłoby ryzyko sowieckiego zaangażowania.

Jest rzeczą charakterystyczną, że o ile polityka zagraniczna Rosji ulega upragmatycznieniu — o tyle polityka państw satelickich a w szczególności Polski, ulega gwałtownemu „uideologicznieniu". Na VIII Plenum KC powtarzano w kółko, że „nie ma współistnienia ideologii". Z polecenia KC ów temat wałkowała cała prasa od „Trybuny Ludu" zacząwszy a na „Głosie Koszalińskim" skończywszy.

Rządzące partie komunistyczne (z wyjątkiem Rumunii, która przestaje być państwem satelickim) dopatrują się w pragmatyzmie sowieckim wielkiego niebezpieczeństwa. I słusznie. Jeżeli w przyszłości miałoby się okazać, że można mieć bazy sowieckie na swoim terytorium, korzystać z pomocy gospodarczej i wojskowej, gościć setki sowieckich doradców i równocześnie uniknąć komunizmu — wówczas Polakom czy Węgrom mogłoby się nasunąć niebezpieczne refleksje. Jeżeli bliska współpraca z Moskwą nie oznacza komunizacji w Egipcie to dlaczego miałoby być inaczej w Polsce?

Uideologicznienie polityki jest potrzebne Gomułce ponieważ tow. Wiesław i „nowa klasa", którą reprezentuje — zawdzięczają swoją pozycję i przywileje wyłącznie ideologii. Koegzystencja przeraża Gomułkę, ponieważ każda forma koegzystencji jest kompromisem dokonanym kosztem ideologii na rzecz pragmatyzmu.

Gdyby Kosygin przyjął maksymę Dr. Castro, że pierwszym obowiązkiem rewolucjonisty jest „robić rewolucję" — wówczas Sowiety miałyby do wyboru albo powrócić do izolacji z okresu przedwojennego albo zaakceptować nieuchronność konfliktu zbrojnego ze Stanami Zjednoczonymi. Gomułka sądzi, że pomoc Sowietów finansowa, gospodarcza czy militarna dla jakiegokolwiek kraju „trzeciego świata" winna oznaczać przewrót komunistyczny i osadzenie lokalnego „Gomułki" na kierowniczym stanowisku. Gdyby Rosjanie postępowali nadal według powyższej recepty — dostarczyliby amunicji tym kołom w Waszyngtonie, które głoszą, że komunizm jest spiskiem światowym z którym koegzystencja nie jest możliwa.

Przyjęcie zasady, że broń i pomoc gospodarczą dostarcza się tylko potencjalnym rewolucjonistom — z jednej strony zwęziłoby możliwości światowej polityki sowieckiej — z drugiej strony, oznaczałoby podjęcie „świętej wojny" przeciwko kapitalizmowi amerykańskiemu. Uczucia anty-anglosaskie w obrębie „trzeciego świata" są silne i rozpowszechnione — byłoby jednak błędem stawiać znak równania pomiędzy anty-kolonializmem a pro-komunizmem. W społeczeństwach afro-azjatyckich anty-kolonialistami są wszyscy, lecz autentycznych komunistów jest tylko garść. Przekształcenie Egiptu czy innego zamorskiego kraju w państwo komunistyczne nie gwarantuje już dziś postawy pro-sowieckiej. Istnieje bowiem zawsze możliwość dojścia do władzy frakcji pro-chińskiej.

Do czego zmierzają te uwagi? Chciałem wykazać, że jeżeli Moskwa zechce utrzymać swą pozycję *vis-à-vis* Stanów Zjednoczonych — przywódcy na Kremlu będą musieli nauczyć się nie tylko współżyć z państwami o innych systemach społecznych lecz również uznać, że ustrój komunistyczny nie jest konieczną kwalifikacją dla potencjalnych sojuszników Związku Sowieckiego.

Jeden z podstawowych elementów wielkiego kryzysu w Związku Sowieckim sprowadzić można do następującego twierdzenia. Na wewnątrz ideologia służy do usprawiedliwienia dyktatury „nowej klasy". Na zewnątrz, ta sama ideologia stanowi kulę u nogi. Światowa polityka Sowietów jest pasmem zdrad ideologii ponieważ nie jest rzeczą możliwą zachować wierność ideologii i uniknąć wojny światowej.

W mojej opinii, politycy typu Kosygina zdają sobie sprawę z faktu, że świat nigdy nie będzie komunistyczny. Z drugiej strony politycy typu Breżniewa muszą sobie uświadamiać, że oficjalne odstępstwo od uniwersalnej teorii rewolucyjnej komunizmu otwarłoby drogę do zasadniczej rewizji marksizmu-leninizmu, który stanowi fundament panowania „nowej klasy". Tak oto zarysowuje się coraz wyraźniej zasadnicza sprzeczność pomiędzy interesami Rosji jako mocarstwa światowego a interesami „nowej klasy", która Rosją rządzi.

Czytelnik zauważy w tym miejscu, że owa sprzeczność w praktyce nie istnieje, ponieważ na zewnątrz Rosja uprawia politykę pragmatyczną a nie ideologiczną. Istotnie tak jest, lecz niemniej, owo doktrynalne zobowiązanie do propagowania komunizmu w skali globalnej mobilizuje anty-komunistów na całym świecie, wyposaża w antykomunistyczną ideologię najpotężniejsze mocarstwo tj. Stany Zjednoczone i *last but not least* — uniemożliwia Rosji budowę sojuszów na których można polegać.

Na skutek policentryzmu blok komunistyczny utracił swą spoistość i wspólność ideologii nie gwarantuje sojuszniczej solidarności z Rosją. Równocześnie jednak, sojusz z Rosją dla państwa o nie-komunistycznym ustroju niesie ciągle groźbę przewrotu co czyni z Moskwy niebezpiecznego sojusznika. W rezultacie Sowiety opierają się tylko na państwach satelickich. Państwa satelickie nie są w sojuszu z Moskwą w autentycznym sensie tego słowa. Są to bowiem nie sojusze państw i narodów tylko porozumienia międzypartyjne.

Główną tezą niniejszej noty jest pogląd następujący: Rosja w przeszłości jeżeli zechce utrzymać status mocarstwa światowego będzie musiała: a) porzucić dogmat uniwersalizmu komunistycznego i b) podjąć próbę organizowania porozumień i sojuszów a-ideologicznych.

Jeżeli klasa rządząca w Sowietach dojdzie do wniosku, że ewolucja w tym kierunku jest nie do pogodzenia z dyktaturą i totalizmem — Rosja przekształci się w mocarstwo regionalne bez poważniejszych powiązań światowych. Pogłębiający się policentryzm doprowadzi z czasem do całkowitego rozkładu tzw. obozu państw socjalistycznych. Chiny są komunistyczne i Jugosławia jest komunistyczna — lecz jakie korzyści płyną z tego dla Rosji? Gdyby Chinami rządził prawicowy generał — być może stosunki pomiędzy Pekinem a Moskwą nie byłyby tak naprężone jak obecnie.

To nie Rosja przegrywa na arenie polityki światowej. Przegrywa natomiast ideologia komunistyczna. O tym czy Rosja jako mocarstwo podzieli światową przegraną komunizmu — zadecyduje ewolucja wewnątrz Związku Sowieckiego. Ewolucja doktryny nie nadąża za ewolucją sytuacji politycznej. Weźmy przykład. Policentryzm jest dziś historycznym faktem — niemniej nie wypracowano w Moskwie do tej pory żadnej teoretycznej formy, która definiowałaby to zjawisko.

Ktoś powie, że nie ma się czym kłopotać, bo praktyka i życie ważniejsze są zawsze od teorii i ideologii. Nie zawsze tak jest. Kościół katolicki nie podda rewizji tych dogmatów, które pozbawiłyby Watykan racji istnienia. Komunistyczne partie rządzące wzdragają się przed rewizją dogmatów stanowiących fundament ich władzy — ponieważ owych dogmatów, którym przeczy życie i praktyka nie ma czym zastąpić. Motywację ideologiczną można by zastąpić tylko poparciem społeczeństwa, które z kolei można by zjednać wyłącznie programem zasadniczych reform ustrojowych.

Uniwersalizm komunistyczny zawiódł w ramach obozu komunistycznego, który ewoluuje w kierunku policentryzmu a nie uniwersalizmu. Natomiast ideologiczne zobowiązanie Moskwy do skomunizowania świata — wyposażyło Amerykę w ideologię anty-komunistyczną, której praktycznym wyrazem jest polityka globalna Stanów Zjednoczonych. Innymi słowy, uniwersalizm komunistyczny daleko skuteczniej mobilizuje antykomunistów niż komunistów.

Mit uniwersalizmu komunistycznego często paraliżuje najbardziej pragmatycznie pomyślaną politykę Związku Sowieckiego. Nasser w przemówieniu z dnia 23. 7. br. oświadczył wyraźnie i stanowczo, że *nie życzy sobie wojsk sowieckich* na terytorium Egiptu. Prezydent Egiptu boi się — i słusznie — konsekwencji ideologiczno-politycznych takiej operacji. Uniwersalizm komunistyczny uniemożliwia Sowietom budowę systemu sojuszów a kandydatów na satelitów jest coraz mniej nawet w obozie „państw socjalistycznych".

Lecz likwidacja mitu o skomunizowaniu świata jest problemem wewnętrznym Związku Sowieckiego. W gruncie rzeczy Rosja nie ma innej problematyki tylko problematykę wewnętrzną.

CO SIĘ ZMIENIŁO?

W „Department of State Bulletin" z 3. 7 br. ukazał się ciekawy i oryginalny artykuł prof. Zbigniewa Brzezińskiego pt. „The Indications of Change for United States Foreign Policy".

Brzeziński wychodzi z założenia, że kryzysy i wojny lokalne skupiając na sobie uwagę utrudniają dostrzeżenie powolnych lecz zasadniczych przemian, które w swych konsekwencjach ważniejsze są od kryzysów i wojen lokalnych.

Co się zmieniło? Autor wymienia następujące ewolucyjne przemiany, których łączny wpływ przekształca scenę międzynarodową.

I. *Zanikanie konfliktów ideologicznych pomiędzy wysoko rozwiniętymi krajami świata.* Od czasów Rewolucji Francuskiej konflikty między państwami nosiły charakter nacjonalistyczno-ideologiczny. Najbardziej zabójczą mieszanką nacjonalizmu i ideologii był hitleryzm. Ten typ konfliktu pomiędzy wysoko rozwiniętymi państwami zanika z różnych przyczyn. Otrzeźwiająco działają bronie atomowe. Dawniej można było w przybliżeniu obliczyć zarówno koszt jak i spodziewany zysk operacji wojennej. Dziś nie jest to możliwe. Ideologie gasną w krajach wysoko rozwiniętych ponieważ ludzie zaczynają sobie zdawać sprawę, że przemiany społeczne i gospodarcze są zbyt skomplikowanym i złożonym procesem i nie jest rzeczą możliwą redukowanie owego procesu do kilku czy kilkunastu formułek ideologicznych. W konsekwencji „inżynieria społeczna" i badania naukowe biorą górę nad ideologią.

Najbardziej rewolucyjna ideologia naszych czasów tj. ideologia komunistyczna jest martwa. Komunizm jest martwy w tym sensie, że jest już niezdolny do mobilizacji w skali światowej. Z jednej strony policentryzm i fragmentaryzacja — z drugiej strony nawrót do lokalnych radykalnych tradycji — powodują zanik uniwersalizmu ideologii komunistycznej. Państwa komunistyczne stanowią nadal istotną siłę lecz nie dotyczy to ideologii w sensie uniwersalnym.

II. *Przesunięcie ognisk konfliktów zbrojnych.* W związku z wygasaniem konfliktów ideologicznych zanikają również konflikty zbrojne pomiędzy państwami wysoko rozwiniętymi. Ogniska konfliktów zbrojnych przesunęły się z Europy na terytoria afro-azjatyckie „trzeciego świata".

III. *Zmierzch państwa narodowego.* Wkraczamy w epokę ponacjonalistyczną. Ewolucja w tym kierunku postępuje wolno lecz nieodwracalnie. Ludzie zaczynają się identyfikować nie tylko z danym krajem lecz z danym kontynentem czy częścią świata. Proces ten zdeterminowany jest technologią i współzależnością gospodarczą.

IV. *Stany Zjednoczone dominującą potęgą globu.* Okres współczesny cha-

rakteryzuje nie bi-centryzm (podwójna hegemonia) lecz przeciwnie, zdecydowana światowa przewaga Ameryki. W ostatnich latach Stany Zjednoczone zmusiły Chruszczowa do wycofania rakiet z Kuby, ochroniły swoje interesy w Republice Dominikańskiej i w Kongo — a dziś czynią to samo w Wietnamie. Rosja Sowiecka nie zdobyła się na reakcję nawet tam gdzie jej wpływy są dominujące tj. w Berlinie. Związek Sowiecki jest dziś mocarstwem regionalnym, którego uwaga skupia się głównie na Europie i na rosnącym zagrożeniu ze strony Chin.

V. *Zróżnicowanie świata.* Brzeziński sądzi, że rosną różnice nie tylko pomiędzy krajami rozwiniętymi a „trzecim światem" — lecz przede wszystkim poszerza się przepaść pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Europą. Ameryka weszła w epokę po-przemysłową. Społeczeństwo amerykańskie jest nowym społeczeństwem, które nie jest już kształtowane naciskiem procesów przemysłowych. Natomiast przemiany w Europie socjalne i gospodarcze są konsekwencją rewolucji przemysłowej i jej wpływu na społeczeństwa tradycjonalistyczne i w wielu wypadkach do niedawna rolnicze.

Problematyka społeczeństwa, które rewolucję przemysłową ma już za sobą jest zupełnie innej natury. Na czoło wybijają się zagadnienie wolnego czasu, automacja, równowaga psychiczna, alienacja młodzieży pochodzącej przeważnie z zamożnych *sfer middle class* itp. Wszystko to wiąże się ze stopą życiową — wysoką i ustabilizowaną. „Mózgi elektronowe" i różnorodne media komunikacyjne w coraz większym stopniu determinują amerykańską modłę życia. Obraz świata w umysłowości przeciętnego Amerykanina kształtowany jest coraz bardziej przez telewizję i radio a w coraz mniejszym stopniu przez książki i gazety. Europa przeżywa dziś „rewolucję samochodową", która poszerza potencjał ludzkiej ruchliwości. Ameryka natomiast przeżywa „rewolucję elektroniczną", która poszerza potencjał zmysłów (jak wzrok) i zasięg systemu nerwowego.

Społeczeństwo po-przemysłowe charakteryzują nowe problemy i perspektywy — co w sumie pogłębia przepaść oddzielającą Stany Zjednoczone od Europy. Tu również należy szukać źródła napięcia, które niezależnie od takich problemów jak NATO charakteryzuje stosunki amerykańsko-europejskie.

Tak w wielkim skrócie wygląda rejestr metamorfoz zaprezentowany przez autora omawianego artykułu.

Główny wniosek wypływający z tych rozważań Brzeziński sformułował następująco. Ideologie XIX-wieczne są całkowicie niezastosowalne w odniesieniu do po-przemysłowego społeczeństwa. W swojej polityce Stany Zjednoczone winny unikać recept skrajnej prawicy i skrajnej lewicy. „Nowa Lewica" proponuje izolacjonizm i skrajna prawica często doradza „wycofanie się ze świata". Wycofanie się Ameryki z jej globalnych zobowiązań i zaangażowań — spowodowałoby w konsekwencji międzynarodowy chaos o olbrzymich wymiarach. Globalne zaangażowanie Ameryki jest faktem historycznym — i nie ma możliwości likwidacji owego zaangażowania. Można dyskutować formy i wymiar zaangażowania lecz nie może być przedmiotem debaty pytanie czy Ameryka powinna czy nie powinna być zaangażowana.

Celem owego zaangażowania jest stworzenie klimatu dla współpracy, która stopniowo położyłaby kres „zimnej wojnie" i nadała nowy kształt społeczności narodów wysoko rozwiniętych. Brzeziński podkreśla, że Europa wschodnia winna stanąć na własnych nogach, uzyskać większy stopień niezależności przy równoczesnym zachowaniu powiązań z Rosją.

Pewne punkty w analizie prof. Brzezińskiego budzą zastrzeżenia.

1. Nie wydaje mi się by państwo narodowe jako formacja polityczna schodziło ze sceny. Europa zachodnia z Francją na czele stanowi ugrupowanie państw narodowych a w Europie wschodniej obserwujemy tendencje do unarodowienia komunizmu (Rumunia).

Supremacja Ameryki i Rosji w rzeczywistości utrudnia a nie ułatwia procesy scaleniowe. Anglia i Francja gdyby w pewnej formie połączyły swe potencjały — stworzyłyby zespół z którym oba super-mocarstwa musiałyby się liczyć. Między Francją a Anglią nie ma żadnych sprzecznych interesów. Różni je wyłącznie stosunek do Stanów Zjednoczonych.

2. Wypadki na Środkowym Wschodzie przeczą tezie, że „Związek Sowiecki jest w rzeczywistości regionalnym mocarstwem skupiającym głównie swą uwagę na Europie i na rosnącym zagrożeniu ze strony Chin". Należy dodać, że do tej pory Ameryka nie uczyniła niczego by przeciwstawić się ekspansji sowieckiej na Środkowym Wschodzie.

3. Rejestr osiągnięć polityki Stanów Zjednoczonych przedstawiony przez Brzezińskiego od Kuby po Wietnam — wydaje się zbyt optymistyczny. Na Kubie nie ma sowieckich pocisków atomowych — lecz demokracji nie ma również. Kuba nie została ani wyzwolona ani odzyskana dla wolnego świata. Przykład Kuby musi stanowić wielką zachętę dla Hanoi. Jeżeli można utrzymać rząd komunistyczny na terytorium odległym o kilkadziesiąt mil od Stanów Zjednoczonych — dlaczego miałoby to być niemożliwe do osiągnięcia w kraju odległym o kilka tysięcy mil od brzegów Ameryki. Pojedynek Kennedy-Chruszczow w sprawie Kuby zakończył się bardzo połowicznym sukcesem Stanów Zjednoczonych.

4. Krwawe rozruchy murzyńskie, których widownią były miasta amerykańskie w lipcu br. — dowodzą, że nie całe społeczeństwo Stanów Zjednoczonych wkroczyło w epokę po-przemysłową. Trzeba jednak zaznaczyć, że podobnie jak strajk — rozruchy tego typu możliwe są tylko w kraju demokratycznym. Sytuacja rewolucyjna powstaje wówczas, gdy cele o które się walczy są bliskie i realne. W Sowietach robotnicy i chłopi są na ogół bierni — ponieważ cele ewentualnej rewolucji wydają się dalekie i nierealne. W Ameryce jest dobrobyt i demokracja — więc walka o równouprawnienie ma szanse szybkiego sukcesu.

W rozruchach brali udział przeważnie młodzi Murzyni pomiędzy 20-35 rokiem życia. Ta warstwa jest najbardziej wyobcowana na skutek bezrobocia i nierówności w starcie życiowym.

„Prawda" opis wypadków w Detroit zamieściła pod nagłówkiem „Hańba Ameryce". Dr Castro mówił o „bohaterskiej walce Murzynów z faszystowską policją amerykańską".

Gdyby Stany Zjednoczone był państwem komunistycznym lub faszystowskim — oczywiście nie byłoby żadnych rozruchów. Wszyscy przywódcy i działacze murzyńscy siedzieliby od dawna w więzieniach i nie istniałaby żadna murzyńska organizacja. W ten sposób rozwiązuje się sprawy rasowe i narodowościowe w Związku Sowieckim. Nie oznacza to jednak, że problem rasowy jest prawidłowo rozwiązany w Stanach Zjednoczonych. Niedorozwój na tym polu szkodzi Ameryce, zwłaszcza w opinii krajów afro-azjatyckich.

HUMANIŚCI

Kto jest humanistą? Wszyscy są humanistami. Nie spotkałem człowieka, który przyznałby odważnie, że nie jest humanistą. Za humanistów uważają się profesorowie Schaff i Suchodolski, Julian Huxley, Arcybiskup Canterbury i Londyńczyk.

Humanizm — podobnie jak demokracja — istnieje w wielu wydaniach. Mamy więc humanizm socjalistyczny, humanizm chrześcijański, humanizm marksistowski i humanizm bez bliższego określenia, reprezentowany m.in. przez British Humanist Association.

Nakładem Anchor Books, New York — ukazał się ostatnio potężny tom zatytułowany „Socialist Humanism". Redaktorem tego międzynarodowego sympozjum jest Erich Fromm.

Można przytoczyć dziesiątki definicji humanizmu — sądzę jednak, że stwierdzenie Terentiusa „nic co ludzkie nie jest mi obce" nawet po upływie stuleci najtreściwiej definiuje postawę humanistyczną.

Doktryna, której obce jest dążenie do wolności — nie może podszywać się pod humanizm, bo cóż jest bardziej ludzkiego niż wolność. Wolność od panów feudalnych, kapitalistycznych wyzyskiwaczy, wolność od trybunałów inkwizycyjnych, Bezpieki i cenzury.

Karol Marks w pewnym sensie był humanistą. Lecz Lenin tak w słowie jak i w czynie humanistą nie był. Można mówić o marksistowskim humanizmie. Natomiast marksizm-leninizm z humanizmem nie ma nic wspólnego.

PZPR jest partią marksistowsko-leninowską. Wskutek tego każdy marksista, który jak prof. Schaff stara się w swych pracach wydobyć wartości humanistyczne z pism Karola Marksa — wcześniej lub później popada w konflikt z partią. Ustrój PRL z „centralizmem demokratycznym", Bezpieką, cenzurą itd. — jest kopią — nie bardzo zresztą udałą — modelu leninowskiego.

Z powyższych przyczyn zamieszczanie w tomie zatytułowanym „Humanizm Socjalistyczny" eseju marksistów-leninistów jak prof. B. Suchodolski — wydaje mi się nieporozumieniem.

Antytezą humanizmu jest wszelki totalizm i fideizm. Każdy totalizm opiera się na fideistycznych dogmatach, bardziej lub mniej naiwnych. Model ustrojowy marksistowsko-leninowski nie stanowi od tej reguły wyjątku. Marks głosił, że „we wszystko należy wątpić". W Polsce Ludowej można wątpić we wszystko lecz nie w mądrość i nieomylność KC PZPR. Do tego stopnia humanistami-marksistami jeszcze nie jesteśmy.

W połowie lipca br. w Nottingham odbył się coroczny zjazd British Humanist Association. Zjazd uchwalił rezolucję domagającą się likwidacji przepisów o obowiązkowym nauczaniu religii w szkołach samorządowych i państwowych.

Czy religia jest istotnie nie do pogodzenia z humanizmem? Jedno wydaje się pewne. Dogmatyczny ateista nie może uczciwie o sobie powiedzieć, że nic co ludzkie nie jest mu obce — bo religia, choćby nawet odmówić jej boskości — jest sprawą arcy-ludzką. Niemniej istotnym punktem jest tolerancja. Postawa humanistyczna wyłącza wszelki szowinizm. Humanista, który z zaciekłością zwalcza chrześcijaństwo nie ma prawa domagać się tolerancji dla siebie od biskupów i księży. Tolerancja obowiązuje zawsze obie strony w sporze a nie tylko tych, którzy sądzą, że mają rację.

Doktrynalni ateiści zwłaszcza w krajach „demokracji ludowej" stale powołują się na Karola Darwina. Marks, również Karol — zamierzał zadedykować swój „Kapitał" Darwinowi. Jednak Darwin nie zgodził się na dedykację — w pewnej mierze ze względów religijnych. Autor „O powstaniu gatunków drogą doboru naturalnego" — w swojej autobiografii wyraził pogląd, że początek wszech-rzeczy jest dla nas nierozwiązalną tajemnicą. W konsekwencji Darwin nie uważał się za ateistę tylko za agnostyka i nie chciał swoim nazwiskiem żyrować ataków na chrześcijaństwo czy jakąkolwiek inną religię.

W mowie potocznej i w popularnych artykułach — agnostyków i ateistów sprowadza się do wspólnego mianownika, co jest oczywistym nonsensem. Różnica pomiędzy agnostykiem a ateistą jest identyczna jak pomiędzy agnostykiem a człowiekiem wierzącym. Pierwszy wierzy, że Boga nie ma — drugi wierzy, że Bóg jest. Agnostyk stwierdza skromnie, że po prostu nie wie.

Doktrynalny ateizm i walka z religią są niezgodne z postawą humanistyczną. Gdyby chrześcijaństwo w wydaniu kościoła anglikańskiego było filozofią państwową na wzór ideologii komunistycznej w państwach „demokracji ludowej" — wówczas, lecz tylko wówczas, walka z religią anglikańską byłaby usprawiedliwiona. W rzeczywistości kościół anglikański jest jednym z najbardziej tolerancyjnych wyznań chrześcijańskich i w swoich wypowiedziach jest daleko mniej dogmatyczny niż brytyjscy humaniści.

DYSKUSJA OKRĄGŁEGO STOŁU

W dniu 15 czerwca br. w studio Radia Wolna Europa nagrano dwie pół-godzinne audycje poświęcone książce J. Mieroszewskiego pt. „Polityczne Neurozy". W dyskusjach wzięli udział: Dyr. Jan Nowak (przewodniczący), Aleksander Bregman, Adam Ciołkosz, Adam Pragier i autor. W pierwszej audycji omawiano stosunki polsko-rosyjskie — w drugiej problem ewolucji komunizmu.

Z pewnymi tezami książki zgadzali się Jan Nowak i Adam Ciołkosz. Bregman i Pragier reprezentowali opozycyjny punkt widzenia.

Z DZIEJÓW STOSUNKÓW POLSKO-CZECHOSŁOWACKICH

Bieżący numer „The Central European Federalist" (z czerwca br.) poświęcony jest w znacznej mierze dawniejszym i współczesnym dziejom stosunków polsko-czechosłowackich.

Z wszystkich narodów słowiańskich Polacy i Czechosłowacy są najbliżej spowinowaceni. Tak jedni jak i drudzy są narodami zachodnimi, o licznych powiązaniach dynastycznych, kulturalnych i politycznych. Jeżeli przez „zachodniość" rozumieć uprzemysłowienie i demokrację — przed-komunistyczna Czechosłowacja była państwem znacznie bardziej zachodnim niż Polska niepodległa.

Czechosłowaków jest zaledwie 13 i pół miliona. Polaków jest niemal dwa

i pół razy więcej. W tej części Europy nieliczny naród może przetrwać tylko za cenę realizmu politycznego i rozwagi.

Rozpatrując stosunki polsko-czechosłowackie w okresie niepodległości — należy obiektywnie stwierdzić, że błędy popełniono po obu stronach.

W omawianym numerze „The Federalist" na specjalną uwagę zasługują następujące artykuły: Adam Bromke — „Poland and Czechoslovakia: The Hesitant Alliance"; Vaclav Benes — „Psychology of Polish-Czechoslovak Relations", oraz Dr Thadeus V. Gromada — „The May 1938 Pro-Slovak Manifestation in Poland".

„The Federalist" jest jedynym pismem stanowiącym wyraz praktycznej współpracy czechosłowacko-węgiersko-polskiej. Redagowany jest przez: V. Brzoràd, Béla Kiràly i Adama Rudzkiego.

LONDYŃCZYK

„UNITA" SIĘ TŁUMACZY

W numerze komunistycznego dziennika rzymskiego „L'Unità" z 13. 8. 1967 ukazała się na samym dole drugiej stronicy notatka pod tytułem: „Reklama" tej treści: „W numerze wczorajszym naszego dziennika, na tej samej stronicy, zostało opublikowane płatne ogłoszenie reklamowe, które reklamowało w zdaniach otwarcie antykomunistycznych książkę antypolską i antysocjalistyczną, dwóch autorów Polaków. Miało to miejsce przy nadużyciu naszej dobrej wiary, jako że ogłoszenie nadesłał pewien określony dom wydawniczy, prowadzący dystrybucję książki, podczas kiedy została ona wydana przez inny dom wydawniczy, który specjalizuje się w małych prowokacjach przeciw naszej partii. Jak wiadomo, redaktorzy znajdują reklamy już gotowe, włączone w kolumny przygotowane do druku, co nie znaczy, że nie miał tu miejsca z naszej strony brak czujności i z tego powodu przepraszamy naszych czytelników".

Okazuje się, że zamieszczono reklamę włoskiego wydania „Listu otwartego do partii" Kuronia i Modzelewskiego. Tytuł włoski książki brzmi: „Marksizm polski w opozycji". W reklamie jest tylko jedna cytata z książki: „*Pokonanie biurokracji dla wznowienia walki klas i inicjatywy rewolucyjnej*". Nie poza tym. Tylko dodatek wydawcy: „list do towarzyszy, który kosztował więzienie dwóch komunistów".

Kraj

Warszawa 6-10 czerwca

Zaczęła się pora urlopów. Na postojach taksówek — długie kolejki, stosy malowniczego bagażu, nerwowe spoglądanie na zegarki. Dworce zatłoczone po brzegi: dzieciarnia, spłakane na zapas mamusie, panienki w minijupkach, młodzieńcy z plecakami i, oczywiście, panowie w garniturach opuszczający Stolicę służbowo. Nieliczne kioski z piwem — oblężone już nie tylko przez stałych, „utrwalających" nabyte uprzednio „procenty" bywalców.

W południe temperatura przekracza 35°C. Natychmiast, rzecz jasna, braknie napojów chłodzących, nawet pogardzanego zwykle „gazowanego, naturalnie mętnego soku pomarańczowego" — obrzydliwej cieczy produkowanej na zasadzie mieszania wody sodowej z jakimś chińskim ulepem o nieprawdopodobnym smaku.

Tak, to już pierwsze dni warszawskich „ogórków": chał w kinach, spoconych turystów dewizowych i śmiertelnej nudy dla tych, którzy muszą pozostać w mieście...

W taką to, najzwyklejszą aurę warszawskiego lata, rąbnął piorun afery arabskiej. Jak zwykle w podobnych przypadkach, lud znał przebieg najnowszych wydarzeń zanim jeszcze propagandowe czynniki zdecydowały, w jakiej formie należy je społeczeństwu zrelacjonować: czy zachować na początek pozory spokojnego obiektywizmu i rzeczowości, czy też od razu wywalić z armaty „izraelskiego imperializmu" i „spisku agresywnych kół anglo-amerykańskich". Naturalnie, wybrano w końcu ten drugi wariant, żeby ktoś sobie przypadkiem nie pomyślał, iż polityka Polski może choćby w niuansach odbiegać od linii naszych radzieckich zbawców.

Tak zatem, oblatany w sprawach międzynarodowych (BBC, Wolna Europa, Głos Ameryki, szwagier w PAPie) warszawiak wiedział już skąd naprawdę wiatr wieje, kiedy prasa, radio i telewizja w jednakowych niemal słowach obwieściły początek „brutalnej agresji Izraela przeciwko pokojowym państwom arabskim".

Reakcja społeczna na wiadomość o wybuchu wojny na Bliskim Wschodzie miała w Polsce charakter dwojaki: ekonomiczny i moralno-polityczny. Ten pierwszy moment uzewnętrznił się poprzez znany już u nas szał zapasów żywnościowych. W sensie ekonomicznym zatem, opinia polska zareagowała na awanturę arabską identycznie, jak — swego czasu — na wojnę koreańską oraz kryzysy berliński i kubański. Odnotowuję to zjawisko tylko z dziennikarskiego obowiązku, nie wymaga ono bowiem — w polskich warunkach i przy polskich doświadczeniach — wyjaśnień ani interpretacji.

Wiele natomiast materiału do rozważań i powodów do optymizmu znajdzie polski obserwator polityczny w stanowisku zajętym przez ogromną większość społeczeństwa wobec wydarzeń bliskowschodnich. Nie podejmuję się tu żadnej analizy tych nastrojów. Chciałbym je tylko zilustrować — na zasadzie niejako „fotograficznej" — prezentując Czytelnikowi kilka „zdjęć" z Warszawy pierwszych dni czerwca 1967 roku. Są to obrazki niewielkie i przypadkowe, ale z pretensjami do uogólnień.

◆

Słońce świeci prosto w okna małej salki konferencyjnej Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Jest gorąco mimo przedpołudniowej pory. Za stołami ustawionymi w podkowę zasiada dwudziestu kilku dziennikarzy ze stołecznej prasy i radia.

W parę minut po wyznaczonej godzinie wchodzi trzech panów w ciemnych garniturach. Olśniewająca biel zagranicznych koszul, spinki, kamizelki. Na obliczach — wyraz pogodnego dostojeństwa i niczym nie zmąconej pewności siebie. Po drodze — łaskawe uśmiechy, tu i ówdzie — uścisk dłoni. Dziennikarze dobywają piór i notesów. Trzej panowie sadowią się w fotelach, zapada cisza.

— No cóż, towa'ysze, sytuacja jest jasna — zagaja jeden z trzech panów, niski, szpakowaty brunet o pociągłej twarzy. — Izrael dopuszcza się agresji przeciwko krajom arabskim. Wszystkie pokój miłujące narody — w tej liczbie i Polska — opowiadają się, rzecz jasna, za krajami arabskimi. Trudno jeszcze ocenić jak rozwija się sytuacja wojskowa; agresja trwa dopiero drugi dzień. Jak już towarzysze pewnie wiecie, obie strony donoszą o sukcesach swoich wojsk. W czasie wojny to rzecz zwykła. Nie ulega jednak wątpliwości, że strona arabska jest nieporównanie silniejsza. Chciałbym podkreślić z naciskiem, towa'ysze, że nie ma mowy o jakiejkolwiek „świętej wojnie" przeciwko Izraelowi. Celem państw arabskich nie jest w żadnym wypadku zniszczenie Izraela, jak to usiłuje sugerować propaganda zachodnia. ZRA domaga się tylko respektowania swych suwerennych praw w Zatoce Akaba — podobnie, jak to już ma miejsce na Kanale Suezkim.

Mówca nabiera oddechu, w sali zapada cisza. Mija dłuższa chwila zanim wśród audytorium daje się zauważyć poruszenie.

Tak, jakby sens słów dopiero co wypowiedzianych nie dotarł od razu do świadomości słuchaczy.

— Czy są jakieś pytania, towa'ysze? — w głosie mówcy dźwięczy nutka zdziwienia.

Znów długa chwila ciszy zmąconej tylko szeptami i szelestem papieru. Wreszcie znajduje się odważny:

— Towarzyszu dyrektorze, przecież były już oficjalne oświadczenia radiowe arabskich mężów stanu, że wojna musi się zakończyć likwidacją państwa izraelskiego...

Teraz już nawet papier nie szeleści. Towarzysz dyrektor pochyla się ku swoim milczącym towarzyszom, następuje krótka wymiana zdań szeptem.

— Towa'ysze, należy rozróżniać między wypowiedziami polityków arabskich na zewnątrz, a ich deklaracjami na użytek wewnętrzny. Szczególnie ostre słowa — to zresztą zrozumiałe — padają ze strony uciekinierów palestyńskich. Również Syria jest raczej pobudliwa ale to także nie powinno dziwić jeżeli się zważy imperialistyczne próby obalenia rządu syryjskiego. Należy jednak zrozumieć, towa'ysze, że hasła tego rodzaju mają na celu wyłącznie mobilizację opinii społecznej w krajach arabskich. Mamy zresztą zapewnienia z *innych* źródeł — tego, towa'ysze, nie musicie publikować, he, he — że tak właśnie rzeczy się mają. Pamiętajmy też, że Arabowie zaczynają prowadzić wspólną politykę i że ster tej polityki przejął Nasser. Hussejn już mu się podporządkował i to samo muszą zrobić Hassan, Bourguiba i inni. Tak... Czy są jeszcze jakieś pytania towa'ysze?

Było jeszcze pytanie na temat międzynarodowego statusu Zatoki Akaba. Tym razem towarzysz dyrektor już nie konsultował się ze swymi dwoma towarzyszami. Mówił szybko, płynnie i z przekonaniem. Stwierdził, że ponieważ od 1956 roku stosunki egipsko-izraelskie znajdowały się w stanie zawieszenia broni, a więc nie pokoju, przeto międzynarodowa konwencja o swobodzie przepływu nie może odnosić się do Zatoki Akaba. Dodał również, iż od 6 lat żaden statek „pod flagą izraelską" nie wszedł do portu Eljat i że, w ogóle, port ten jest dla Izraela bez znaczenia... To tylko propaganda imperialistów udramatyzowała „przejęcie przez Egipt suwerennej kontroli" nad Zatoką Akaba, żeby usprawiedliwić „brutalną napaść Izraela na kraje arabskie". A ponadto, już po wycofaniu wojsk ONZ z granicy izraelsko-egipskiej, statki swobodnie sobie przez tę zatokę przepływały!

— No cóż, towa'ysze, to chyba wszystko — zakończył towarzysz dyrektor. Dziennikarze unieśli się z miejsc i bez pośpiechu, małymi grupkami, zaczęli opuszczać salę.

Nikt nie mówił o wojnie na Bliskim Wschodzie. Widocznie konferencja prasowa, o której nb. zawiadomiono wszystkie warszawskie redakcje, rozwiała wszelkie wątpliwości, jeżeli takowe były. Sądzę atoli, że nikt wątpliwości nie miał. A przynajmniej od

chwili kiedy towarzysz dyrektor oświadczył, że „sytuacja jest jasna"*.

◆

Podjeżdżając na postój kierowca wykrzykuje: „Na Mokotów!" Prócz mnie, z długiej kolejki wyskakują dwie panie w wieku wczesno-mamusiowym, typowe przedstawicielki naszej ludowej *middle-class:* kiecki w kolorowe zawijasy, czeska biżuteria, torby wypchane żarciem, w obliczach — godność i zaduma. Kolejno podajemy adresy. — Pan może z redakcji? — pyta kierowca usłyszawszy mój. — Jak pan myśli, będzie wojna z tej awantury?

— Myślę, że nie — odpowiadam. Cisza. W taksówce potwornie śmierdzi benzyną.

— No... a tego... — podejmuje z oporami kierowca — Araby biją Żydków, co?

Mówię, że raczej chyba na odwrót. — Nie słucha pan Wolnej Europy, czy co? — dodaję.

Kierowca zwraca ku mnie głowę i przygląda mi się przez dobrą chwilę. Zaczynam się już niepokoić — cały czas jedziemy siedemdziesiątką — kiedy powraca wreszcie wzrokiem na jezdnię.

— Czasem słucham — powiada. — A co, chciałby pan, żebym każdemu zaraz życiorys opowiadał? Niby wszystko wolno, ale ja tam nie będę na prawo i lewo rozpowiadał, że słucham Wolnej Europy.

Skrzyżowanie Alej i Marszałkowskiej przebywamy w milczeniu. Skręcamy w lewo. Przed nami, w oddali, słynne kandelabry Placu Konstytucji i wieże kościoła Zbawiciela zepchniętego przez Sigalina z perspektywy Marszałkowskiej.

— To co — mówi kierowca — będziemy teraz u faraonów socjalizm budować?

— Zupełnie nie rozumiem — odzywa się nagle jedna z pań — dlaczego Polska popiera tych Arabów...

Patrzymy na nią zaskoczeni. — Przecież Żydzi walczyli z nami przeciwko Niemcom, nawet pomnik im wybudowali na Muranowie, a poza tym Żydów jest bardzo mało, a tych Arabów tak dużo — paniusia mówi bardzo szybko, niemal jednym tchem. — W gazetach ciągle piszą, że Amerykanie to mordercy, bo napadli na Wietnam, który jest taki mały w porównaniu z Ameryką... To ja już tu wysiadam, niech pan stanie przed hotelem MDM.

— Co ona się tak lituje nad Żydami — komentuje kierowca włączając ze zgrzytem bieg. — Niech się lepiej nad sobą zlituje, bo nią Żydzi rządzą...

— Niech pan tak nie mówi, proszę pana — wtrąca druga paniusia. Mam sąsiada, Żyda, proszę pana. Bardzo porządny człowiek. Bezpartyjny inżynier. Był u nas wczoraj na telewizji i jak zaczęli podawać to przemówienie Gomułki, to się rozpłakał i tylko powtarzał: „ledwie dwadzieścia lat minęło". Ja bym tam córki za Żyda nie wydała, proszę pana, ale — słowo daję — też się rozpłakałam. Dość już ich Hitler wymęczył, niech im dadzą wreszcie trochę pożyć w spokoju. A na polityce, to ja się nie znam...

Dalszą drogę do redakcji przebywamy już tylko we dwójkę z kierowcą. Milczymy. Kiedy — już na miejscu — odliczam forsę, kierowca pyta nagle: — A wiesz pan, że ogród zoologiczny zamknęli?

— Nie — odpowiadam uśmiechając się już na zapas — dlaczego?

— Bo Spychalski uczy się na wielbłądzie jeździć.

Kierowca zarykuje się z własnego dowcipu błyskając srebrnym zębem. — Barrany! — rzuca jeszcze półgłosem uruchamiając swoją rozklekotaną warszawę. Już się nie śmieje. Na jego cwaniackiej, opalonej twarzy pojawia się wyraz ogromnej, nasyconej pogardą ironii.

◆

Znakomity wypija łyk kawy i dobywa sporta z pomiętej paczki. Spieszę z zapałkami, łamię jedną, drugą... Jestem speszony, czuję się nieśmiały i malutki w towarzystwie Znakomitego. Rozmawialiśmy dotąd tylko raz i to krótko na jakimś koktajlu w jednej z ambasad. Wciąż ktoś do niego podchodził, ktoś znacznie ważniejszy ode mnie i Znakomity przerywał rozmowę w pół słowa, aby zwrócić się ku przybyszowi pozostawiając mnie samego ze szklanką w ręku i idiotycznym wyrazem uprzejmego zainteresowania na twarzy.

Teraz, w ogródku u dziennikarzy, Znakomity był sam. Dojadał tatara kiedy podszedłem i spytałem, czy mogę się dosiąść. Nie przestając żuć uśmiechnął się (poznał!) i wskazał mi krzesło. O wojnie na Bliskim Wschodzie zaczęliśmy mówić już po drugiej setce, gdzieś pod koniec golonki. Z początku Znakomity wypowiadał się raczej mętnie: — Nie jest to wszystko proste — powtarzał, kiedy strzelałem w niego podchwytliwymi pytaniami.

Rozgadał się dopiero przy kawie i winiaku. — Wytworzyła się nieznośna sytuacja. Po co było przenosić ten konflikt na nasz wrażliwy, polski grunt? Nie rozumiem... Dajemy Żydom do rąk atut Kościoła — atut zwalczanego, jeżeli nie prześladowanego męczennika. Tylko, że w starciu z Kościołem wszelkie argumenty były po naszej stronie; żaden rząd nie może dopuścić, aby prywatna organizacja wkraczała w jego kompetencje. Pisałem zresztą o tym, pewnie pan czytał...

Znakomity zgodził się na jeszcze jeden winiak, po czym kontynuował: — Nie powinniśmy walczyć z każdym drgnięciem opinii społecznej, które wykracza poza amplitudę naszej polityki. Ośmieszamy się niepotrzebnie, podsycamy tlące się jeszcze antagonizmy...

W miarę jak mówił, moje zdumienie rosło. Sądząc z artykułów Znakomitego — pełnych przekonania i pozytywnego zapału

* Fragmenty wystąpienia rzecznika MSZ podczas opisanej tu konferencji prasowej zostały odtworzone ze stenogramu (przyp. autora).

— rząd PRL i partia (czytaj: Gomułka) nie znaleźliby gorętszego orędownika. A tu raptem takie herezje...

— Dziwi pana moja szczerość? Tak sobie, głośno myślę. Nie jest pan zresztą nawet moim rozmówcą, a tylko przypadkowym katalizatorem myśli przy dzisiejszym obiedzie; anonimowym „kimś", do kogo mogę mówić.

— Skoro już tak szczerze mówimy, to może mi pan odpowie, czy — pana zdaniem — nasza polityka wobec tego konfliktu, podobnie zresztą, jak i w innych sprawach, nie jest po prostu kopią polityki radzieckiej, wyrazem posłuszeństwa wobec potężnego sojusznika i podporządkowania się jego interesom bez brania pod uwagę własnych? — Pytanie to wystrzeliło ze mnie nagle, myśli wyrwały się z cugli autocenzury i przyoblekły w słowa. Ciekawość przeważyła nad strachem.

— Obawiam się, że musi pan jeszcze wiele zrozumieć — powiedział Znakomity ze smutnym uśmiechem mędrca, który przywykł do dziecinnych pytań. — Musi pan przede wszystkim pojąć, że nie idziemy za Moskwą „ślepo". Idziemy za nią, bo taka jest nasza racja stanu, a interesów narodu trzeba bronić nawet, jeżeli jest to nieprzyjemne. Dlatego popieramy Ulbrichta, choć nikt tu go nie kocha, dlatego dokonaliśmy wolty w naszej interpretacji wydarzeń budapeszteńskich i dlatego potępiamy dziś Izrael. Konieczność takiej polityki nie ulega kwestii.

Znakomity wpatrywał się zmrużonymi oczyma w swój pusty kieliszek. — Nie rozumiem tylko — ciągnął po chwili — sensu tego ataku na Żydów w kraju. Niech by sobie pili za zdrowie Dajana. Wytoczyliśmy armaty przeciw komarowi; te słowa o „piątej kolumnie" były bardzo niepotrzebne... Tak... to było wstrętne. Wstrętne i śmieszne...

Jan DUGLAS

List do przyjaciela

„Przywarli do siebie tak blisko, że nie było miejsca na żadne uczucie".
S. J. LEC

Kilka miesięcy temu przeczytałem Gombrowicza „Dzienniki" z lat 1957-1961. Na stronie 74 znalazłem ustęp traktujący o współczesnych kłamstwach. Druga część tego ustępu brzmi: „Kłamstwo demokracji, że wszyscy mają to samo prawo do rozwoju. Pogląd

ten opiera się na tym, że wszyscy mamy takie samo ciało". Ta myśl Gombrowicza stała się moim „stimulus" do „wylania żółci", która zbierała się we mnie przez jedenaście lat pobytu w szkole. Później jednak przypomniało mi się łacińskie przysłowie *Vae mihi, qui cogitare ansus sum.* Zamieniłem *cogitare* na „wylać żółć", i tak *vae mihi* wygrało z „wylewaniem żółci". Ale do czasu. Do czasu kiedy na łamach paryskiej „Kultury" Leopold Tyrmand „porachował się osobiście". Nie wylana żółć dała znów o sobie znać. Tak to w krótkim odstępie czasu zwiększona dawka „lektur-stimulus" zrobiła swoje.

Wiem że to co robię w tej chwili, tj. piszę do Ciebie, jest swojego rodzaju odwagą. Bo czyż nie jest odwagą sąsiadować na kartkach „Kultury" z mistrzami?

Zatem niech mój skromny wiek, luki w wykształceniu i napór „wylewającej się żółci" staną w mojej obronie.

Do szkoły miałem nie daleko. Przystanek tramwajem. Opinia szkoły — znakomita. Odniosłem wrażenie, że opinia ta jest bardziej oparta na politycznym obliczu niż na jej pedagogicznych możliwościach.

Nigdy nie należałem do grupy wzorowych uczniów. Zawsze w końcówce. Powodem tego było wrodzone lenistwo oraz zdecydowana niechęć i daleko idąca rezerwa w pobieraniu socjalistycznych nauk. Ale o tym później.

Klasa — dwadzieścia dwie panny i dwudziestu chłopców. Lub inna proporcja trzydzieści-ośmioro pro i czworo anty. Smutne, ale prawdziwe.

Należałem, jak się domyślasz, do tej anty-czwórki. To jakby taka idealna ilustracja gombrowiczowskiego powiedzenia „potrzebny pies i cztery anty-psy". Czy nie tak?

Gdyby mnie wtedy zapytano anty czemu lub anty komu byłem, to z odpowiedzią byłoby bardzo niewyraźnie. Ale teraz wiem. Anty wszystkim pochodom anty trzem portretom, anty wartom honorowym, anty czerwonym chustom i czerwonym krawatom, anty zbyt otwartym oczom i uszom. To ostatnie anty nie jest żadnym wspominkiem stalinizmu. Z tego okresu pamiętam tylko, że kiedy Stalin umarł postawili całą moją szkołę pod portretem. Odbywała się trzygodzinna warta honorowa. Nie wiedziałem za co i po co w dodatku ta piekąca moją szyję czerwona chusta. Uciekłem, choć ponoć kochał dzieci. W domu, kiedy dowiedziano się o mojej rejteradzie, było bardzo chmurno i gniewnie. W parę lat później zrozumiałem dlaczego. Był to strach przed mocniejszymi krokami za drzwiami lub wezwaniem na Puławską.

Lekcje języka polskiego. Wykładowcą był młody nauczyciel o kolosalnej wiedzy (rzadki unikat tej szkoły), syn znanego małżeństwa-polonistów. Miał swoje, niezmieniające się w zależności od wiatru, poglądy, miał również swój styl. Nawet jeśli przychodzenie bez skarpet, li-tylko w sandałach, do szkoły jest zde-

cydowanie ekstrawaganckie. Niemniej, zarówno w miarę zdecydowane poglądy jak i niezaprzeczalna wiedza zgubiły go. Czyli używając gomułkowskiej polszczyzny — wygryziono go. Nie pomogło mu to, że się starał otworzyć łebki synów Roszaka, Wichy (ciekaw jestem czy Piotrek stale „chodzi" z Joanną Rabanowską — córką ex-ministra kolejnictwa — zaszczutego), Gedego, Świerczewskiego czy główeczki córek Szyra, Lesza, Rutkiewicza (słynne boje Małgosi o maturę), Grudzińskiego, Zacharczyńskiej i kilku innych potomków co wyżej postawionych tatusiów i mamuś.

Być może, że za bardzo starał się pokazać im tę literaturę przez duże L. Do oficjalnych list lektur opracowanych przez Ministerstwo Oświaty (zapewne „ramowo") dołączał około dwudziestu tytułów wśród których można było znaleźć i Manna i Rolanda. Ale to i tak były tylko grzybki w barszczu Wasilewskiej, Czeszki, Bratnego, Newerlego, no i oczywiście Hemingway'a. W skład tych list wchodziła masa tytułów rosyjskich. Niemniej i wśród nich trudno było znaleźć Turgieniewa, Erenburga czy poezję Błoka, Majakowskiego lub Wozniesienskiego. Nie było nawet Jewtuszenki.

Nasza skromna grupka anty ścierała się o prawie każdego Polaka na dyskusyjnym polu, oczywiście, z czołowymi szermierzami grupy pro. Do tych ostatnich należeli Piotrek Fejgin, Włodek czy jak wolał „Wołodia" Rabinowicz, Michał Jaszunski (nota bene wierna kopia tchórzostwa i lizusostwa swego papy) i moje koleżanki w rodzaju Danki Strasser, Irki Grudzińskiej, Bogny Arnold i, co z przykrością piszę, Julii Przyboś. Parą numer jeden w tej grupie byli Wołodia Rabinowicz i Irena Grudzińska. Bez względu na temat dyskusji, we wszystkim widzieli drogę do komunizmu. Jeśli w Czeszce, Bratnym itp. rzeczywiście widzieli drogę do komunizmu to zgoda. Ale jak można było widzieć w Słowackim czy Krasińskim? W każdym razie nie raz i nie dwa strzelałem się z nimi dosyć ostro. W tym ich upatrywaniu komunizmu we wszystkim, jest na pewno metoda. Mówią kto rano wstaje temu Pan... zamieniłbym to raczej na kto wcześniej jest pro, ten wcześniej est *on the top*. Najciekawszą postacią tej grupy był Piotrek Fejgin — syn czołowego filaru UB. Już w pierwszych miesiącach naszego wzajemnego znoszenia się, zaznaczył: „ty, Gruby, pamiętaj jedno, mój Stary rozbijał główeczki jednym uderzeniem pięści". Jak widzisz Piotrze, pamiętam. Ojciec jego według oficjalnej wersji siedział po Październiku w więzieniu. Ja wiem od Piotrka, że w latach 1961-1964 odwiedzał ojca w leśniczówce w Bieszczadach. Pod koniec stycznia 1964 ojciec Piotra wrócił do Warszawy. Jedno wszak wydaje mi się pewne — ojciec Piotrka wrócił do nowych zadań, na odsiecz Gomułce i jego popleczników.

Syn, idąc za przykładem papy był stalinistą chyba w stu pięciu procentach. Próbował nie raz i nie dwa udowodnić mojej klasie, że po przeczytaniu wszystkich dzieł Stalina uważa, że Mickiewicz tak w „Panu Tadeuszu" jak i w „Księgach Pielgrzymstwa" przepowiada Polsce Stalina-Mesjasza narodu polskiego. Jak

on do tego doszedł pozostanie jego tajemnicą. W ferworze dyskusji starałem mu się podpowiedzieć twórczość Wyspiańskiego jako następny punkt jego rozważań: „Literatura polska a Stalin". Może to było złośliwe bardziej w stosunku do Wyspiańskiego niż do Piotra. Otóż starałem mu się zasugerować, że Wyspiański każe czekać gościom weselnym na Stalina. O ile wiem historia pokazała, że się doczekali. Na takich to bredniach łamaliśmy sobie głowy. Pożytek jaki z tego miała cała klasa był raczej nikły. O ile mogę tu mówić o pożytku, to miała raczej go partia. Zawsze przecież oswajaliśmy się z tak zasłużonymi Polsce i partii nazwiskami jak Stalin, Lenin, Bierut czy Gomułka. Czy myślisz, że bodaj wspomniano nam Piłsudskiego, Hallera — ba, nawet Kaden-Bandrowski był na indeksie. Po tym kątem przebiegały wszystkie nasze lekcje. Tylko raz dane mi było słyszeć na historii, że Piłsudski to faszysta a jego oficerowie to banda łobuzów. Przyznam Ci się szczerze, że w trzy lata po maturze uczę się historii Polski ze szczególnym uwzględnieniem lat 1918-1956. Podręcznikiem jest mi, Twój ulubiony miesięcznik „Kultura" z Paryża. Jestem pewien, że żaden z moich rówieśników nie wie ani „grosza" prawdy o swojej ojczyźnie z lat 1918-1956. Kończę o Piotrze historią na pozór anegdotyczną. Czy możesz sobie wyobrazić jak Piotr interpretował mickiewiczowskie „czterdzieści i cztery"? Jemu wiązało się to z ilością zdobytych orderów przez Stalina. Próbował mi to nawet udowodnić. Żałuję, że nie słuchałem tych „udowodnień" popartych obszerną literaturą dzieł Stalina. Ja ze swej strony odpowiadałem, że to raczej wiąże się z sierpniem 1944 roku. Jedno było pewne w tych naszych młodzieżowych „udowodnianiach", że kiedy dodawałem do sierpnia 44, że Wasi tatusiowie czekali na praskim brzegu aż Niemcy wykończoną 15-20-letnich prawdziwych Polaków, to natychmiast wyrzucano mnie ze szkoły i telefonicznie wzywano mojego ojca. Niemniej do końca pozostałem anty! Przypomnę Ci tylko — były to lata 1963-64. Już po wszystkich koloryzacjach Bratnych, Konwickich i im podobnych. Gdzieś na rok przed maturą rozeszła się po wszystkich szkołach wieść, że kto zapisze się do ZMS nie będzie miał kłopotów z maturą. Wiem, że na czterdzieści dwoje aż trzydziestu-ośmioro należało do tego przedszkola PZPR. Przedszkole to operowało tymi samymi iluzjami i bredniami co ich starszy i bardziej doświadczony kolega. Różnice widzę li-tylko dwie. Primo, członkom ZMS nie przysługiwało „prawo" min. Wieczorka w sprawie zakupu samochodów z tak zwanej puli rządowej. Secundo, w ZMS'ie zaczynano i kończono wszystko słowami „my młodzi" a w PZPR „my starzy towarzysze". I to chyba są podstawowe różnice. Pamiętam z końca dziesiątej klasy jedno ze słynnych ZMS'owskich zebrań w mojej szkole. Jeśli Cię to interesuje postaram Ci się w miarę wiernie opisać tę iście molierowską komedię, która trwała od czwartej po południu do pierwszej w nocy. A rzecz się sprowadzała do wybrania ośmiu nowych członków zarządu ZMS. Na pewno zdziwił Cię fakt skąd ja tam. Otóż w przeddzień, z wielkimi honorami zaproszono mnie

jako ostatniego — nie, nie z Horeszków — lecz ostatniego z małej grupki anty. Dałem się skusić. Teraz nie żałuję, mogę Ci dać w miarę wiarygodną relację. Scena tego molierowskiego „Świętoszka" miała miejsce w szkolnej jadalni. Pod obrazami Gomułki, Krasickiego i Sawickiej siedziało prezydium (oczywiście za czerwonym stołem). W jego skład wchodzili dyrektor szkoły, nauczyciel historii i sekretarz partii w jednej osobie, dwóch innych nauczycieli (fizyk i łacinniczka) oraz przedstawiciel partii na dzielnicę Ochota. Po prawej stronie prezydium, pod ścianą, siedzieli członkowie ustępującego zarządu — moi rówieśnicy. To jednak świetnie brzmi „członkowie (17-18-letni) zarządu", nawet jeśli zarząd ustępuje. Nieprawdaż? Pod jedynymi drzwiami siedział słynny na całą Warszawę „zupak" Markowski, czyli profesor przysposobienia wojskowego z przeszłością byłego oficera politycznego z Moskwy. Reszty (tej o nim) możesz się domyślić. A zatem między prezydium i chronionymi drzwiami siedziało stado około 150-200 baranków z klas IX-tych, X-tych i XI-tych. „Zabawa" zaczęła się odśpiewaniem „Międzynarodówki". Następnie posypały się mowy dyrektora, sekretarza partii (historyk), przedstawiciela komitetu dzielnicowego partii i wreszcie na końcu, przewodniczącego ustępującego zarządu. Z wszystkich mów najlepiej pamiętam reakcję sali. Zresztą to najbardziej mnie interesowało. W czasie mów czyli całkowicie jednolitego samouwielbiania, przez salę raz po raz przelatywały szepty w rodzaju: „co on p.....li" lub „komu on tu mydli oczy", czy wreszcie wiechowskie „a tam, Panie, mowa trawa". Wszystko to pochodziło z ust socjalistycznej młodzieży głęboko wierzącej w swoją partię. Nieprawdaż Lido, Jacku czy Jurku?

Mowy szczęśliwie dobrnęły do końca i dyrektor szkoły otworzył dyskusję: „serdecznie zapraszam do szczerej i otwartej dyskusji w imię i dla dobra partii". Po półgodzinnym oczekiwaniu na pierwszego odważnego, dałem się ponieść „młodej, kipiącej krwi". Przyczyną bezpośrednią był fakt, że żadna z krytykujących lub, łagodniej, nie wierzących przemówieniom osób nie miała odwagi do wypowiedzenia swoich wątpliwości. Moja gotowość od zabrania głosu zaszokowała prezydium. Wreszcie po gorączkowych konsultacjach łaskawie udzielono mi głosu. Wyraziłem tylko prośbę o wyjaśnienie wątpliwości, jakie nasunęły się w czasie bałwochwalczych mów. Jak bym wsadził kij do mrowiska. Rozpętałem bardzo gorącą dyskusję. Była ona równie gorąca co tragiczna. Bo czyż nie jest swego rodzaju tragedią że 17-18-letnie głowy używają w czasie dyskusji szantażu, gróźb, obelg czy wreszcie posługują się najbardziej intymnymi szczegółami z życia swoich kolegów. Ale przykład idzie z góry, i na to nie ma niestety rady. Kiedy siedziałem na sali wydawało mi się że pewne punkty, o które dyskutanci walczyli, są na pewno interesujące i godne poparcia — nawet jeśli ich realizacja jest aktualna i możliwa tylko i wyłącznie pod auspicjami ZMS. Chodziło oto, by obok politycznych zebrań odbywały się spotkania z aktorami, pisarzami czy „garderobiane" odwiedziny w teatrze. Cóż z tego, kiedy

wszystko to tylko było teorią, bo w rzeczywistości członkowie ZMS mojej szkoły byli tylko raz u Axera na próbach „Trzech siostr" Czechowa i odbyły się tylko dwa popołudnia z jazzem przygotowane nota bene przeze mnie. Ponoć nie było to po linii partii. Ale wracając do zebrania. W ciągu dyskusji, w której więcej nie zabierałem głosu podszedł do mnie profesor Markowski proponując mi opuszczenie sali. Cóż, można i tak, panie profesorze. Zostałem jednak do końca nie przeczuwając największej sensacji dnia. Otóż wybrano mnie do zarządu ZMS pod warunkiem wstąpienia do partii. Nie, dziękuję, nie skorzystałem. Zresztą rezultat tej imprezy był z góry wiadomy. Po paru tygodniach rozwiązano nowy zarząd i na czele szkolnej organizacji pozostała maleńka Irenka Halmin, dając sobie znakomicie radę z „dużymi" problemami tego przedszkola PZPR.

Po tym wszystkim, jak łatwo się domyślić, nie miałem łatwego życia. Ze wszystkich stron przykręcano mi śrubkę włączając w to mojego nauczyciela polskiego. A psor Markowski wzywał mnie co dwa trzy tygodnie starając się przekonać mnie do ZMS, grożąc nie wydaniem mi matury. Zdałem, dostałem i co ciekawsze wylądowałem z tą maturą w drugiej dziesiątce. Matura 1964. Zdawało ją wraz ze mną kilkanaście innych potomków co bardziej zasłużonych pap i mamuś. Jak to się stało, że Jaś Gede wiedział tematy z polskiego wcześniej, nie wiem. Wiem natomiast o jego kłopotach z tym językiem. Lub jakim cudem z sześcioma dwójami Paula Zachczyńska dostała maturę? Chyba za mamusine zasługi i papy. Lub jak to się stało, że żona prezesa polskiego aeroklubu — wykładowczyni rosyjskiego — pomagała Piotrowi Fejginowi na pisemnej matmie (szczerze mówiąc i ja na tej pomocy skorzystałem).

Będąc przy maturach nie sposób nie wspomnieć dwu. Pierwsza miała miejsce w mojej szkole. Po trzech próbach Małgosi Rutkiewicz — za czwartym razem ojciec Małgosi osobiście pofatygował się do szkoły (czarnym Fiatem 2000). Rezultat był natychmiastowy. Małgosia otrzymała wcale nie najgorszą maturę.

Druga z matur, o której chcę wspomnieć miała miejsce w żeńskim (to już teraz tylko historia) odpowiedniku Rejtana (i tu zakwitła koedukacja) u Żmichowskiej na Klonowej. Po pisemnej matmie nie dopuszczono do dalszych egzaminów dziewięciu dziewcząt, a wśród nich małej blondyneczki z długimi włosami. Najmniej z tej dziewiątki była przejęta owa blondyneczka. Zadzwoniła do ojca, który tego samego dnia odpowiednio poinstruował dyrekcję Żmichowskiej. Rezultat natychmiastowy. Małą blondynkę dopuszczono do dalszych egzaminów. Czas wreszcie powiedzieć czyją córką jest ta mała blondynka — jest córką Edwarda Ochaba. A swoją drogą szkoda, że pozostałe osiem dziewcząt nie były córkami Ochaba. Przynajmniej zdałyby maturę rok wcześniej.

Po tych i kilku innych doświadczeniach na dzieciach naszej partyjnej elity Ministerstwo Oświaty zmieniło regulamin matur. Ponoć w celu ułatwienia zdania matury Gomułce — jak donosił

krążący w tym czasie dowcip. Następnym krokiem jest wydawanie matur bez egzaminów, ale to chyba nastąpi wtedy kiedy generał Witaszewski pozazdrości swojej córce Ewie wcale niezłej matury. Oby zazdrość przyszła jak najpóźniej.

Z tematów maturalnych pamiętam, że 75% dotyczyło drugiej wojny, „szybkiej" odbudowy kraju i miłości do ZSSR. Na polskim brylowały zatem nazwiska Czeszki, Bratnego, Konwickiego, Wasilewskiej, ba pamiętano nawet o Szenwaldzie. Resztę pozycji stanowili Słowacki, Mickiewicz, Kochanowski, Wyspiański. Z historii brylowały tematy związane z Marxem, Engelsem, Leninem, Luxemburg itp. Oprócz kilku tzw. przekrojowych tematów z Jagiellonów reszta dotyczyła Komuny Paryskiej, Wiosny Ludów i powstania pierwszego na świecie państwa „robotników i chłopów". Reszta historii, używając słów Hamleta „jest milczeniem". Dobrze, że matematyka nie ma nic wspólnego z polityką. Przynajmniej na razie. Clou matury jest przedmiot zwany „wiadomości o Polsce i świecie współczesnym". Czyli nauka o historii PZPR, PPS-Lewica no i oczywiście o matce tych wszystkich „lewizn" KP ZSSR. Tak to w skrócie wyglądała moja matura w PRL roku 1964. Oficjalnie stałem się dojrzały — bo to i 18-cie lat się miało i maturę. Ale gdybyś mnie wtedy spytał czy czułem się rzeczywiście dojrzały — odpowiedź brzmiałaby NIE. Już spieszę z wyjaśnieniem. Jak mogłem uważać się za dojrzałego kiedy wiedziałem że 75% tego, czego uczono mnie to kłamstwa lub, mówiąc oględniej, mijanie się z prawdą. Dlaczego nie uczono nas o Katyniu, o Stalinie, o Piłsudskim, o Sikorskim, prawdy (tej prawdziwej) o AK? Dlaczego wkuwano nam wszystkie republiki rad, dlaczego południowa partia Afryki była dla nas zagadką? Zakładam się z Tobą, że nasz, rodzimy, czerwony *apartheid* jest znacznie cięższy niż ten czarny w Cape Town lub Johannesburgu. Sam chyba przyznasz, że raczej trudno mi było uwierzyć w moją dojrzałość.

Żeby szkolne sprawy były zakończone, telegraficznie o reszcie moich nauczycieli. Od tzw. wychowawczyń zaczynam. Pierwsza walczyła ze mną od ósmej do dziesiątej klasy. Pani Donara Szinkarenko — żona jednego z dziennikarzy z „Życia Warszawy". Gruzinka, nie mówiąca po polsku ale z racji chyba jej ojczystego języka wykładowczyni rosyjskiego. O pedagogicznym wykształceniu nikt nigdy nie słyszał, zresztą nikt się jej o to nie pytał. Jej walki ze mną dotyczyły wymowy mego nazwiska. Właściwie to ja z nią walczyłem. Kiedy mówiła do mnie Matwiej i zruszczała moje typowe polskie nazwisko — nie reagowałem. Walka trwała pół roku. W końcu nauczyła się prawidłowej wymowy. Jestem pewien, że to były jej pierwsze polskie słowa. Czy nie tak, pani profesor? I za to musiałem płacić. Dawała mi tak zwaną specjalną pracę do domu — wkuwanie na pamięć rosyjskich słówek. Odpytywanie odbywało się u niej w domu.

Ponieważ mąż jej został korespondentem w Moskwie — dostałem nową wychowawczynię. Tym razem Polka-chemiczka i w dodatku wice-dyrektorka szkoły. Nigdy nie miała z nami żadnej

lekcji, jeśli nie liczyć tzw. godzin wychowawczych. Czyli nagan na mnie i kilku wagarowiczów (tu i ja byłem) i wspaniałych pochwał dla takich jak Michałek Jaszuński czy Irenka Halmin. Pani wice-dyrektor pałała wyraźną sympatią do mojego ojca. Wzywała go regularnie co dwa tygodnie, o ile nie było jakiejś extra awantury. Z tymi „godzinami" wiąże się historia jednego z moich kolegów (z grupki anty-), którego na dwa miesiące przed maturą wyrzucono ze szkoły. Ja również byłem na dobrej drodze do przerwania mej edukacji. Opowiem szerzej. Historia Jurka: „Nie mam ojca, matka za półtora patyka utrzymuje swoich starych, oboje sparaliżowani — plus ja. Mieszkamy w jednym pokoju z małą kuchenką w tzw. kołchozie. Co sobota jeżdżę do Świdra, gdzie u właściciela małej knajpki pracuję do trzeciej nad ranem. 200 złotych miesięcznie plus posiłek. Matka wieczorami stuka na maszynie, to zawsze ze trzy, cztery setki na miesiąc — tak próbujemy się ratować przed głodem, chłodem i niedolą. Cóż, żyję w socjalistycznym państwie. Moim najbliższym przyjacielem był Romek syn znanego malarza-abstrakcjonisty. Dwa, trzy razy dziennie bywałem u niego. Miał wszystko — płyty, adapter, magnetofon, ubrania, jednym słowem wszystko to, czego ja nie miałem. Od dwóch czy trzech miesięcy wszyscy przygotowywaliśmy się do matury. Po maturze — bal i wakacje. Od matury począwszy, poprzez bal, a na wakacjach skończywszy wszystko to było dla mnie marzeniem. Postanowiłem obrabować Romka". Tyle Jurek. Ja Ci mogę dodać od siebie, że poszkodowani po odzyskaniu skradzionych rzeczy (w trzy godziny — co jest raczej zasługą nowicjusza-złodzieja niż „stróży-porządku" — milicji) złożyli podanie o umorzenie śledztwa. Wszystko by wróciło do normy, ba wierzę nawet, że byłby to jego pierwszy i ostatni wyczyn. Cóż z tego, kiedy do akcji wkroczyła socjalistyczna pedagogika. Zrobiono z niego prawie mordercę, bandytę, wroga ludu, niegodnego noszenia miana ucznia szkoły socjalistycznej.

Nie po raz pierwszy okazało się, że socjalistyczna pedagogika zawodzi. Jurek matury nie zrobił i jej nigdy nie zrobi. Wszedł w towarzystwo złodziei i spotkać go można na tzw. *business* rewirze między kawiarnią „Szwajcarską" a „Jubilerem" na MDM'ie. Ma się w co ubrać, ma co zjeść. Ja się tylko pytam za jaką cenę.

Pani „profesor" od łaciny — żona wysoko postawionego działacza w ZMS. Łacina czyli jak na tle Wergiliusza i Cycerona wpajać młodzieży zasadę obozów pracy i roztaczać widoki jak to ZMS i PZPR dba o młodzież. Podejrzewam, że moja łacinniczka razem ze swoim mężem to autorzy akcji zapoczątkowanej (przez „Politykę") bodaj że latem 1963, pod tytułem „Młodzież na socjalistycznych obozach pracy". Jakim cudem uczyło nas chemii coś, co nie odróżniało wzoru kwasu siarkowego od zwykłego siarczanu, bez matury i poprawnej polszczyzny? Dlaczego nauczyciel gimnastyki nie znał ortografii swojego ojczystego języka? Nie wiem, wiem natomiast, że uczyli w szkole mającej opinię jednej

z najlepszych. Z prawdziwego zdarzenia miałem tylko fizyka i matematyczkę — oboje starej, dobrej daty nauczyciele.

Kończąc sprawy szkolne chciałbym dodać historię jednego ze szkolnych kolegów.

Z Jasiem przyjaźniłem się od pierwszej klasy. Przyjaźń zaczęła się od niemego podziwiania takich oto scenek, w których Jaś był gwiazdą numer jeden. Godzina ósma rano — przed szkołę zajeżdża olbrzymi ZIM. Był to okres kiedy wice-premierzy jeździli Zimami. Szofer otwiera drzwi wozu i Jaś wkracza do szkoły — szofer za nim razem z tornistrem aż do samej ławki. Po lekcjach ta sama „procedura" tylko że w odwrotnym kierunku. Lekcja polskiego, zmora Jasia. Czyli „proszę pani, ja powiem tatusiowi, że pani dała mi dwójkę". Jaś otrzymywał natychmiast trójkę. Po klasie krążyły fantastyczne wieści o willi Jasia. Pewnego popołudnia wybrałem się na Chocimską by choć z daleka zobaczyć gdzie mieszka Jaś. Willa stoi do dziś na Chocimskiej, z tym że zmieniła właściciela. Jest nim ambasador grecki. Przypadek zrządził, że kiedy oglądałem (przez parkan, oczywiście) zajechał Zim. Wysiedli z niego mama Jasia i Jaś.

— Jasiu, kochanie znasz tego chłopca? — spytała mama Jasia.

— A tam, możesz wpuścić go do ogrodu — raczył odpowiedzieć Jaś.

Z ogrodu do willi pozwolono mi wejść po trzech czy czterech aklimatyzacyjnych pobytach. Osiemnaście pokojów przypadało na babcię, rodziców Jasia, i jego siostrę. Do dozorcy wilii należały dwa pokoiki na strychu — żona i troje małych dzieci. Czyli pierwsze zetknięcie się z socjalistyczną gospodarką mieszkaniową. Jaś swoich szkolnych kolegów uważał za plebs. Do dziecinno-szkolnych towarzyszy zabaw Jasia należeli: Marcin Rybicki (syn ex-ministra Sprawiedliwości), Antek Moskwa (syn ministra Łączności) lub Jędrek Jędrychowski (syn szefa polskiej gospodarki), no i dziwnym trafem ja. Po pierwszych moich bytnościach mama Jasia spytała:

— Synku jestem pewna, że twój ojciec jest dobrym komunistą i przykładnym członkiem partii, prawda?

— Nie wiem, proszę pani, ale ja zapytam się ojca — odpowiedziałem.

Tego samego wieczoru zapytałem. Nie pamiętam czy dostałem w skórę czy tylko byłem na dobrej drodze do tego. Bardzo długo nie mogłem zrozumieć dlaczego zabroniono mi chodzenia do Jasia lub jeżdżenia z nim Zimem. Jak mogłem stracić możliwość oglądania programu TV i dużej kanapki z szynką. To było coś czego w domu nie miałem — miałem 9 lat. Toteż często gęsto okłamując rodziców chodziłem do Jasia i jeździłem z nim Zimem. Wszystko to się skończyło w 1955 roku, kiedy przy niepewnych wiatrach tatuś Jasia został ambasadorem w Moskwie. Stracił Jaś i willę i szofera i Zima i wiecznie myślącego o szynce kolegę. Pojechał z ojcem na placówkę. W ciągu dwóch lat nie widziałem Jasia. Aż pewnego popołudnia zadzwonił dzwonek do drzwi w moim mieszkaniu. Otworzyłem i długo nie mogłem uwierzyć,

że ten chłopak z czerwoną chustą na szyi w kożuszku i w futrzanej czapie (nie zdjął jej przez cały czas pobytu u mnie) bełkoczący rosyjsko-polskim językiem — to Jaś. Bardzo trudno było nam porozumieć się. Zaczął chodzić z nami do szkoły. Ale o wilii pozostały już tylko marzenia. Jaś z rodzicami i siostrą (babcia w międzyczasie umarła) mieszka do dzisiaj w Al. Róż. Pięć pokoi ale bez szofera-ordynansa. Jaś w szkole miał raczej łatwe życie. Przyczynił się do tego fakt jego dwuletniego pobytu w Moskwie. Nasze drogi rozeszły się w ósmej klasie — Jaś poszedł na niemiecki, ja na łacinę. Niemniej utrzymywaliśmy ze sobą aż do matury luźne kontakty. Do grona w szkolnych kolegów Jasia należeli Józio Zieleniec (wiecznie brudny syn attaché w Pradze), Jurek Lewandowski, Jaszczuk, Leszek Szwarc (syn czołowego *boss*'a w lotnictwie) no i największa kreatura naszej szkoły Krzyś Topolski (syn *boss*'a polskiego budownictwa). Gdzieś w połowie dziesiątej klasy Jaś zakochał się. Ba, nawet miłość ulokował w komunistycznym „body" — Irena Bogusz (córka ex-sekretarza partii na woj. Warszawa). Nasze kontakty, moje i Jasia, ograniczały się tylko do wspólnego chodzenia na Jazz Jamboree (Jaś zawsze w jeansach i kurtce marki Lee za 1200 złotych na ciuchach — dlaczego nie nosił kozackiej koszuli z sapogami? Otóż dlatego, że młodocianą modę dyktował nie nasz wschodni przyjaciel, lecz kapitalistyczny Zachód. Oto jeszcze jeden paradoks systemu Gomułki). Wakacje Jasia i jemu podobnych dziatek czerwonej burżuazji stanowią odrębny rozdział. Jaś spędzał zimowe wakacje w Zakopanem (na St. Moritz widać państwo nie było jeszcze gotowe do płacenia), letnie natomiast regularnie — Jugosławia lub Bułgaria i Świnoujście lub Grodno (dawna rezydencja Bieruta). Obie te polskie miejscowości miały ściśle wytyczony i zamknięty teren dla dziatek towarzyszy. Po zdaniu matury Jaś otrzymał samochód i piękną, zapewne, podróż przez Austrię, Włochy do ex-mera Warszawy Dworakowskiego w Grecji. Dworakowski jest wujem Jasia i w tym czasie siedział na placówce w Grecji. Jasiowe wakacje nie były zresztą wyjątkiem. Proszę, oto następne. Wakacje Marcina Rybickiego, czyli yachtem (ojca, a może partii?) dookoła Skandynawii, wakacje Krzysia Topolskiego, czyli samochodem dookoła Europy Zachodniej, wakacje Michała Jaszuńskiego, czyli jak w zimie opluwać Zachód a latem oglądać piękno Anglii i Francji. Tak właściwie mógłbym bez końca. Zawsze się zastanawiałem dlaczego nie jeździli do Moskwy lub na Krym?

Czas wreszcie wspomnieć moje ostatnie spotkanie z Jasiem. Czerwiec 1964, plac Jedności Robotniczej (proszę Cię nie uśmiechaj się, zaraz zrozumiesz tę jedność). Otóż na tymże placu spotkałem w parę dni po egzaminach na Wyższe Uczelnie Jasia.

— Sie masz, Gruby — zaczął Jaś.

— W porządku, pcham życie powoli do przodu — z modną wówczas filozofią, odpowiedziałem.

— Jak tam twoja medycyna? — spytał Jaś.

— Do tyłu, oblałem fizę — przyznałem się.

— Kurwa mać, cholernie piłowali w tym roku — pocieszał mnie Jaś.

— Jak tam twoją polibudą? — zapytałem Jasia.

— Było bardzo cienko, ale stary ich opierdolił i w październiku zaczynam — wyjaśnił mi Jaś i dodał:

— Dostałem na matmie ściągę od znajomego (wyjaśnienie moje — opłaconego) asystenta. Wszystko szło w porządku. W połowie zmienili asystentów. Jeden z tych nowych dorwał mnie na ściąganiu, odebrał mi pracę. (Wyjaśniam — równa to się oblaniu egzaminu). Wiesz, Gruby, kiedy rano szedłem na egzamin, stary powiedział mi, że gdyby coś nie szło, to mam natychmiast do niego dzwonić — ciągnął dalej Jasio. Zaraz po wyrzuceniu dodzwoniłem się do starego, który kazał mi czekać pod drzwiami pokoju rektora. Parę minut później rektor przeprosił mnie, oddał mi moje papiery i wróciłem na salę. Reszta egzaminu przebiegła bez bólu — dokończył Jasio, pytając mnie równocześnie: A twój stary nic?

— Nic a nic — wyjaśniłem Jasiowi, który nie mógł zrozumieć jak to się stało, że mój ojciec nie interweniował u rektora. Wyjaśniam Ci to zatem. Mój ojciec należy do tej grupki ludzi, którzy starają się jak mogą zachować twarz w kraju, w którym twój ojciec jest jednym z gospodarzy.

Od tego spotkania nie widziałem się z Jasiem więcej. Można sobie zadać pytanie czy kariera Jasia potoczy się tą samą ścieżką co i jego ojca? Nie umiem w tej chwili na to odpowiedzieć, być może jednak najbliższe dziesięć lat historii polskiej partii da na to pytanie odpowiedź. Bo przecież drogowskazem do zrobienia kariery w Polsce lat sześćdziesiątych jest członkostwo PZPR.

W końcu to życzę mu jak najlepiej — nie groził mi pięścią swego ojca, jadłem u niego szynkę, jeździłem z nim Zimem i poznałem u niego kilkoro innych dziatek towarzyszy.

Klub Michnika. Adama poznałem gdzieś pod koniec ósmej klasy. W tym czasie chodził do szkoły na Wawelskiej do Słowaka po uprzednim wyrzuceniu z Reja. Bodaj że na początku dziesiątej klasy wyrzucono Adama ze Słowaka za prowadzenie klubu. Szkołę skończył w Batorym.

Jesienią 1962 roku moja szkolna dziewczyna wprowadziła mnie do tego klubu. Klub Adama miał swoją siedzibę na Uniwerku na Katedrze Filozofii u Kołakowskiego. Pierwsze piętro, ze schodów na prawo. Zebrania w pierwszych miesiącach istnienia klubu odbywały się dwa razy w miesiącu, we wtorki. Do jego prelegentów należeli Schaff, Kołakowski, Brus i inni. Po krótkim zagajeniu przez prelegenta lub, jak to było w przypadku Schaffa, „pytanie-odpowiedź" rozpoczynała się dyskusja. Rej w niej wodzili Józek Blass, Witek Nowotny, Włodek Rabinowicz, Krzysiek Topolski, Piotrek Fejgin i kilkoro innych. Około dziewiątej co bardziej zaufani przenosili się do pobliskiej kawiarni „Aurora" (nome omen) gdzie kończono dyskusje.

Agonia Klubu zaczęła się późną wiosną 1963 roku. W gabinetach kilku co wyżej postawionych rodziców, których dziatki należały do Klubu, zadzwoniły telefony. Doradzano grzecznie zakazanie uczęszczania do Klubu. Na kilka tygodni przed ostateczną śmiercią Klubu zebrania odbywały się w piwnicy domu, gdzie mieszkał Adam. Potem nastąpiło 48-godzinne przesłuchanie Adama w pałacu Mostowskich. Nie pomogły Adamowi opieki Kołakowskiego, Pomiana czy Kuronia. Jesienią 1965 roku spotkałem Adama na Nowym Świecie po raz ostatni.

Pozwolę sobie na małe spostrzeżenie. Zaczęło „Po prostu" i „Krzywe Koło" — przegrali. Potem przyszedł Klub Michnika i cała seria „Listów" — przegrali. Teraz nastąpiło oczekiwanie. Czekamy wszyscy od młodych do starych. Czekamy na zaprzeczenie słowom Gombrowicza. Wierzymy, że mając takie same ciało mamy takie same prawo do rozwoju.

Pisałem o dzieciach uprzywilejowanych rodziców, chciałbym również napisać o nas, zwykłych chłopcach i dziewczętach żyjących obecnie w Polsce. Ale o tym już następnym razem.

Maciej GRUBY

Lipiec 1967.

Jeszcze o A. Brychcie

W katolickim periodyku „Poglądy" ukazał się artykuł T. Kijonka, relacjonujący sprawę sądową wytoczoną A. Brychtowi przez p. Irenę Kruszek, którą Brycht zrobił bohaterką swego opowiadania pt. „Relacja". Opowiadanie to było drukowane w „Twórczości", w „Sygnałach" a wreszcie w książce pt. „Sceny miłosne".

Trzy terminy sprawy sądowej: 12 grudnia 1966, 27 grudnia 1966 i 27 stycznia 1967 nie doszły do skutku, gdyż władze *nie potrafiły dotąd doręczyć wezwania p. Brychtowi.* Podobno nowy termin rozprawy ma być wyznaczony w najbliższym czasie.

Jak pisze p. Kijonek „Niezależnie od procesu przykład ten przekracza granice sprawy pomiędzy Ireną K. a Andrzejem Brychtem, dotyczy w ogóle problemu odpowiedzialności pisarza wobec podejmowanego tematu...".

Jak dotąd ani Związek Literatów Polskich, ani inne instancje kulturalne nie zabrały głosu w tej sprawie. Jak wiadomo A. Brycht jest laureatem jednej z poważniejszych nagród emigracyjnych.

Kronika kulturalna

Solidarność

Pod wrażeniem wypadków z 4 na 5 czerwca napisaliśmy — K. A. Jeleński, Maria Czapska i ja — oświadczenie do pism, wyraz solidarności z tym zagrożonym wówczas zagładą krajem. Chcieliśmy zebrać jeszcze parę podpisów nieobecnych w Paryżu przyjaciół. Listy nasze goniły ich po świecie i nadeszły jedynie natychmiast odpowiedzi dziś już zmarłego Aleksandra Wata spod Paryża i Stanisława Vincenza ze Szwajcarii.

Tekst nasz ukazał się z podpisami ich obu i naszymi w „Dzienniku Polskim" w Londynie dopiero 17 czerwca, w „Wiadomościach" Nr 1109, i w lipcowej „Kulturze".

Nie oczekiwaliśmy tej fali listów i nadesłanych przeszło 200 podpisów solidarności z Izraelem. Zaczęły one do nas napływać z Anglii przede wszystkim, potem z Francji, Holandii, Szwecji, Stanów Zjednoczonych, Venezueli, Kanady a nawet Australii i Południowej Afryki. Ton tych listów serdeczny, nieraz gwałtowny, ludzi wszelkich stanów i wszelkich zawodów, od nazwisk znanych każdemu Polakowi jak Kazimierz Wierzyński, po listy nieraz niezręcznie pisane, w których czuło się potrzebę wyrażenia swego lęku, a po zwycięstwie i radości. Są tu i więźniowie z obozów niemieckich i sowieckich, uczestnicy walk w Warszawie, mieszkańcy londyńskiego „Antokolu", oraz całkiem młodzi, jak świadczy kilkanaście podpisów, chłopców z kursów wojskowych w Manchesterze, przesłanych przez mjra Barańskiego („dołożymy wszelkich starań aby wychować tę młodzież — pisze major Barański — w taki sposób, by Żyd kojarzył się w myślach z bojownikami Getta Warszawskiego i zwycięskimi obrońcami Izraela").

Niemożliwe jest przepisanie tu wszystkich otrzymanych listów, chcę jednak zacytować szersze ustępy z listu który mi się wydaje najbardziej typowy w swej reakcji, a przy tym jest świadectwem człowieka, który nie tylko zna ten kraj, ale w Izraelu żył i pracował:

... Jako Polak i katolik, jako prawnik i lekarz medycyny potępiam z całą świadomością obłudne, tendencyjne stanowisko Związku Radzieckiego, a w szczególności rządu polskiego wraz z jego zakłamaną i oczywiście antysemicką, antyizraelską propagandą. Ja nie chcę być gołosłowny i nie chcę by ktoś ocenił moje słowa jako frazeologię. Dlatego też pragnę podać, przytoczyć parę danych opartych na własnej obserwacji i osobistej przeszłości:

1) jako kilkunastoletni chłopiec przeżyłem całą okupację hitlerowską w Polsce z tego znaczną część w Warszawie — tu myślę komentarze będą zbyteczne jeśli chodzi o wyrażenie moich uczuć dla gehenny Żydów;

2) lata 46-48 spędziłem w Paryżu, gdzie studiowałem i do dziś pamiętam wspólną radość Polaków i Żydów kiedy to w sali Pleyel świętowaliśmy wspólnie powstanie państwa Izrael;

3) w latach 1957-1962 studiowałem w szkole medycznej w Jerozolimie, pracowałem w izraelskich szpitalach Tel-Avivu i Tyberiady i tu jako Polak i katolik chcę z całą mocą podkreślić co następuje:

Studiując, pracując, żyjąc w Izraelu przez 6 lat, żyjąc w mieście i na wsi, w szpitalu, uniwersytecie i na farmie kolektywnej (kibucu), która ma nota bene więcej z uczciwego humanitarnego socjalizmu (bo oparta na woli i chęci) niż osławione sowieckie kołchozy (oparte na przymusie), miałem pełną, wyczerpującą i względnie obiektywną możność przypatrzenia się różnym aspektom życia w Izraelu. Na uniwersytecie wraz ze mną, Polakiem i katolikiem, studiowali też Arabowie z Nazaretu i Hajfy. Dla autentyczności przytaczam nazwisko, które pamiętam, Annar Koraim z Kfar-Jussuf. Byliśmy traktowani absolutnie jednakowo z naszymi kolegami i tak jak inni otrzymywaliśmy stypendia zwrotne. Dodam, że inny kolega Arab, o imieniu Sami, pracował na specjalizacji w szpitalu uniwersyteckim Hadassy w Jerozolimie, gdzie było wyjątkowo trudno uzyskać specjalizację przeciętnemu studentowi Żydowi. W czasie mojego pobytu w kibucu poznałem wielu młodych aktywistów rolnych, Druzów i Arabów, którzy w kibucu uczyli się nowoczesnej gospodarki rolnej, hodowli cytrusów, sztucznego nawadniania pól, po to by z kolei uczyć nowoczesnej agrykultury w ich arabskich i druzyjskich wsiach. Kursy były finansowane przez same kibuce.

Wracając na chwilę do moich studiów medycznych chcę dodać, że umożliwiono mi ze względu na początkowe trudności językowe składanie egzaminów po polsku, do czasu aż opanowałem język hebrajski i angielski.

Przez dwa ostatnie lata 61 i 62 pracowałem i żyłem w Tyberiadzie położonej nad jeziorem Genezaret, prawie obok granicy syryjskiej. Przez cały ten okres czasu byłem naocznym świadkiem ciągłych ataków Syryjczyków na izraelskie kibuce i ludzi pracujących w polach, ostrzeliwania traktorów, dzieci idących do szkół, podpalania zbóż na pniu. Własnoręcznie opatrywałem w szpitalu rolników z okolicznych kibuców, poranionych przez syryjskie pociski i miny... Izraelczycy o niczym więcej nie marzą jak o pokoju z Arabami, pokoju, który moim zdaniem mógłby przynieść fantastyczny dobrobyt i rozwój dla całego tego regionu... „Imperialistyczny Izrael"!! Jeszcze w przededniu pamiętnych 6 dni przywódcy arabscy oświadczali, że będą maszerowali przez ulice Tel-Avivu, że wrzucą Żydów do morza, że są w nieustannej wojnie z Izraelem. Wstydzę się za Polskę, wstydzę się za ludzi, którzy potrafili zdobyć się na październikową rewolucję, ale nie potrafli zdobyć się na zwykłą uczciwość i naprawdę jestem głęboko rozczarowany i dotknięty stanowiskiem Pana Gomułki, którego zawsze uważałem za uczciwego, prostolinijnego, umiejącego nazywać prawdę po imieniu komunistę, a który, kiedy do próby doszło, okazał się zwykłym małym człowiekiem, kukłą pociąganą za nitki.

Jest jeszcze inny aspekt całej tragicznej sprawy. Nie partyjny, polityczny, ale wyjątkowo ogólnoludzki: sprawa Żydów ciąży poprzez wieki na naszym ludzkim sumieniu, jest sprawą nie tylko rozsądku, ale głównie ludzkiego

uczucia i serca. Żaden inny naród, żadna inna grupa religijna, inna mniejszość nie przeszła przez podobne moralne i fizyczne piekło, trwające 2 tysiące lat, od czasu rzezi Rzymian poprzez „święty" ogień średniowiecznej Inkwizycji, poprzez nasze swojskie pogromy, nasze swojskie jurne bojówki, nasz *numerus clausus*, aż do pieców i komór gazowych Oświęcimia.

Dr Tadeusz Różycki
15 Eaton St. Providence,
Rhode Island, U.S.A.

Wśród otrzymanych listów są listy od osób, które jakby się tłumaczą, że są ludźmi całkiem prywatnymi, że ich nazwiska nic nie znaczą. Zdaje mi się, przeciwnie, że może te właśnie są najważniejsze, bo to są odruchy Polaków niepowiązane z żadnym rachunkiem, z żadną taką czy inną polityką, to odruch ludzkiej solidarności u ludzi, których łączą z Żydami lata współżycia w Polsce w dobrym i złym, ludzi których również naznaczyły lata eksterminacji Żydów na naszej ziemi i podobny stosunek „potężnych aliantów" do Polski, jak teraz do Izraela.

Antoni Szaszkiewicz z Alberty dodaje w liście swoim „muszę przyznać, że uczuciowo kieruję się też tym, że wielu Izraelitów jest naszymi rodakami lub ich synami".

Co znaczyć mogą te listy? To żaden gallup, ale reakcja ludzi, emigrantów — dziś oni jedni mogą mówić i pisać o tym co myślą i odczuwają. Dziś jeszcze otrzymuję list z Montrealu, gdzie Wanda i Wacław Liebertowie piszą mi: „Spośród gości Polaków, odwiedzających licznie Kanadę z okazji wystawy znamy wielu (że nie powiem wszystkich), którzy by również przysłali swe podpisy na państwa adres, niestety nagonka na Izrael, jaką obecnie uprawia rząd w kraju i niewątpliwe przykrości, których by nie uniknęli po powrocie, uniemożliwiają ich szczere wypowiedzi".

Czy jest to świadectwem, że stary antysemityzm, bynajmniej nie polski tylko, ale *także* polski zginął w naszej polskiej psychice? Nie myślę. To wyraz uczuć pewnego odłamu polskiego społeczeństwa, który jest przecie o wiele większy, niż twierdzą pesymiści.

JÓZEF CZAPSKI

P.S. Większość nazwisk osób, które zsolidaryzowały się z naszym apelem, ogłosiły „Wiadomości w nrze 1114, a uzupełnienie ukaże się również w „Wiadomościach". Z dniem dzisiejszym zamykamy listę podpisów solidarności z Izraelem.

J. Cz.

7. VIII. 1967.

Komunikaty

BIBLIOTEKI POLSKIE W LONDYNIE

Rokowania Polskiej Rady Bibliotecznej i Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego z rządem angielskim zostały zakończone. Rząd angielski zrzekł się wszelkich pretensji do zbiorów bibliotecznych i — podobnie jak w stosunku do przekazanej mu w marcu br. Centrali Bibliotek Ruchomych — Ośrodek Społeczno-Kulturalny stał się z dniem 1 sierpnia pełnoprawnym właścicielem Biblioteki Polskiej w Londynie. Polska Rada Biblioteczna objęła zarząd nad bibliotekami i przejęła troskę o ich utrzymanie.

Polski Ośrodek Kulturalno-Społeczny zawarł umowę z Uniwersytetem Londyńskim, na mocy której otrzymywać będzie dla Biblioteki po 2.500 funtów rocznie w zamian za udostępnianie księgozbioru wykładowcom i słuchaczom Szkoły Studiów Słowiańskich.

Ponieważ uzyskanie tytułu własności było jednak uwarunkowane przejęciem zobowiązań finansowych, a umowa z Uniwersytetem Londyńskim tylko częściowo pokrywa potrzebny budżet, Polska Rada Biblioteczna zwróciła się z apelem o pomoc do społeczeństwa polskiego. Do tej pory na Fundusz Biblioteczny („Polish Library Fund", 9, Princes Gardens, London S.W.7.) wpłynęło około 5.000 funtów od niespełna 2.000 ofiarodawców. Stanowią oni zaledwie 1,5% ogółu Polaków zamieszkałych w Wielkiej Brytanii albo ok. 5% polskich mieszkańców Londynu.

Obecnie jedynie od ofiarności emigracji zależeć będą dalsze losy polskich bibliotek i archiwów.

◆

WYNIK KONKURSU NA UTWÓR POETYCKI O NAJŚWIĘTSZEJ MARYI PANNIE

Z końcem 1966 r. Instytut Polski Akcji Katolickiej w W. Brytanii rozpisał konkurs millenijny na utwór poetycki o Najśw. Maryi Pannie. Inicjator konkursu, który sobie nie życzył ujawnienia jego nazwiska, przeznaczył na nagrody lub wyróżnienia sumę £100.

Na konkurs nadesłało swe utwory 98 osób, w tym 27 z Polski i 71 z emigracji (40 z krajów Europy, 28 ze Stanów Zjednoczonych i Kanady, jedna z Brazylii i 2 z Australii).

Sąd konkursowy postanowił wyróżnić równorzędnie dwa utwory: Trahe nos, Virgo Immaculata" — godło „Assunta" oraz „Tak mówił Jej Anioł Stróż" — godło „106909", przyznając autorom po £ 25. Przyznając £ 20 jury wyróżniło utwór „Regina Poloniae" — godło „Bursztynowe Źródło". Ponadto przyznając po £ 15 jury wyróżniło równorzędnie utwory „Nadziejo Błękitna" — godło „Pegaz" i „Marya Panna" — godło „Ostra Brama".

Po otwarciu kopert z godłami ujawniono następujące nazwiska wyróżnionych: godło „Assunta" — *Siotra Assunta* z Zakonu Sakramentek w Polsce; godło „106909" — *Beata Obertyńska* w Londynie; godło „Bursztynowe Źródło" — *Teresa Weyssenhoff* w Polsce; godło „Pegaz" — *Maria Bochnarowa* w Stanach Zjednoczonych; godło „Ostra Brama" — *Zofia Ilińska* w Truro w Anglii.

Utwory wyróżnione zamieści miesięcznik „Przegląd Powszechny" w numerach na wrzesień i na październik 1967.

POLACY W CNRS

W skład Państwowego Komitetu Badań Naukowych we Francji (Comité National de la Recherche Scientifique), powołanego na okres 1967-1970, weszło m.in. kilku pracowników naukowych polskiego pochodzenia:

Langrod Jerzy, w sekcji nauk prawno-politycznych;
Prentki Jacek, w sekcji fizyki teoretycznej;
Słonimski Piotr, w sekcji biologii komórkowej;
Wroński Henryk, w sekcji nauk ekonomicznych.

W skład sekcji fizyki nuklearnej weszła p. Helena Langevin, wnuczka M. Curie-Skłodowskiej.

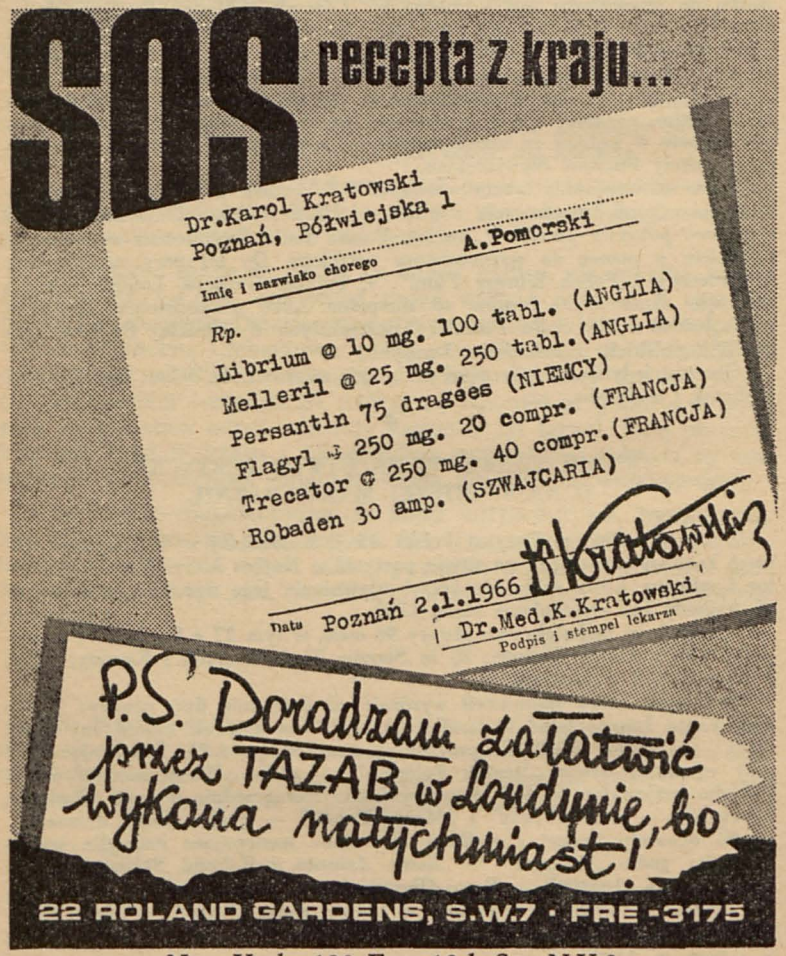

New York. 100 East 10th Str. N.Y.3.
Tel.: ALgonquin 4-4161.

Książki

Ten jest z ojczyzny mojej*

Historię ruchów, które osiągnęły rozmiary i nasycenie zjawiska społecznego, pisze się — z konieczności! — za pomocą ustaleń mniej lub więcej ramowych, mniej lub więcej globalnych. Podstawę dokumentacji stanowią w takich razach struktury i liczebność, siła działania i rozległość promieniowania wchodzących pod uwagę organizacji, partii i instytucji. Po nazwisku wymienia się tylko pewną ilość przywódców, dodając niekiedy nazwiska postaci bardzo szczególnie, ale w tym znaczeniu symbolicznych, że uosabiały nurt oddolny, tzn. gromadność szeregów oddanych tej samej sprawie i razem (czego nawet konspiracja nie wyklucza) w jej imieniu walczących. Krótko mówiąc: typowych. Zasadniczą dla całości obrazu bywa kwestia proporcji: zasięg popularności i posłuchu czynnych działaczy i sympatyków danych prądów w stosunku do zasięgu popularności jego czynnych przeciwników oraz sympatyków tychże przeciwników.

W odniesieniu do tych bardzo licznych Polaków, którzy pomagali i ratowali Żydów w dobie hitlerowskiej okupacji (czyli w latach, gdy „sprawiedliwości poniżej ceny życia nie bywało"), żaden historyk owej — zdawałoby się — normalnej metody wykładu nigdy jeszcze nie zastosował. Autorowie, którym rzecz naprawdę leżała na sumieniu, woleli nie operować „całościami". Mimo że w rzeczywistości, o jakiej mowa, były również wystąpienia podziemnych instancji, a nawet pełna poświęcenia działalność organizacji specjalnie w tym celu do życia powołanej, trzymali się z uporem metody rejestrowania wypadków pojedynczych, za to bezspornych: z nazwiskami konkretnych opiekunów i konkretnych podopiecznych, z dokładnymi — w miarę możności — datami i adresami oraz w dokładnym dla każdego z tych faktów kontekście. Tak było u autorów kronik powstałych w latach samej okupacji (nawet gdy — ze względów bezpieczeństwa — musieli

* Władysław Bartoszewski i Zofia Lewinówna: *Ten jest z ojczyzny mojej. Polacy z pomocą Żydom 1939-1945*. Wydawnictwo *Znak*. Kraków, 1966. Wydanie pierwsze w nakładzie 7.000 egz. jest całkowicie wyczerpane. Władze odmówiły zgody na drugie wydanie.

nazwiska pseudonimować), tak było bezpośrednio po wojnie i tak jest również w tym obecnie wydanym tomie Władysława Bartoszewskiego i Zofii Lewinówny.

Władysław Bartoszewski, który zgromadził większość materiałów zamieszczonych w tym zbiorze, był — w latach okupacji — współzałożycielem Rady Pomocy Żydom i zastępcą kierownika Żydowskiego Referatu Delegatury Rządu. Instytut *Jad Waszem* w Izraelu zaliczył go w poczet „sprawiedliwych między narodami świata". Bartoszewskiemu zawdzięczamy również szereg dokumentarnych i ścisłych rekonstrukcji (dotyczących głównie wykonania pewnej ilości wyroków Kierownictwa Walki Cywilnej przeciw donosicielom i szantażystom oraz akcji solidarnościowej AK w czasie powstania getta Warszawy).

Zbiór p.n. *Ten jest z ojczyzny mojej* poprzedził Bartoszewski bardzo dobrym szkicem: rozmyślnie — bo zgodnie z założeniami i celem tego dzieła — jednostronnym, lecz w granicach tej jednostronności ścisłym i dobrze poinformowanym, uczciwym i rzeczowym.

◆

Jak się to jednak stało, że podobnie obszerny zbiór, na który wielu Żydów i wielu Polaków czekało od chwili zakończenia wojny, zjawia się dopiero teraz, po upływie lat przeszło dwudziestu? I dlaczego Żydów, których to było obowiązkiem i którzy po wielekroć do projektu i do prób realizacji takiego tomu powracali, musiał w końcu wyręczyć Bartoszewski?

Tak się złożyło, że od załamania się hitlerowskiej okupacji w Polsce, do chwili mego wyjazdu za granicę (w r. 1947) byłem dyrektorem Wojewódzkiej Żydowskiej Komisji Historycznej w Polsce. W ciągu tych niespełna trzech lat, rzeczona instytucja zarejestrowała tysiące zeznań oraz wydała ponad trzy dziesiątki książkowych publikacji. Od samego początku istniała przy tym wola pisania całej prawdy: niczego nie omijać i nie pomijać oraz niczego nie pseudonimować. Podczas jednak gdy zjawiska przeciwstawne tym, które stanowią przedmiot obecnego zbioru Bartoszewskiego i Lewinówny, rejestrowano i publikowano w zwykłym toku, każdy wypadek pomocy był obszernie podkreślany, i to — w miarę możności — ze szczegółami. Już osobiście i całkowicie na mnie spadała (zwłaszcza odnośnie publikacji wydawanych w Krakowie) odpowiedzialność oraz wykłócanie się z tzw. miarodajnymi „czynnikami". Tym więcej, że — w odniesieniu do tych chlubnych szczegółów — nazwy organizacji i nazwiska osób znajdujących się wtedy na pół oficjalnym indeksie pojawiały się w naszych publikacjach bez żadnych niedomówień. Nieraz wzmianki o nich wykorzystywałem zresztą, by — tytułem komentarza — dodawać bliższe szczegóły, niezwiązane ze „sprawą żydowską". Stąd poszła nawet popularna w Krakowie tego pierwszego czasu butada, że nie sfałszowane szczegóły o byłych polskich organizacjach podziemnych można znaleźć właśnie w książkach Żydowskiej Komisji Historycznej. Faktem jest w każdym razie, że w wydawnictwach ŻKH, wszędzie gdzie się to łączyło z poruszanym tematem, relacje dotyczące udzielanej Żydom pomocy publikowane były od pierwszej chwili. Na podsumowanie było za wcześnie. Ilekroć wszakże nadarzała się sposobność, zwracałem się do ludzi najbardziej, moim zdaniem (zarówno przez ich osobistą postawę w czasie okupacji, jak przez stopień ich poinformowania), kompetentnych o możliwie wyczerpujące opracowania. Na moją prośbę prof. Tadeusz Seweryn napisał np. (dla tomu p.n. *W trzecią rocznicę zagłady getta w Krakowie)* obszerny szkic p.n. *Chleb i krew.* (Był to pierwszy spośród szeregu jego cennych prac na ten temat).

Wspominam ŻKH, ponieważ centralizowała ona w tamtych latach wysiłki w tej dziedzinie. Jednak w tym samym czasie wychodziło jeszcze w Polsce cały szereg żydowskich periodyków zarówno w języku polskim jak i żydowskim. Niemal każde z tych pism, przy czym słowo „niemal" dodaję tu jedynie dla ostrożności, zamieszczało szerokie wspomnienia dotyczące omawianej pomocy.

Ale... Tutaj właśnie wystąpiło zjawisko, jakie czytelnikom nie znającym klimatu lat okupacji i jego *powojennych przedłużeń*, wyda się zupełnie niepojęte. Zaraz po ukazaniu się pierwszego z tomów Żyd. Komisji *(Dokumenty zbrodni i męczeństwa)* zaczęły się wizyty paradoksalne. Ludzie cytowani po nazwisku (i to właśnie jako dobroczyńcy!) przychodzili przygnębieni, z wyrzutami: że publikując ich „zbrodnię", która wyraziła się w udzielonej z narażeniem życia pomocy, wydajemy ich na pastwę zemsty sąsiadów i... nie tylko sąsiadów. Z kolei, z podobnymi pretensjami, zaczęli się zjawiać niektórzy uratowani Żydzi, wysłani do nas przez swoich dobroczyńców. Inni jeszcze (autorzy zeznań już spisanych, lecz na razie jeszcze nie ogłoszonych) przychodzili prewencyjnie, by zabronić ich ogłaszania w przyszłości. Były wypadki, że — na żądanie swoich dobroczyńców — niektórzy w ogóle odmawiali zgody na publikowanie tych zeznań, nawet bez cytowania odnośnych nazwisk, ponieważ „z innych szczegółów (nazwy miejscowości itd.) sąsiedzi mogą się domyśleć, o kogo idzie". Stanęliśmy, ja i moi współpracownicy, przed kwadraturą koła. Na upór można bowiem wykłócać się nawet z „czynnikami", ignorować ich sugestie i instrukcje; wyświadczać jednak niedźwiedzią przysługę akurat dobroczyńcom? Sprawa była szczególnie bolesna w związku z przygotowaniem dużego tomu zeznań uratowanych dzieci *(Dzieci oskarżają).* Toteż we wstępie Marii Hochberg-Mariańskiej do tego tomu znajdzie czytelnik następujący ustęp: *„Teraz chodzi o co innego, o różnicę między zasługą i hańbą, o świadomość i dumę ze spełnionego obowiązku człowieka i obywatela. W tej książce, w wielu zeznaniach wymieniane są nazwiska ludzi, którzy dzieci żydowskie ratowali, w innych użyto tylko inicjałów. Dlaczego — jeśli nazwiska są znane? Nie wiem, czy jakiś człowiek poza granicami Polski pojmie i zrozumie fakt, że uratowanie życia ściganemu przez zbrodniarza, bezbronnemu*

dziecku, może okryć kogoś wstydem i hańbą lub narazić na przykrość" (Id. s. XXXII).

Nie zadawalając się setkami zebranych i posiadanych relacji, ogłosiłem — w imieniu ŻKH — komunikaty w całej prasie (m.in. w „Tygodniku Powszechnym", który również wówczas, co miło mi tutaj podkreślić, wykazał szczere zrozumienie dla tych wysiłków), zwracając się z prośbą o zeznania, szczególnie do tych wszystkich, którzy pomagali Żydom lub byli świadkami udzielanej pomocy. (Materiały uzyskane dzięki temu apelowi ogłosiłem wiele lat później, już za granicą, *in extenso*, w języku żydowskim, w III tomie mej książki *Papiery aryjskie)*. W porównaniu z dużą liczbą odpowiedzi uzyskanych przez „Tygodnik Powszechny" w rezultacie ankiety Wł. Bartoszewskiego, w 1963 r. (czyli szesnaście lat później), były to jednak (mimo świeżości wspomnienia i mimo świeżej pamięci szczegółów) zaledwie okruchy okruchów: czas przyznawania się do chlubnych zasług jeszcze nie nastąpił.

Nie dotyczyło to tylko zeznań rejestrowanych przez ŻKH. W zbiorze *Ten jest z ojczyzny mojej* znajduje się m.in. przedruk wspomnienia katoliczki żydowskiego pochodzenia, Felicji Kohn, o ofiarnym do niej stosunku „w czasach okupacji katolików nie *de nomine*, ale *de facto*" (str. 433 i nast.). Czy nie jest rzeczą uderzającą, że w całym tym tekście, ogłoszonym w „Tygodniku Powszechnym", *ale w 1947*, autorka nie wymieniła po nazwisku ani jednego spośród jej dobroczyńców, natomiast wszystkie te nazwiska odnalazły się dopiero w uzupełnieniu, napisanym szesnaście lat później, dzięki ankiecie Bartoszewskiego? Podobnie w serdecznym hołdzie złożonym jego opiekunowi przez Henryka Sperbera (str. 432 i nast.): ponieważ pierwodruk ukazał się w „Głosie Żołnierza" tuż po wojnie, autor zrobił wszystko, by nazwiska dobroczyńcy nie wymienić; podał je dopiero teraz w przypisku.

Dużo pomieszań i prawdziwych spustoszeń w badaniach dotyczących omawianego tutaj odcinka dokonał w Polsce okres tzw. kultu jednostki. Według instrukcji z góry (z którymi ja się nigdy nie liczyłem) realizowanych po moim wyjeździe m.in. przez Żydowski Instytut Historyczny, bez mała — tzn. z wyjątkiem „garstki reakcjonistów" — cała Polska była w czasie okupacji zajęta ratowaniem Żydów. Ponieważ jednak do owej „garstki reakcjonistów" zaliczono wszystkie formacje Armii Krajowej oraz wszystkie instancje i odłamy Delegatury Rządu... Pod takimi właśnie auspicjami ukazywały się zwłaszcza książki o żydowskim podziemiu w ogóle i o powstaniu w getcie Warszawy w szczególności: ozdobione (a raczej napiętnowane) wielkim portretem Stalina, który awansował w nich na promotora owych podziemnych walk i ruchów[1].

1. Nie potrzeba dodawać, że wykładnia powyższa wywołała bardzo gwałtowne reakcje żydowskiej prasy za granicą. W Warszawie ze strony Instytutu odpowiadano na nie metodą uświęconą przez system: przemilczając przed własnym czytelnikiem zarzuty dyskutanta, obrzucano go stekiem oszczerstw.

Wartki strumień innego typu uogólnień toczył się w polskiej prasie i książkach wydawanych na emigracji. Mam przed sobą np. pamiętniki jednego z czołowych przywódców Endecji. Podczas gdy druga i bardzo interesująca część jego tomu opowiada o przeżyciach autora w sowieckim więzieniu i przed sowieckim „sądem" po wojnie, pierwsza część (obejmująca około 200 stronic) relacjonuje działalność i doświadczenia autora pod okupacją hitlerowską. Cały rozdział o męczeństwie Żydów (str. 65 i nast. francuskiego wydania) wyraża bardzo głębokie współczucie dla ofiar i oburzenie przeciw hitlerowskiemu zezwierzęceniu. Dowiadujemy się, że ludność polska w ogóle, a partia, którą współkierował autor dzieła w szczególności, ratowały Żydów jak tylko mogły. Jednych ukrywano w różnego typu melinach, „inni Żydzi posiadali fałszywe papiery i żyli w towarzystwie polskiej inteligencji. *Żaden Polak nigdy ich nie zdradził*" (str. 65). Tyle że w innych rozdziałach książki autor opowiada, jak to od r. „1942 miał zaszczyt być politycznym kierownikiem Narodowych Sił Zbrojnych" (str. 60), które do Armii Krajowej przystąpiły (dopiero!) 17 marca 1944 (str. 63). Jakże więc było z tą pomocą Żydom? Nie, nie zarzucam autorowi żadnej złej wiary. W wymiarze osobistym w istocie bardzo to różnie bywało. Może więc sam autor był rzeczywiście szermierzem pomocy Żydom, o tym, *jak i przeciw komu* NSZ w terenie wojowały nie wiedział, a organów stronnictwa i formacji (których „miał zaszczyt być politycznym kierownikiem") nigdy nie czytywał. Jakże mają się jednak tego wszystkiego domyśleć ludzie, którzy wspomniane organy czytywali? Albo: Wiele lat temu dwóch byłych przywódców NSZ, które się nigdy z AK nie połączyły (albowiem wbrew twierdzeniom cytowanego wyżej autora, nawet w marcu 1944 nie NSZ, lecz zaledwie jedna ich frakcja zdecydowała się przystąpić do AK) ogłosiły na łamach „Kultury" polemiczne apologie NSZ. Nie uzgodnili wszelako argumentów. Podczas gdy jeden z nich opisywał, jak to NSZ ratowały Żydów, drugi wykładał przyczyny, dla których te same NSZ „musiały" Żydów mordować.

Co nie przeszkadza, że w wydawnictwach emigracyjnych ukazało się również sporo cennych przyczynków, które zasługują, by je kiedyś wcielić do ogólnej na ten temat dokumentacji.

W r. 1957 ukazała się w Nowym Jorku książka Filipa Friedmana p.n. *Their Brothers' Keepers*, stanowiąca próbę podsumowania ogłoszonych wcześniej faktów. W 1963 nakładem Żydowskiego Instytutu Historycznego wyszła książeczka Tatiany Beren-

Tę także metodę zastosowano do mnie, potęgując za każdym razem ilość i jakość pomyj. Po moim cyklu artykułów, gdzie omówiłem źródłowo owe fałszerstwa, doczekałem się nawet rozprawy totalnej. Nieznany mi pracownik Żydowskiego Instytutu Historycznego przedstawiał mnie swoim czytelnikom jako herszta AK-owskich bandytów. Z osobliwie zestawionych fakto-szantaży i aluzji czytelnik winien był przy tym zrozumieć, że — jako dowódca polskich oddziałów partyzanckich — brałem niemal udział... w mordowaniu Żydów. Z warszawskiego dziennika, przedrukowała ten elaborat, w odcinkach, komunistyczna gazeta wydawana w języku żydowskim w Paryżu.

stein i Adama Rutkowskiego pt. *Pomoc Żydom w Polsce 1939-1945*[2]. Ogromna liczba przyczynków ukazywała się neprzerwanie w książkach wydawanych w języku żydowskim i hebrajskim. Szczególnie liczne były obszerne artykuły na ten temat również w prasie żydowskiej, zwłaszcza z okazji spotkań (głównie w Izraelu, ale także w USA, w Kanadzie itd.) byłych opiekunów z byłymi podopiecznymi. Artykuły te bywają z reguły przedrukowywane przez szereg pism żydowskich w różnych krajach.

◆

Bardzo doniosłe znaczenie książki *Ten jest z ojczyzny mojej* polega nie tylko na zgromadzeniu — w ramach jednego tomu — wspomnień i opracowań, rozproszonych dotąd w czasopismach i książkach, wydanych w różnym czasie, w różnych krajach i w różnych językach. Zebraną w ten sposób dokumentację redaktorzy zbioru wzbogacili o bardzo dużą ilość nazwisk i szczegółów dotychczas nie zapisanych, uzyskanych głównie dzięki odpowiedziom na wspomnianą już ankietę Bartoszewskiego w „Tygodniku Powszechnym". Wielka różnorodność tych tekstów, od patetycznych w ich zwięzłości i prostocie not i świadectw, poprzez obszerniejsze zeznania i impresje, do szczegółowych opracowań, daje obraz nie tylko wielkiej liczby i rozmaitości owych walk bez pióropuszu, ale w pewnej bodaj mierze — także rozmaitości optyki. Mimo *nieuchronnych uproszczeń*, widzimy te wypadki zarówno oczyma bardzo rozmaitych podopiecznych, jak ich niemniej rozmaitych opiekunów: żołnierzy i organizatorów tej pomocy, uczestników, kronikarzy i nawet dziennikarzy.

Jaka szkoda, że — wskutek nadużycia — termin *Złotej Księgi* tak bardzo się zbanalizował i zdewaluował! Rzadko które dzieło zasługiwałoby bowiem w tym stopniu na tę nazwę, co zbiór *Ten jest z ojczyzny mojej*.

◆

Kilka luźnych uwag w nadziei. że książka doczeka się dalszych wydań i tłumaczeń[3], na które święcie zasługuje.

Chwalebną wstrzemięźliwość zostawienia czytelnika sam na sam z treścią udostępnionych mu dokumentów redaktorzy posunęli — sądzę — zbyt daleko. — „... Resztę materiału ułożyliśmy w sposób rozmyślnie niemal przypadkowy, gdyż tak właśnie najwyraziściej rysuje się niezmiernie istotna cecha akcji pomocy, jej różnorodność. (...) Uważny czytelnik dopatrzy się zresztą bez

2. Publikacja ta ukazała się również w wersji niemieckiej *(Hilfsaktion für Juden in Polen 1939-1945)*, francuskiej i angielskiej.

3. W przeciwieństwie do sprawozdań z tej książki, które ogłoszę w prasie francuskiej i żydowskiej (gdzie znowu wszystkie marginesowe uwagi tego artykułu byłyby bezprzedmiotowe) nie cytuję tutaj i nie streszczam zawartości tego tomu, w przekonaniu że każdy polski czytelnik winien tę książkę nie tylko przeczytać, ale posiadać ją i do jej lektury wracać.

trudności i w tym całkowitym pozornie bezładzie pewnych celowych zabiegów". To wszystko prawda. Prawdą tym niemniej jest i to także, że ten rozległy materiał zyskałby na przejrzystości, na dostępności i przede wszystkim na wymowie, gdyby go jednak jakoś rozgrupować, podzielić na części, na rozdziały i nawet na podrozdziały, opatrzeć rzeczowymi tytułami i nawet licznymi podtytułami[4].

Będąc na miejscu redaktorów i woląc nie dawać przygodnym dyskutantom pretekstu do jałowych polemik, starałbym się uniknąć podawania cyfr nazbyt łatwych do zaczepienia[5].

Odnośnie szczególnie chlubnych kart (A. Borkowska, akcje zbrojne itd.), redaktorzy ofiarowali czytelnikowi zestaw świadectw pozwalających nie tylko na cenną konfrontację, ale również na pogłębienie obrazu. Czy nie należałoby uczynić tego również w odniesieniu do niektórych innych (również szczególnie chlubnych i szczególnie dramatycznych) wypadków? Myślę m.in. o losach niedobitków powstania getta Warszawy. W zbiorze Bartoszewskiego znajdujemy o tym wzmianki, m.in. w zeznaniach dotyczących ofiarnej działalności kapitana Henryka Iwańskiego i jego grupy, lecz odnośnie przerzutu powstańców naprzód do lasu łomiankowskiego, potem do lasów wyszkowskich, przedruk jedynie artykułu wspomnienia p.n. *Żołnierze ŻOB i ich przyjaciele*, pióra oddanych sprawie Władysława i Stanisławy Legeców, członków PPR. W podobnych sytuacjach nawet oddani aktywiści nie mogą jednak znać wszystkich elementów. W rzeczywistości przerzucone do lasu grupy niedobitków powstania znalazły się w pewnej chwili w całkowitym impasie, z którego (co oczywiście w niczym zasługi innych ani o jotę nie umniejsza) wybawił ich żołnierz AK — Kajszczak. Jego spotkanie z grupą,

4. Np. Pomoc organizowana (R.P.Ż., Delegatura, zbrojne akcje solidarnościowe); — Pomoc chrześcijan dla chrześcijan (żyd. pochodzenia) czy pomoc związana z katolicką akcją misyjną wśród Żydów itd. Pewną ilość dokumentów można by zgrupować według środowisk, albo jeszcze: według sytuacji, warunków (w których dokonywała się pomoc). Piszę to wyłącznie tytułem hipotezy roboczej, nie akcentując żadnej z tych sugestii. Rzeczą redaktorów jest rozłożenie materiałów według *ich* analizy i *ich* planu. Rozumiem również wahania polegające na tym, że określone fakty mogą w równym stopniu należeć do różnych grup. Są to jednak trudności, z którymi musi się porać każdy badacz.

Większość relacji oznaczonych jest tylko nazwiskiem ratowanego lub ratującego. Tytuły znalazły się tam jedynie, gdzie dali je autorowie pierwodruków. Zresztą i one tracą wartość wskaźnika czy zapowiedzi treści. „Ratunek ryzykowany życiem", to miało wymowę w dzienniku czy tygodniku. W książce, gdzie niemal od początku do końca mowa o ratunkach ryzykowanych i nieraz przypłaconych życiem, te pierwotne tytuły niczego już nie uściślają.

5. Nawet gdy cyfry te figurują gdzieś — ale chyba w bardziej zróżnicowanym określeniu — u niektórych historyków Żydów. Np. na str. 7 z powołaniem się na F. Friedmana i na J. Kermisza. Znam bardzo zawiłe problemy tych wyliczeń, gdzie nawet przybliżone cyfry zmieniają się zawrotnie, po prostu w zależności od tego, jakie wliczono w nie kategorie tych, co przeżyli: *jak i gdzie przeżyli*.

jego spontaniczną, odważną i konsekwentną pomoc opisał bardzo rzeczowo i wiernie T. Borzykowski[6]. Czy nie należałoby udostępnić czytelnikowi tekstu o tej pięknej postaci? Nie ma w tym oczywiście najmniejszej winy redaktorów. Czy nie godziłoby się jednak, by np. Żyd. Inst. Historyczny dostarczył im z własnej inicjatywy tłumaczeń choćby tych najbardziej wymownych tekstów[7]?

Pewne wspomnienia (i to często te właśnie, które — uściślone — mogłoby przekazać bardzo doniosły aspekt owoczesnych powikłań) nie we wszystkim tłumaczą się same. Zaliczyłbym do nich dobrze napisaną i ujmującą relację pióra współredaktorki tomu Zofii Lewinówny: „Nie budziłam żadnych obaw swoim wyglądem; urodzona katoliczka, wychowana w kręgu kultury wyłącznie polskiej, nie różniłam się niczym od moich rówieśniczek (nie żydowskiego pochodzenia). Mimo to stanowiłam oczywiście potencjalne śmiertelne niebezpieczeństwo dla każdego, kto przyjął mnie do swego domu lub w inny sposób okazał mi pomoc". Należy przyjąć, że autorka żyła pod fałszywą tożsamością (czyli na tzw. „aryjskich" papierach), do której na domiar posiadała najlepsze — jak się wtedy mówiło — „warunki osobiste". W takich razach ryzykowna pomoc wyrażała się jednak we wstępnym „urządzeniu" osoby żydowskiego pochodzenia. Przyjmowanie osoby już urządzonej „potencjalnego śmiertelnego niebezpieczeństwa" zwykle już nie zawierało. Z wyjątkiem wypadków szczególnych, np. bardzo uporczywej denuncjacji ze strony wspólnych... przyjaciół czy znajomych sprzed wojny. Międzywiersze relacji świadczą, że autorka doskonale zdaje sobie sprawę z doniosłości imponderabiliów panującego wówczas klimatu. Należałoby to jednak jakoś ukonkretnić: *cerner de plus près*.

W związku z tym dwie uwagi: Pierwsza dotyczy tytułu książki: Znakomicie wybrany, dopraszałby się wszakże (chyba w ramach precyzyjnie sformułowanych uwag na str. 73-78) bodaj kilku linijek rzeczowego dojaśnienia. Rozumiany wyłącznie w sensie i w wymiarze, jakie mu daje wiersz Słonimskiego, tytuł ten — zwłaszcza za granicą — może, rykoszetem, sugerować wykładnię przeciwną intencji redaktorów: Szlachetne porywy, wynikłe z *crise de conscience* w obliczu męczeństwa, lecz wyprane ze świadomości faktu, że (jakby to tam z tą licytacją w antyżydowskiej propagandzie ostatnich lat przed wojną nie było) chodziło o „współobywateli, którzy od wieków związani byli z ziemią polską i z tradycją polskich walk o wolność" (słowa Wandy Pełczyńskiej). Czyżby w istocie, niosąc tę pomoc, każdy z licznych jej bohaterów „o własnym kraju zapominał"? Akty bojowe wykonane — w czasie powstania getta Warszawy — przez patrole AK, przez oddział Korpusu Bezpieczeństwa czy — skąd inąd — grupę PPR, przeszły do historii pod nazwą działań *solidarnościowych*. To także stanowisko wyrażało w różnych sformułowaniach wiele spośród głosów polskiej prasy podziemnej: „Protest zbrojny warszawskiego getta ma zresztą dla nas Polaków specjalne znaczenie. Oto, stając na gruncie państwowości polskiej, potępiamy zbrodnie niemieckie, dokonane na Żydach nie tylko z pobudek humanitarnych i kulturalnych, lecz również dlatego, iż bezprzykładne, barbarzyńskie prześladowanie przez najeźdźcę Żydów jako obywateli państwa polskiego godzi pośrednio w polską rację stanu" itd. („Pionier", maj 1943). Wystarczy zresztą czytać uważnie tę właśnie książkę, by przypomnieć, że uoficjalniony w ostatnich latach przed wojną wyścig antyżydowski nie potrafił unicestwić narosłego, ludzkiego współżycia, przyjaźni, dobrosąsiedzkich (lub nawet złosądziedzkich, ale przecież sąsiedzkich) więzi.

Uwaga druga: Wierni *czujnej* uczciwości, redaktorzy podkreślają, że publikowane przez nich materiały „nie są ilustracją całokształtu stosunków polsko-żydowskich podczas okupacji hitlerowskiej", lecz „mają za zadanie ukazać pomoc w jak najszerszym i najwymowniejszym kontekście okoliczności". Usuwając (z wyjątkiem jak najrzadszych wzmianek między wierszami) wiadomości o „szantażach, donosach i im podobnych ciemnych stronach okupacyjnego życia", byli zatem w zgodzie z celem i posłannictwem tej książki. Skąd więc pochodzi owo wrażenie, że ten tom, w którym udostępniono świadectwa o tylu wspaniałych aktach, jednak w jakiś sposób jeszcze *nie w pełni* wyraził miarę ich zasługi? To, że za pomoc świadomie Żydom udzieloną, groziła kara śmierci? Na pewno. Lecz w okupowanej Polsce śmierć groziła za bardzo wiele rzeczy, za bardzo wiele działań, za bardzo wiele nawet przypadkowych gestów. Przeciwwagę zadekretowanego przez okupanta *wszędobylstwa* kary śmierci stanowiło wszakże zaplecze, w postaci postawy szerokich mas, ich czynny lub nawet tylko bierny, ale przecież współudział (*complicité*). Ta to postawa umniejszała a często zupełnie unicestwiała możliwość denuncjacji. Fakt iż w dziedzinie, o której tutaj mowa, owo zaplecze bywało rzadkie, nie wynikał bynajmniej z okoliczności, że akurat w danym budynku dozorca był antysemitą lub sąsiad *Volksdeutscher*'em. Ani nawet z „bierności". Tym większe było ryzyko, tym większa odwaga i tym większa duchowa niezależność tych, których nazwiska tak chlubnie omawiane tutaj dzieło zaludniają. Toteż dla oddania właśnie im pełnej sprawiedliwości należałoby (nie w wyborze tekstów samych dokumentów, ale we wstępie), bodaj w kilkunastu linijkach, rzeczowo owe zjawisko i jego następstwa określić.

6. Nie w sygnalizowanym przez redaktorów fragmencie o wyjściu z getta kanałami, lecz w książce (w jęz. żydowskim) *Wśród walących się murów* (Warszawa, 1949).

7. To prawda, że nie jest to tylko sprawą języka. Zarówno Ż.I.H. w Warszawie (który przejął archiwa Z.K.H.), jak *Jad Waszem* w Izraelu posiadają wiele dziesiątków zeznań poruszających m.in. sprawę pomocy. Rzecz w tym, że każde z owych zeznań obejmuje z reguły całość podokupacyjnych przeżyć zeznającego. Odnośne fragmenty trzeba by z nich dopiero wydzielić, co — ze względu na ogrom tych materiałów — przekracza możliwości pojedynczych badaczy. Bardzo wiele tych zeznań wykorzystałem w mych trzech tomach *Aryjskich papierów;* dużo innych znajdzie się w mojej francuskiej książce *Les vies interdites*.

Są to bardzo łatwe do uzupełnienia drobiazgi. Wspominam o nich jedynie dlatego, że zbiór *Ten jest z ojczyzny mojej* stanowi nie tylko ważną pozycję wydawniczą, ale również ważne wydarzenie. Poczytność jego winna być jak najszersza, promieniowanie jak najgłębsze. Realizując ją, inicjator i spritus movens Wł. Bartoszewski, współredaktorka Zofia Lewinówna i wydawcy tej książki *dobrze się zasłużyli: i Żydom i Polakom.*

Michał BORWICZ

« Nieposkromione bestie słów »

POEZJA PRYWATNA. Przeglądam tomiki wierszy Urbańskiej, Czereśniewskiego, Grabowskiego i Rostworowskiego[1]. Odkładam je ze smutkiem: oto jeszcze jedna fala emigracyjnej grafomanii, jeszcze kilka niepotrzebnych książek, których tym bardziej szkoda, że zostały wydane tak starannie i luksusowo.

Reflektuję się: dlaczego obchodzę się z tymi wierszykami tak brutalnie? Wielu przecież jest amatorów-malarzy, którzy z Rembrandtem czy Cézannem wcale nie pragną konkurować. Podobnie należy uznać rodzaj poezji prywatnej, pisanej ku pociesze samych autorów, ich rodzin i bliskich znajomych. Humanista powinien przecież radować się, że zamiast kopać piłkę, gapić się na ekran telewizora, polować na Żydów czy Murzynów, ludzie malują obrazy, grają na skrzypcach, haftują, hodują chryzantemy, komponują wiersze. Pisywanie wierszy prywatnych jest nie tylko zajęciem w zasadzie kulturalnym, jest także wyrazem zazwyczaj głębokich uczuć religijno-erotycznych, które w takiej twórczości znajdują niewinne ujście.

Pojętą w tym sensie poezję prywatną wolałbym zostawić w spokoju, życzyć autorom zdrowia i dalszych owocnych zmagań ze słowem. Ale sytuacja się zmienia, gdy egzemplarze tych wydawnictw rozsyłane są także redaktorom pism do recenzji. Wówczas bibliofilskie cacka stają się własnością publiczną, tracą uprzywilejowany status poezji prywatnej.

Wracam więc na pozycję wyjściową.

Ambicją poety jest stworzyć dzieło sztuki. Pojęcie „dzieła sztuki" zawiera różne elementy formalne i treściowe, każdemu z tych elementów poeta stara się mniej lub więcej uwagi poświęcić,

1. Wydawnictwa Oficyny Stanisława Gliwy: Mieczysława Urbańska *Liryki* (1966), Wawrzyniec Czereśniewski *Xenofoncie na codzień* (1965), Wojciech T. Grabowski *Wiersze życiu wyrwane* (1966), Jan Rostworowski *Słowik i miecz* (1966).

ale żadnego elementu nie ignoruje. Grafoman natomiast pisze pod presją jednowarstwowej obsesji bądź uczuciowej (erotyzm, religia, miłość przyrody), bądź tematycznej (krajobraz ojczysty, świat antyczny), bądź też z zamiłowania do jakiegoś wzoru formalnego (sonet, rymowany dystych). Ta obsesyjność prowadzi do dwóch oczywistych konsekwencji: autor przestaje panować nad rozmiarami swej produkcji i mało się interesuje sprawnością techniczną. Wyraz uczuć staje się celem dominującym, więc mniejsza o to, że użyto wielu słów i że w ogóle są to słowa wykorzystane w sposób banalny.

Obsesją Urbańskiej jest liryka o podkładzie erotycznym:

Na wód morskiej głębinie
leżę — pełna oddania;
pierś ma — bliska ekstazy,
serce — bliskie kochania.

Obsesją Czereśniewskiego jest rymowanie Podręcznej Encyklopedii Mitologii Antycznej w stylu „Nocy Listopadowej":

Gdy zobaczycie Matkę Niobe na Wolskiej, albo na Grochowskiej
Przechodnie! Nisko się ukłońcie. Niobe ma rysy arcypolskie.
. . . . . .
Na Placu Muranowskim, u wejścia do Troi,
To ty — Lakoonie siwowłosy — stoisz.

Jak na zawodowego żołnierza przystało, Grabowski[2] jest stosownie brutalny i jędrny:

zwycięstwo
pluje śliną ust bluzgających rynsztokiem
i ropą
gniewem zastygłej krwi
zwycięstwo
pułk spłacony
śni nową bronią dni

Obsesją Rostworowskiego jest uczucie religijne wyrażane erotycznym językiem „Pieśni nad pieśniami" oraz erotyzm, w którym przedmiotem pożądania jest częściowo bóstwo, częściowo ciało ludzkie:

Ciebie nie da się zamknąć w rzeczach,
twoja nagość jest jak klinga miecza
i nie przylega do nas.

Czuję w piersiach ostrze Twojej chwały.

2. Nb. jego teksty zostały wydane pośmiertnie z brulionów, nie wiadomo więc, czy autor w ogóle zamierzał je w tej czy jakiejkolwiek innej formie ogłosić.

Odpasałem greckie sandały,
zdjąłem wianek z zieleni.

Krzyż rozwartym cieniem się kładzie.

Lecz czyś musiał sok w winogradzie
aż tak bardzo przemienić?
. . . . . .
Boże, otwórz mi niebo!
Otworzyłeś je lilii polnej
otworzyłeś złamanej trzcinie...
Moja trzcina złamana bardzo
a moja lilia naga.
. . . . . .

(„Legenda o Michale Aniele")

To On pomiędzy gwiazdą a runią zieloną
przeleciał bardzo nisko pochylonym skrzydłem
aż w cieple mlecznych piersi i sękatych ramion
poruszyła się słodka nadzieja
że nie wyrówna lotu i spadnie na ziemię.
Takich nocy nie było przedtem w Betleemie.
. . . . . .
Lecz włosów Magdaleny już nic nie odmieni
i włosy Magdaleny mocno pachną w deszczu.

(„Powrót")

Jest jednak jeden wiersz Rostworowskiego, który każe sądzić, że gdyby autor postarał się poddać kontroli lawinę słów którą z taką niefrasobliwością przelewa na papier, jego utwory mogłyby przejść z domeny prywatnych wyznań w orbitę literatury. Mam na myśli zwrotki na str. 59:

Gdy opisujesz różę zdradzasz tajemnicę
o sobie. Człowiek patrzeć nie potrafi z boku.
Jest środkiem.
Ale gdyby róża mogła mówić
i zechciała opisać ciebie? Pomyśl ile
najbardziej nieśmiertelnych metafor o róży
gryzłoby ziemię.
Albo
co jest sprawą większą
jaki tłum wargą ludzką nietkniętych metafor
krążyłby nad ogrodem róż.
Ale na ziemi
ogrody tylko pachną bo ty jesteś środkiem.
To jest twoje królestwo i twoje więzienie.

Ale cóż, Rostworowski, zamiast wiersz w tym miejscu zakończyć, ciągnie go przez jeszcze blisko cztery kartki i całość nazywa „Esejem o opatrzności".

WOLNOŚĆ SŁOWA. Kiedy ktoś powiada, że w przeciwieństwie do kraju, na emigracji istnieje wolność słowa, ma na myśli fakt, że można swobodnie omawiać takie politycznie drażliwe tematy jak Katyń, Powstanie Warszawskie, kontrowersyjne dyrektywy rządu PRL. Jest jednak aspekt tej wolności, o którym nikt nigdy nie mówi, chyba dlatego, że dotyczy bardzo niewielu osób. Mam na myśli twórczość eksperymentalną, która czasem tylko, i to marginesowo, dotyka bieżących problemów politycznych. Jeżeli ktoś w Polsce napisze bardzo ambitne dzieło, którego jednak nikt nie zechce wydać, autor traci wszelkie szanse publikacji. Na emigracji autor ma jeszcze do dyspozycji Oficynę Gliwy i Oficynę Bednarczyków.

Czy jednak słuszne jest, by Oficyny drukowały wszystko co popadnie, pod warunkiem, że autor gotów jest pokryć koszta? Oczywiście, że tak, w imię właśnie wolności słowa. Zresztą obie Oficyny utrzymują się tylko na zasadzie handlowej, więc nie zawsze mogą pozwolić sobie na luksus dyskryminacji estetycznej. Odrzucenie grafomańskiego rękopisu pociąga za sobą finansowe konsekwencje. Ale też tom złych wierszy pozostaje tomem złych wierszy zupełnie niezależnie od warunków, w których został wydany.

Powiedziawszy tyle, trzeba natychmiast dodać, że w wypadku Bednarczyków, więcej niż adekwatną kompensatą za pewien procent słabiutkich pozycji są tomy wierszy i prozy Norwida, Sułkowskiego, Brzękowskiego, Czaykowskiego i kwartalnik „Oficyna Poetów". W wypadku Gliwy, u którego Bednarczyk uczył się sztuki drukarskiej, taką kompensatę stanowią teki rysunków Bohusza-Szyszki (1953) i linorytów Tadeusza Piotrowskiego (1955) oraz „Godzina Dzikiej Kaczki" (1966) Aleksandra Janty.

GODZINA DZIKIEJ KACZKI. Książka Janty jest pierwszą polską antologią poezji japońskiej.

Każdy niemal aspekt twórczości poetyckiej ma charakter paradoksu. Zdaje się czasem, że cokolwiek o poezji powiemy, musimy natychmiast uzupełnić to twierdzeniem mniej lub bardziej sprzecznym. Pęd do spowiadania się ze wszystkiego objawia się żmudnym gadulstwem, z drugiej strony, dyscyplina ekspresji nie powinna doprowadzić do takiej atrofii wyrazu, by wiersz przestał być rozpoznawalnym zapisem specyficznej sytuacji lirycznej. Miniaturowe japońskie haiku i tanka są chyba krańcowym przykładem ekspresyjnej ascezy:

rzędy jęczmion
zeszywanych lotem
motyla
— Sora (1648-1710)

księżyc na wodzie
łamie się i znów łamie

a jego pieczęć cała
— Dzioso (1661-1704)

gdybym go mógł pochwycić
czy potrafiłbym doznać lekkości
trzepotu tego motyla?
— Buson (1716-1784)

pierwsza gwiazda
czy to ją zobaczył
bażant co krzyczy?
— Issa (1762-1826)

jaka przyjemność
gdy po stu dniach
obracania bezskutecznych słów
wiersz mi się nagle
dobrze napisał

***

jaka przyjemność
gdy wstając rano
wychodzę aby znaleźć
kwitnący kwiat którego
nie było wczoraj

***

jaka przyjemność
gdy bez niczyjej pomocy
rozumiem treść
książki o której mówią
że bardzo trudna
— Tacibana Akemi (1812-1868)

Haiku, jak informuje Janta, pojawiły się w poezji japońskiej w XVII wieku. Do dziś dnia poeci japońscy znajdują zastosowanie dla tej niezwykle trudnej formy. Autorem haiku, który zamyka antologię Janty jest urodzony w r. 1905 Kato Siuson. Wiersz poprzedza notatka tej treści: „W nocy był ciężki nalot. Dźwigając chorego brata szedłem z żoną przez ogień w poszukiwaniu naszych dzieci".

pośrodku ognia
widziałem jak się piwonia
na cząsteczki rozpada

Inna rzecz, że wyjaśnienie odautorskie jest tu wyrazem artystycznej porażki.

W przedmowie Janta podkreśla, że „Daleki Wschód żył innym rytmem historii — w okresie wczesnego średniowiecza, na przełomie tysiąclecia naszej ery, Japonia była światem wysokiej, wyrafinowanej kultury. Praktykowała poezję, która posiada cechy zachodniej nowoczesności i to według kryteriów XX wieku". Że kult zwięzłości Japończycy już dawno doprowadzili do perfekcji i że ich osiągnięcie miało ostatnio duży wpływ na poezję zachodnią (por. np. poezję Pounda, W. C. Williamsa i pomniejszych imażystów anglosaskich) jest bezsprzecznie faktem doniosłym, podobnie jak dla poezji polskiej doniosłym wydarzeniem jest pojawienie się pionierskiego dzieła Janty. Ale Janta zdaje się zapominać, że zdolność operowania małą formą spotykamy w tradycji zachodniej już w liryce Safony (którą cytuję w przekładzie Janiny Brzostowskiej):

Zaszedł już księżyc i zgasły
Plejady, północ mija,
godziny płyną wolno,
a ja spoczywam sama.

***

Taka prostaczka cię oczarowała,
nie umiejąca z wdziękiem unieść sukni
dokoła kostek

A także bez, o ile mi wiadomo, znajomości poezji japońskiej, umiał równie powściągliwie pisać Norwid:

Czułość — bywa jak pełny wojen krzyk,
I jak szemrzących źródeł prąd,
I jako wtór pogrzebny...

I jak plecionka długa z włosów blond,
Na której wdowiec nosić zwykł
Zegarek srebrny...

Janta zwraca również uwagę, że zamieszczony w jego antologii tren na śmierć syna, przypisywany poecie Yamanoue Okura, wyprzedził „Treny" Kochanowskiego o „całych dziewięć wieków". Ale to jest szczegół pozbawiony doniosłości estetycznej, podobnie jak fakt, że o eksplozji gwiazdy w odległej galaktyce dowiadujemy się z opóźnieniem kilku tysięcy lat. Chronologią kierowana komparatystyka jest w tym wypadku tym bardziej nieprzydatna z estetycznego punktu widzenia, że późniejsze „Treny" Kochanowskiego są bezsprzecznie poważniejszym osiągnięciem artystycznym od utworu japońskiego. Nie wszystko da się zmieścić w miniaturowej formie (tren Okury nie posiada wprawdzie formy haiku, ale i tak w porównaniu z „Trenami" jest poematem bardzo drobnym). Czasem właśnie tylko obszerniejszy utwór może dostatecznie wyrazić złożone uczucie, z jakiego składa się np. rozpacz z powodu utraty dziecka.

Jeżeli już zajmujemy się komparatystyką, przypomnijmy, że w obecnym stuleciu wpływy obejmujące Japonię i kraje zachodu działają obustronnie: europeizacja Japonii objawiła się m.in. tym,

że poeci japońscy zaczęli korzystać z wzorów literatury zachodniej. Ale przede wszystkim oznaką europeizacji jest przejęcie przez Japończyków zachodniej rewolucji technologicznej, a wraz z nią typowych problemów socjologicznych, które znalazły już charakterystyczne odbicie w sztuce zachodniej. Jednakże antologia Janty prawie w ogóle nie pokazuje nam do jakiego stopnia klasyczne formy poezji japońskiej wykorzystane zostały w ostatnich latach do wyrażenia zupełnie nowych, dwudziestowiecznych treści. Szkoda, gdyż niezwykle ciekawe wyniki dało nasycenie tradycyjnych haiku i tanka tematyką współczesną: podobną satysfakcję daje lektura wiersza, w którym w sposób odkrywczy zastosowana została omszała forma sonetu.

CZY KSIĄŻKI NALEŻY CZYTAĆ? Niektórzy fachowcy lubią zadawać laikom takie niewinne pytania: gdzie jest II kwartet Szymanowskiego, gdzie są „Treny" Kochanowskiego? Gdy naiwny przynosi partyturę czy książkę, fachowiec wskazuje na absurdalność tego impulsywnego odruchu — czyż jest tyle kwartetów, co partytur? Tak powoli zdajemy się na łaskę teorii Crocego, że dzieło sztuki istnieje tylko w głowie autora, że jego konkretyzacja na piśmie jest zbędnym dodatkiem.

Ale poeta widzi rzecz zupełnie inaczej. Najpierw coś pobudza jego wyobraźnię, tworzyć się zaczynają mniej lub bardziej skoordynowane zdania, które notuje na kopercie listu (o ile papier koperty jest dostatecznie gładki) lub na jakiejkolwiek bądź częściowo już zużytej kartce (nic tak nie powoduje paraliżu aktu twórczego jak czysta kartka papieru). Potem wiersz zostaje przepisany na maszynie (jego *wygląd* już się zmienił, jest to pierwsze stadium odłączania dzieła od twórcy), potem poprawki atramentem, znów przepisywanie, może jeszcze dalsze poprawki. Wreszcie nowe stadium: czysta kopia gotowa do wysyłki do redakcji. Wygląd wiersza w druku, wreszcie (może poprawiony raz jeszcze ostatecznie) druk w książce. Utrwalony pomiędzy twardymi okładkami wiersz osiąga apoteozę swej egzystencji.

Ale książka książce nierówna. Jak bardzo nierówna przekonamy się natychmiast cytując kolofon antologii Janty:

Ograniczony nakład 444 bibliofilskich egzemplarzy numerowanych czcionką ręcznie, odbito drukiem dwubarwnym na specjalnym żółtym papierze ze znakami wodnymi „Tosa Bütten". Ponadto wytłoczyliśmy „na mokro" osiem egzemplarzy autorskich na czysto szmacianych, czerpanych ręcznie papierach francuskich z Auvergne i włoskich z Pescii i Fabriano, w tym dwa egzemplarze na papierze ze znakiem wodnym Oficyny Florenckiej Samuela Tyszkiewicza.

Użyte w tytułach i w tekstach przerywniki typograficzne (wszystkie w formie odlewów czcionkowych) są w większości unikatami znalezionymi w starych drukarniach. Niektóre z nich pochodzą z dawno nieistniejących odlewni CITY TYPE LONDON FOUNDRY i JOHNSON PHILA FOUNDRY. Współczesne odlewy starych wzorów z MONOTYPE zastosowano także. Przerywnik tytułowy na stronicy 9-tej wytłoczono ze starego klocka drzeworytniczego, a na stronicy 39 i 43 użyto reprodukcji drzeworytów japońskich. Znak japoński oznaczający słowo „koniec" rysował dr Jan Miś.

Czyż możemy wyobrazić sobie poetę, który by nie uważał tak wydanej książki za szczyt marzeń, nawet gdyby nakład był ograniczony do 227 egzemplarzy? Śmiem twierdzić, że nie. W tej chwili istnieją dwie serie wydawnicze, które w pełni spełniają ambicje poetów: „Czytelnika" w Warszawie oraz „Instytutu Literackiego" w Paryżu. Obie serie mają ładną, czytelną czcionkę, kartki odpowiednich rozmiarów (w przeciwieństwie do np. serii PIW'u czy Wydawnictwa Literackiego, z ich drobniutką czcionką, banalną szatą graficzną i małymi rozmiarami, tak że te miniaturki gubią się na półce z książkami normalnej wielkości), zdobnictwo jest ograniczone do minimum. Poecie zależy przede wszystkim na tym, by jego wiersze były czytane, nie chce, by uwagę czytelnika co chwila pochłaniały przerywniki, ilustracje, barwne inicjały, nie chce, by jego tomik stał się przedmiotem bibliofilskiego kultu. Ulubionych wierszy nie trzyma się w celofanowej oprawie w gablotce pod kluczem. Ulubione wiersze nosi się w kieszeni. Takie książki mają zagięte rogi i adnotacje na marginesach. Nuty i plamy czcionek na kartce osiągają już same w sobie charakter zdobniczy, estetycznie radują oko, i to zazwyczaj zupełnie wystarcza. Czym bardziej książka jest wymyślnie i starannie wykończona, czym bardziej uwaga nasza skupia się na jej fizycznym wyglądzie, tym mniej dbamy o jej treść. Albo, co gorsza, w umyśle czytelnika budzi się podejrzenie, że poeta rozmyślnie wybrał niebywale bogatą szatę graficzną, gdyż sam nie jest zupełnie przekonany o wartości swoich wierszy i woli, by czytelnik całej uwagi na nich nie skupiał.

Gliwa opisuje swój warsztat pracy następująco:

Pracownia w której te książki powstają zwie się OFICYNĄ dlatego, że tylko ta nazwa określa jej charakter wiernie. Jest to bowiem nieduża pracownia prywatna — w tym wypadku grafika i typografa w jednej osobie — mieszcząca się w domu mieszkalnym z przyległościami a wyposażona w sprzęt potrzebny do wykonywania prac graficznych i druków artystycznych we własnym zakresie. Ta właśnie wyjątkowa okoliczność całego scalenia grafiki z drukarstwem decyduje o kunszcie wydawnictw bibliofilskich, w których ścisłe zespolenie aspektów artystycznych jest nieodzownym składnikiem ich typograficznej urody.

Tak więc, choć Gliwa nigdy z Tyszkiewiczem nie współpracował, jego pracownia jest kontynuacją florenckiej Oficyny. I właśnie w Oficynie Gliwy powstał w r. 1962 ręcznie złożony i tłoczony sympozjon pt. „Samuel Tyszkiewicz artysta-typograf", w którym znajdujemy jakże wymowny opis sztuki Tyszkiewicza pióra Tymona Terleckiego:

Ale najistotniejsze w dziełach Tyszkiewicza jest to co stanowi istotę książki, jej ciało, jej system proporcji, jej kanon urody: typografia, wybór i układ czcionki, kompozycja stronicy. Dla kogoś, kto jest wrażliwy na ten artyzm, każda kartka każdej książki Tyszkiewicza jest źródłem estetycznej rozkoszy. Jak na sztychu, czuje się tu ciągle świadomą myśl, niezawodność smaku, precyzję rzemiosła. Czuje się, choćby się o tym nie wiedziało, że książka nowoczesna narodziła się z drzeworytu, jak książka starożytna naro-

dziła się bodaj z inskrypcji na pomniku. Czuje się, że dziś jest ona częścią grafiki, że może i powinna być dziełem sztuki graficznej.

Ale czytelnika, który podziela moje poglądy o stosunku poetów do sztuki typograficznej, nie zdziwi także następująca opinia Terleckiego: „To prawda, że nie wszystko co wyszło z oficyny nicejskiej (Tyszkiewicza) jest jednakowo ważkie, przeciwnie są i zbiory o wartości przejściowej lub zgoła prywatnej". Innymi słowy, ci, którzy umieją interpretować dyplomatyczny styl dra Terleckiego, śmiało mogą wnioskować, że Tyszkiewicz życie strawił na drukowaniu grafomanii.

Zachodzi więc pytanie, czy tak pojęta praca typograficzna nie opiera się na gruntownie błędnej estetyce. Dziurawy dzbanuszek traci swą użyteczność w kuchni, ale jeśli ma ładny kształt i kolor, nic nie przeszkadza, byśmy go postawili na kominku i cieszyli się jego wyglądem. Ale dopóki mamy do czynienia z książką, której kartki zawierają słowa drukowane czytelną czcionką (tzn. jeśli litery nie zostały zupełnie zniekształcone dla uzyskania efektu czysto *graficznego)*, nie potrafimy (nawet w znaczeniu ściśle fizjologicznym) zignorować literackiej wartości książki; podobnie, zupełnie mechanicznie czytamy absolutnie nas nie interesujące reklamy na ulicy. Dlatego typograf-artysta może albo wybrać tekst literacko wartościowy, albo zrezygnować z semantyki i traktować czcionki wyłącznie jako element graficzny. Ale w tym drugim wypadku nie ma chyba sensu mówić o „książce", lepiej mówić o albumie grafiki.

Czy jednak dlatego, że poetów peszy nadmierne bogactwo typograficzne, starannie wykonana książka musi koniecznie być artystycznym nieporozumieniem? Zastrzeżenia debiutującego poety nie dotyczą przecież wydań klasyków. Pomijając niewolników manii kolekcjonerskiej, odbiorcą bibliofilskiego wydania „Trenów" będzie miłośnik poezji, dla którego książka będzie dodatkową przyjemnością estetyczną i będzie także wyrazem hołdu złożonego ulubionemu poecie. A także żyjący poeta, którego twórczość jest już znana, nie pogardzi „wyborem wierszy" wydanym ze szczególną rewerencją.

W obecnym wypadku jednak sytuacja wygląda niezadawalająco właśnie dlatego, że w emigracyjnych warunkach Gliwa nie może oczywiście pozwolić sobie na druk polskich klasyków i dlatego, że na emigracji jest bardzo niewielu poetów, a wśród nich ilu może sobie na ekstrawagancje bibliofilskie pozwolić?

Książki Gliwy cieszą się dużym uznaniem fachowców w Polsce[3] i na Zachodzie. Gliwa wydał już kilka rzeczy po angielsku i po francusku, a w planie ma dalsze obcojęzyczne pozycje (m.in. listy Dylana Thomasa i słuchowisko radiowe Sylvii Plath). Nie są to arcydzieła, ale w każdym razie są ciekawsze od jego polskich rzeczy, z wyjątkiem antologii Janty, wydanych ostatnio.

3. O pracy Gliwy informuje polskie wydanie „Dziejów książki" Svenda Dahla (Ossolineum, 1965).

Do jakiego stopnia mamy winić „drukarza-wydawcę" za to, że duży procent polskiego materiału, który do niego dotarł jest tak beznadziejny?

TYTUŁ. Tytuł niniejszego artykułu jest cytatą zaczerpniętą z wiersza Bronisława Przyłuskiego pt. „Młoda Polska" w tomiku pt. „Listy z pustego domu", który Gliwa wydał w r. 1964.

Adam CZERNIAWSKI

Żywe i martwe słowa

Nie wiem co czytają nasi poeci na emigracji? Czy w ogóle czytają, czy też wytrąceni z ich „poetyckiego" warsztatu pracą zarobkową, mają tylko czas na odnotowanie — w ich mniemaniu — kilku cennych linii, bez których poezja nasza nie miałaby chyba prawa sięgać po zasłużone dziś mirty i laury?

O ile uwierzymy, że wyobcowanie wyjaławia, to poeta powinien być podwójnie czujny i odporny na jego skutki, gdyż w odróżnieniu od prozaika, tworzy on na najbardziej wyczulonych obszarach językowych, a słowo które dla prozaika jest tylko środkiem, w twórczości poety staje się jego sednem. Zwłaszcza warsztat dzisiejszego poety, po druzgocącej wojnie i pod naporem szybko następujących zmian, nie jest już tylko poetycką pracownią, ale właściwie retortą alchemika, w której słowo poddane jest bezustannemu ciśnieniu wyobraźni, poetyckiej sprawdzalności, jego ciężar „życiowy" konfrontowany jest stale z dwudziestoczterogodzinnym dniem, nie mówiąc już o weryfikacji politycznej. Choć poeta jest dziś bardziej niż kiedykolwiek indziej samowystarczalny w doborze środków, to — po odrzuceniu obowiązujących kiedyś praw i kanonów — pragnąc być sobą, powinien zdawać sobie sprawę z zachodzących w poezji przemian i skali ich osiągnięć. Stałe powoływanie się na Mickiewicza, czy nawet trudniejszego Norwida, jest dziś zdawkowym wykrętem, lub — jak to widać w zacofanym i opóźniającym się wciąż środowisku emigracyjnym — patriotycznym liczmanem. Zresztą każdy nieuk — minister czy generał — może dziś względnie śmiało poruszać się wśród osłuchanych nazwisk wieszczów, zręcznie powołać się na okolicznościowy cytat, natomiast gdy chodzi o literaturę współczesną, o jej język, dostaje kłopotliwych rumieńców i traci grunt pod nogami.

Chyba to samo można powiedzieć o oficjalnej emigracyjnej krytyce, którą uprawiają różni profesorowie, lingwiści, historycy literatury, osoby, dzięki powojennemu zbiegowi okoliczności wyniesione na stanowiska przerastające ich możliwości. Oni też wolą

napisać rozprawę o Mickiewiczu lub Sienkiewiczu, dodać do bogatej już na ten temat literatury, jeszcze jeden tom cytat i kompilacji, niż, na przykład, podjąć się analizy prozy Gombrowicza, z którą, jak z całym współczesnym językiem, stracili już kontakt.

Zagrażające emigracji niebezpieczeństwo wtórności językowej, podsycane i emablowane przez tak zwaną „górę", tak naukową jak i polityczną, powinno trzymać nas, piszących, w bezustannym pogotowiu. Czujność nasza nie będzie nigdy za duża, a praca nad słowem, wysiłkiem ponad siły. Sprawdzianem natomiast, a także ostrzeżeniem dla poety emigracyjnego będzie fakt, gdy potrafi on dostrzec nie tylko momenty, które jego wiersz dzielą, ale i zbliżają do twórczości Herberta, Białoszewskiego, Bieńkowskiego, Karpowicza, Szymborskiej itd., nie mówiąc już o takiej bazie polszczyzny, jak wiersz Różewicza, czy proza autora „Pierwszej świetności".

Mickiewiczowski kwiat nowości nie jest tylko pięknym poetyckim zwrotem; zawiera on prawdę, od której uzależniony jest byt wiersza, jego żywotność, w wielkim, narastającym stale katalogu literatury.

Uwagi te nasunęły mi się przy czytaniu wymienionych poniżej wydawnictw Oficyny Poetów i Malarzy oraz Oficyny Gliwy*. W wielu wierszach, jak i w tłumaczeniach, wyczuwa się często kostnienie słowa i niedowład językowy. Zdania, które poeta uchwycił w ich napięciu artystycznym, pełne energii i plastyki, nagle schodzą na manowce, tracą kontakt z ich autorem, a potem jak przez mgłę, rysuje się jeszcze ich konstrukcja, ale brak w niej jakiegokolwiek życia. Zwłaszcza u Marka jest pełno wierszy zbudowanych nienagannie, ale lektura ich nie wywołuje żadnego wzruszenia. Gdyby Marek zrezygnował z ilości, a popracował nad jakością, może udałoby się mu zamiast stustronicowego tomu, dać skromniejszy ale bardziej dojrzały wybór.

U Reya widać bezpośredniość poetycką i kontakt z językiem, ale w polszczyźnie jego czuje się jakąś szablonową nonszalancję, schematyczną drwinę i niepotrzebną groteskę, co w ostateczności nawet dobry wiersz wykoślawia i zamienia w mędrkującą tyradę.

Szkoda, że Urbańska w swoich „Lirykach" nie utrzymała młodopolskiej, melodyjnej rytmiki, która w jej ujęciu jest wzruszająca i pełna secesyjnego uroku, natomiast tam, gdzie stosuje ona formę nowoczesną, jest mimo swej poprawności mało przekonywująca.

---

* Marian Czuchnowski: *Angielska zima* 1947, *Poemat z szuflady*, str. 32. Londyn, 1966, Oficyna Poetów i Malarzy.

Sydor Rey: *Własnymi słowami*, str. 94. Londyn, 1967, Oficyna Poetów i Malarzy.

Mieczysława Urbańska: *Liryki*, str. 39. Oficyna Stanisława Gliwy, 1966, strona graficzna S. Gliwy.

Zdzisław Marek: *W cieniu*, str. 109. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1967.

Walt Whitman: *Liście traw*, przełożyła Jadwiga Lipińska, str. 33. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1966.

2

Czuchnowski jest wybitnym i konsekwentnym poetą. Jego twórczości, zasługującej na studia i opracowania krytyczne, jego poetyce, tak bardzo odrębnej i indywidualnej, należy się w poezji współczesnej odrębne miejsce.

Nie chcę operować banałami. Moja recenzja o dorobku Czuchnowskiego byłaby jedynie pochlebną laurką, dla zapomnianego poety, którego rówieśnicy, o daleko mniejszym talencie, chodzą dziś w glorii sławy. Wierzę jednak, że osoba jego doczeka się biografa, a poezja rzeszy wielbicieli.

Wacław IWANIUK

Nadesłane nowości wydawnicze

Sobór Watykański Drugi. Konstytucje, Dekrety, Deklaracje. Tekst łacińsko-polski. Str. 781. (Wyd. Éditions du Dialogue. Société d'Éditions Internationales, Paris, 1967).

CHOCIANOWICZ (Wacław). *Dzieje 1 Pułku Artylerii Lekkiej Legionów Józefa Piłsudskiego.* Str. 587. (Nakładem b. Żołnierzy Pułku, ich Rodzin, Przyjaciół i Subskrybentów, Londyn, 1967).

GRABOWSKI (Zbigniew). *Ojczyzna Europa.* T. I-II. Str. 484 i 4 nlb. (Gryf Publications, Ltd., Londyn, 1967).

JEŻEWSKI (Bohdan O.). *Polski Londyn. Polish Guide to London.* Str. 63 i 1 nlb. Mapka centralnego Londynu. (Wyd. Taurus, Londyn, 1967).

TABORSKI (Bolesław). *Nowy teatr elżbietański.* Str. 517 i 3 nlb. Indeks nazwisk, sztuk i teatrów. Z fotografiami w tekście. (Wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1967, cena zł. 60,—).

TABORSKI (Bolesław). *Lekcja trwająca.* Poezje. Str. 86 i 2 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1967, cena 15 zł.).

TOPOROWSKI (Marian). *Strop.* Wspomnienie warszawskie. Str. 36 i 4 nlb. (Wyd. T-wo Przyjaciół Książki, Warszawa, 1967).

BRANDSTAETTER (Roman). *Jezus z Nazaretu.* T. I.: Czas Milczenia. Str. 370 i 2 nlb. (Wyd. Instytut Wydawniczy „Pax", Warszawa, 1967, cena 35 zł.).

KULSKI (Julian). *Zarząd miejski Warszawy 1939-1944.* Str. 187 i 1 nlb. (Wyd. Państwowe Wyd. Naukowe, Warszawa, 1964).

JAGODZIŃSKI (Zdzisław). *Rząd brytyjski wobec Powstania Poznańskiego 1848 roku.* Str. 59-102. (Nadbitka z T. XIII „Tek Historycznych", Londyn, 1964-65).

HERLING (Gustaw). *The Island.* Three Tales: The Island, The Tower, The Second Coming. Tłum. Ronald Strom. Str. 151 i 3 nlb. (Wyd. The World Publishing Company, Cleveland & New York, 1967, cena dol. 4,95).

DATA	POLITYKA	KULTURA I NAUKA	RÓŻNE
16-6-67	Po rozmowie z prezydentem de Gaullem premier Kosygin oświadczył, udając się do Nowego Jorku, że jedynym celem Sowietów jest zapewnienie pokoju na Bliskim Wschodzie.		
18-6-67	Chiny przeprowadziły pierwsze doświadczenie z bombą wodorową, której siłę wybuchu specjaliści amerykańscy określają na 2 do 7 milionów ton TNT.	*Życie Literackie* krytykuje politykę wydawniczą wielkich nakładów bezużytecznych książek jak np. „Myśl Polityczna i Wojskowa w NRD" — 100 tys. nakładu.	Uroczystości 1000-lecia Chrztu Polski odbyły się w Łodzi z udziałem kardynałów Wyszyńskiego i Wojtyły oraz 35.000 wiernych.
19-6-67	Gomułka atakuje Żydów obywateli polskich sympatyzujących z Izraelem, używając zwrotu „nie chcemy piątej kolumny".		
21-6-67	Prezydent de Gaulle potępił Stany Zjednoczone za „interwencję" w Wietnamie i obciążył Waszyngton odpowiedzialnością za rozprzestrzenianie ducha wojny, co doprowadziło do konfliktu na Bliskim Wschodzie i wybuchu chińskiej bomby wodorowej.		Około 100 demonstrantów urządziło na lotnisku Okęcie „chińskie pożegnanie" opuszczającemu Warszawę ambasadorowi Izraela Dov Sattath.
22-6-67	Przewodniczący Prezydium Najwyższego Sowietu, Podgorny, zapowiada w Kairze wznowienie dostaw broni dla Egiptu.		
23-6-67	Po niespodziewanym spotkaniu w Glassboro prezydent Johnson i premier Kosygin wyrazili zadowolenie z rozmów i zapowiedzieli następne spotkanie 25. czerwca.	K. Paustowski, jeden z najwybitniejszych pisarzy rosyjskich, który niedawno występował w obronie Sołżenicyna, został odznaczony Orderem Lenina.	Cassius Clay, mistrz świata w boksie i jeden z przywódców murzyńskich, skazany został na 5 lat więzienia za odmowę służby wojskowej.
25-6-67	„Świat stał się nieco mniej niebezpieczny" — powiedział prez. Johnson po 10 godzinach rozmów z prem. Kosyginem.		
		Angielski przekład sztuki poety i dramaturga czeskiego, M. Kudery, pt. „Właściciele kluczy" nie oddaje ani dramatycznego spięcia ani zalet języka utworu — pisze prasa brytyjska po wystawieniu tej sztuki w Coventry.	Kardynał Wojtyła, który otrzymał z rąk Papieża kapelusz kardynalski, przeprosił Ojca Świętego za nieprzyjemności uczynione mu „w imieniu naszego narodu i naszego kraju".
27-6-67	Parlament izraelski uchwalił ustawę wprowadzającą w Jerozolimie jednolitą administrację.	Władze partyjne na Węgrzech skrytykowały film młodego reżysera węgierskiego F. Kosa „Dziesięć tysięcy słońc". Film ten zdobył 2 nagrody w Cannes.	Rada GATT'u zatwierdziła przyjęcie Polski na pełnego członka tej organizacji.
30-6-67	Nowo-mianowany szef sowieckiej służby bezpieczeństwa Juri Andropow został 9-tym członkiem-kandydatem Politbiura.	Na 4 Zjeździe pisarzy czechosłowackich uchwalono wniosek domagający się zmiany prawa prasowego i ograniczenia cenzury jedynie do zagadnień obrony Państwa. Postawiono też wniosek rewizji Konstytucji w tym sensie by władze i obywatele byli równymi partnerami. W rezultacie usunięto ze Związku Vaculika,	Rozgłośnia Belgradzka zlikwidowała po 20 latach codzienne audycje w języku polskim.

DATA	POLITYKA
2-7-67	
3-7-67	Do Moskwy przybyli z wizytą oficjalną premier francuski Pom pidou i min. Couve de Murville. Jednocześnie w Paryżu ogłoszo no, że prez. de Gaulle uda się z wizytą do Warszawy 6 września
4-7-67	Na dorocznym zjeździe Kongresu Równości Rasowej w Oakland w Kalifornii przywódcy murzyńscy wypowiadali się za utworze niem niezależnej siły politycznej i ko-egzystencją a nie integracją rasową w Ameryce.
6-7-67	Mimo ogłoszonego embargo Francja ma dostarczyć Izraelowi 50 samolotów typu Mirage M5.
7-7-67	55-letni marszałek Iwan Jakubowski mianowany został naczel nym dowódcą wojsk Układu Warszawskiego.
8-7-67	4-letni program oszczędności ogłoszony przez rząd NRF przewi duje znaczne ograniczenie wydatków na obronę.
9-7-67	Z okazji 50 rocznicy Rewolucji Rosjanie pokazali 7 nowych typów samolotów bojowych, m.in. o zmiennej powierzchni skrzy deł, jakich nie ma jeszcze w użyciu na Zachodzie.
12-7-67	Przywódcy wszystkich europejskich państw komunistycznych, z wyjątkiem Rumunii, potępili na konferencji w Budapeszcie, Izrae i Stany Zjednoczone za „agresję".
13-7-67	Prezydent de Gaulle zakończył rozmowy z kanclerzem Kiesinge rem w Bonn na temat bezpieczeństwa Europy w latach 70-tych Według niektórych doniesień prasy niemieckiej i francuskiej pre zydent nalegał, by NRF uznała granicę na Odrze i Nysie.

KULTURA I NAUKA	RÓŻNE
Kohouta, Havelę i Klima. Jest zapowiedziana ponowna czystka w redakcji *Literarni Nowiny*.	
	Karol Modzelewski, współautor głośnego *Listu otwartego do partii* został zwolniony z więzienia.
Wpływowy angielski kwartalnik polityczno-literacki *The Quarterly Review*, zamieszcza obszerny artykuł „The Mood of Europe — 1967" pióra dr. Z. Grabowskiego.	Dowiadujemy się z opóźnieniem, że 16. IV. 1967 został w Sao Paulo odsłonięty pomnik Tysiąclecia Polski Chrześcijańskiej, dzieło inżynierów architektów: Wiktora Reifa, Mieczysława Grabowskiego i Mirosława Szabuniewicza. Ponadto w dn. 12. 3 1967 pod egidą Komitetu Millenijnego w Sao Paulo, poczta brazylijska wydała znaczek: Millenium Chrztu Polski z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej i z Orłem w koronie.
Dlaczego władze konfiskują prywatnie przesyłane czasopisma zachodnie? Taką skargę zamieszcza tygodnik czechosłowacki *Literarni Noviny*. Autor notatki domaga się zwrotu skonfiskowanych numerów *Spiegla*.	Pogrzeb zmarłego w Londynie pułk. pil. Jerzego Bajana.
Książka B. Taborskiego „Nowy Teatr Elżbietański" wywołała wiele pochlebnych recenzji w *Dialogu*, *Życiu Literackim*, *Miesięczniku Literackim* i w *Tygodniku Powszechnym*.	
	Śmierć jednej z najwybitniejszych aktorek angielskich — 53-letniej Vivien Leigh.
Jerzy Skolimowski zdobył na Festiwalu Filmowym w Berlinie główną nagrodę za film „Le départ".	Telewizja amerykańska nadała przeszmuglowany z Rosji film-reportaż o „Chruszczowie na wygnaniu" zawierający jego wspomnienia z okresu sprawowania władzy.
Według wiadomości z Pragi pisarze rosyjscy wyrazili w piśmie do pisarzy czechosłowackich poparcie dla pisarza Jana Benesa, który ma stanąć przed sądem w Pradze. Benes zorganizował protest wobec uwięzienia Siniawskiego i Daniela.	Policja w San Francisko aresztowała słynną parę tancerzy Margot Fonteyn i Rudolfa Nureyewa pod zarzutem udziału w przyjęciu na którym palono marijuanę.

DATA	POLITYKA	KULTURA I NAUKA	RÓŻNE
16-7-67	Po wyrażeniu zaniepokojenia przez Waszyngton — minister Skarbu NRF, Strauss, zaprzeczył jakoby nowe oszczędności oznaczały redukcję armii niemieckiej o 60 tys. żołnierzy.	Festiwal Sztuki w Amsterdamie otwarto wystawieniem „Króla Ubu" po szwedzku z muzyką Krzysztofa Pendereckiego.	Tadeuszowi Nowakowskiemu, który w *Kulturze* dopuścił się krytyki A. Brychta organ MON'u *Żołnierz Wolności* zapowiada, że za karę „nigdy nie ujrzy brzegów Wisły".
17-7-67		Dwóch członków zespołu redakcyjnego sowieckiej *Prawdy*, Burlackiego i Karpińskiego, zwolniono z pracy za napisanie artykułu przeciw cenzurze w *Komsomolskiej Prawdzie*.	
19-7-67	Wielka Brytania zmniejszy swe siły zbrojne o 20% do 1975 roku i wycofa swe wojska z baz „na wschód od Suezu".	Po 14-dniowym procesie sąd w Pradze skazał pisarza Jana Benesa na 5 lat więzienia, a obywatela amerykańskiego P. Tigrida zaocznie na 14 lat więzienia.	
20-7-67	Kanclerz NRF, Kiesinger, oświadczył na zebraniu przywódców CDU, że prezydent de Gaulle jest zdania, iż uznanie granicy na Odrze i Nysie polepszyłoby znacznie stosunki NRF z Europą Wschodnią. Kiesinger uważa jednak, że przedwczesne uznanie granicy nie byłoby pożyteczne.	Jeden z czołowych dzienników duńskich *Politiken* zamieszcza obszerny artykuł wraz z fotografią, poświęcony twórczości Witolda Lutosławskiego, który ma przybyć na tegoroczny Festiwal do Kopenhagi, gdzie otrzyma nagrodę im. Sonninga.	Prezydent Johnson proklamował tydzień „Narodów Ujarzmionych". Z tej okazji burmistrz Nowego Jorku wręczył podobną proklamację przewodniczącemu Zgromadzenia Europejskich Narodów Ujarzmionych S. Korbońskiemu.
22-7-67	Trzej generałowie lotnictwa PRL, którzy sprzeciwili się anty-izraelskiej polityce partii zostali zwolnieni ze stanowisk. Są nimi: d-ca lotnictwa myśliwskiego gen. dyw. C. Mankiewicz, jego zastępca do spraw politycznych gen. bryg. T. Dąbkowski i szef sztabu lotnictwa gen. J. Stamieszkin.	Prasa angielska zamieszcza pochlebne recenzje z koncertów orkiestry symfonicznej Polskiego Radia pod batutą J. Krenza na festiwalu w Cheltenham.	Sąd Najwyższy w Algierze wydał decyzję ekstradycji b. premiera Konga Czombe, którego porwano z samolotu. Decyzja podlega zatwierdzeniu prezydenta.
24-7-67	Rozruchy na tle rasowym w Detroit. Prezydent Johnson wysyła na pomoc 4.700 żołnierzy wojsk regularnych.	Fundacja Lorda Astora ofiarowała Bibliotece Polskiej w Londynie 3.000 dolarów.	Gwałtowne trzęsienie ziemi w Zachodniej Turcji spowodowało śmierć co najmniej 70 osób.
26-7-67	Prezydent de Gaulle wyraża w czasie swej wizyty w Kanadzie poparcie dla ruchu separatystycznego mniejszości francuskiej w Kanadzie.	Dr Andrzej Vincenz został profesorem slawistyki na uniwersytecie w Heidelbergu. Jest to pierwszy wypadek nominacji Polaka od czasu wojny.	Spotkanie Papieża Pawła Szóstego z Patriarchą kościoła Wschodniego w Konstantynopolu.
27-7-67	Walki między Nigerią a rozłamową prowincją Biafrą.		

DATA	POLITYKA
30-7-67	Pekin przestrzega przywódców wojskowych w przemysłowym ośrodku Chin Wuhan, że władze centralne podejmą zdecydowaną akcję, jeśli wojsko w tym mieście nie podporządkuje się Mao Tse-tungowi.
1-8-67	Prez. de Gaulle oświadczył w Paryżu, że Francja popiera „wolnościowe cele" Francuzów kanadyjskich.
3-8-67	Komisja Kongresu amerykańskiego ogłosiła wyniki swych badań stwierdzając, że już w pierwszej połowie lat 70-tych Chiny stanowić będą groźbę nuklearną dla Ameryki.
4-8-67	Po wizycie min. Brandta w Bukareszcie Rumunia i NRF podpisały porozumienie o współpracy gospodarczej i technicznej. Jednocześnie NRF zawarła porozumienie z Czechosłowacją o utworzeniu misji handlowych w obu tych krajach.
6-8-67	Izrael i Jordania zawierają porozumienie co do powrotu uchodźców arabskich na tereny okupowane przez Izraela.
7-8-67	W Paryżu ogłoszono, że w czasie wizyty w Polsce prez. de Gaulle wysłucha mszy św. w Gdańsku i wygłosi przemówienie przez telewizję **warszawską.**
8-8-67	
10-8-67	Sowiecka *Prawda* twierdzi, że działająca w Egipcie „frakcja proamerykańska" stara się zastraszyć społeczeństwo, że bez pomocy amerykańskiej Egipt nie rozwiąże trudności gospodarczych. W przemówieniu telewizyjnym prezydent de Gaulle oświadczył, że Francja dąży do pokoju i niezależności, aby nie stać się polem bitwy super-mocarstw.

KULTURA I NAUKA	RÓŻNE
W Paryżu zmarł wybitny poeta i pisarz Aleksander Wat.	Śmierć ostatniego z dynastii — Alfried Krupp'a.
Na 35 Kongresie Międzynarodowego PEN klubu w Abidżanie, na Wybrzeżu Kości Słoniowej uchwalono rezolucję wzywającą Czechosłowację, Grecję, Portugalię, Sowiety i Hiszpanię do uwolnienia więzionych pisarzy. Za rezolucją głosowali m.in. delegacja czechosłowacka z jej przewodniczącym Jiri Muchą na czele.	Konsulat Gen. PRL w Paryżu odmawia wydania wiz do Polski osobom pochodzenia żydowskiego.
Zespół architektów z Krakowa jest jednym ze zdobywców pierwszej nagrody w konkursie budowy domów rodzinnych zorganizowanym przez Wspólnotę Węgla i Stali.	Władze amerykańskie ogłosiły, że w pożarze lotniskowca Forrestal, u wybrzeży Wietnamu, poniosło śmierć ponad 180 osób.
	Poznański oddział Związku Literatów Polskich uchwalił rezolucję potępiającą „agresję" Izraela i obywateli polskich pochodzenia żydowskiego solidaryzujących się z Izraelem. Iwaszkiewicz wezwany, przez poznański oddział do ogłoszenia podobnej rezolucji w imieniu Zarządu Głównego, miał kategorycznie odmówić.
Zespół polskich urbanistów i architektów wygrał, w kooperacji z włoską firmą „Tekne", przetarg funduszu specjalnego ONZ na opracowanie projektów urbanistycznych na wybrzeżu adriatyckim w Jugosławii.	
	Władysław Mnacko został pozbawiony obywatelstwa i wykluczony z partii komunistycznej Czechosłowacji; odebrano mu tytuł zasłużonego artysty i wszystkie ordery. Sankcje zostały spowodowane „podróżą protestacyjną" Mnacki do Izraela.
	W Londynie zmarł 60-letni publicysta i dziennikarz emigracyjny Aleksander Bregman.

Listy do Redakcji

Haan-Rheinl, 11 lipca 1967 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Z wielkim zainteresowaniem czytałem „Konfrontacje" w ostatnim numerze Waszego poczytnego czasopsma. Mam do tego tylko małe zastrzeżenie. Otóż anonimowy autor zapewnia, że „rdzenni Ślązacy", to nie Niemcy. Jako dowód przytacza fakt, że dzieci tych Ślązaków nie rozumieją po niemiecku. Proszę wybaczyć, ale ta argumentacja przypomina mnie jednego z mych byłych nauczycieli polskich, który stale nas, to znaczy swych górnośląskich uczniów, zapewniał, że jesteśmy w podświadomości Polakami. Nawiasem chciałbym dodać, że nas to strasznie ubawiło. A to, że dzieci nie mówią po niemiecku — mój Boże, ilu jest dzieci polskich w NRF, którzy jeszcze gorzej od moich mówią po polsku, a czasem słówka nie znają! A przecież nie są Niemcami.

Nie chcę jednak przez to zaprzeczyć temu, że są i polscy Ślązacy — choć jest ich coraz mniej. Po prostu „nawrócili" się i większość żyje dziś w NRF. Ale to już nie zasługa NRF, ani niemieckich Ślązaków, lecz za to — mam na myśli wspaniałe dzieło tzw. Repolonizacji — należy się cześć i chwała b. ministrowi Ziem Odzyskanych, tow. Wiesiowi.

Jednak mogę autora zapewnić, że Ślązacy, którzy wyjechali z ich ojczyzny, dostrzegają różnice między PRL i Narodem Polskim. Do ostatniego zawsze będą żywić wielki szacunek. Ja do nich się zaliczam.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku,

mgr. *Joachim Georg GÖRLICH*

◆

Neapol, 9 lipca 1967.

Drogi Panie Redaktorze,

Okazuje się że Czwarty Zjazd pisarzy sowieckich miał swoje małe polonicum, o czym nie wiedziałem pisząc mój komentarz do lipcowego numeru *Kultury*. Profesor A. M. Ripellino, wybitny rusycysta włoski, przysłuchiwał się obradom Zjazdu jako jeden z gości zagranicznych. W jego sprawozdaniu (*L'Espresso* z 18 czerwca) czytam o przemówieniu delegata polskiego: „Niegodny Polaka był serwilizm Iwaszkiewicza".

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

◆

LIST OTWARTY
do
Komitetu Obywatelskiego Pomocy Uchodźcom Polskim
w Londynie,
na ręce p. Konsula Dr. K. Poznańskiego

Towarzystwo Przyjaciół Polskiego Szpitala w Penley, (organizacja złożona całkowicie z Walijczyków i Anglików) bardzo wydajnie pracująca dla dobra chorych Polaków przebywających w szpitalu (zjeżdżają tutaj chorzy

z całej Anglii) ogłosiło Apel, w którym zwraca się o pomoc finansową dla polepszenia warunków pomieszczeniowych w szpitalu przez wyłożenie cementowych podłóg płytkami.

Apel z listem Naczelnego Lekarza został również przesłany do Komitetu Obywatelskiego na ręce Dr. K. Poznańskiego.

W odpowiedzi na to, w imieniu Zarządu Komitetu Obywatelskiego, została przekazana symboliczna kwota £ 10 z zaznaczeniem ze wysiłek Zarządu zostaje skierowany obecnie w urządzenie domu dla starszych osób potrzebujących pomocy, który ma powstać obok istniejącego już „Antokolu".

W sprawozdaniu ogłoszonym przez Komitet Obywatelski znalazła się pozycja £ 25, którą wpłacono w ciągu 20 lat istnienia tego jedynego w świecie Zachodnim szpitala dla starszych ludzi, oraz od kilku lat chorzy dostawali malutkie prezenty na Święta.

W Szpitalu tym leczyło się kilkanaście tysięcy rodaków a jego pojemność skurczona do 108 łóżek — na skutek braku zapobiegliwości organizacji polskich — jest miejscem w którym starzy ludzie dokonują swego żywota w polskim otoczeniu. Wydaje się słuszne, by doznawali jak najbardziej troskliwej moralnej i materialnej opieki.

Dysponujący £ 100.000, a podobno większym jeszcze kapitałem, Komitet Obywatelskiej Pomocy Uchodźcom ofiarowuje jedynie symbolicznie £ 10.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że taka uchwała Zarządu Komitetu Obywatelskiego może znaleźć uzasadnienie w starczym zaślepieniu trzymania pieniędzy aż do śmierci, by ci którzy je odziedziczą mogli je łatwo utracić. Godnym uwagi jest również fakt, że ci panowie zdrowi i czerstwego zdrowia 70-latki interesujący się zagadnieniem starszych ludzi nie znaleźli nawet symbolicznego czasu, by kiedyś — w ciągu 15 lat istnienia tego ośrodka — odwiedzić ten szpital i zapoznać się z tym poważnym problemem staruszków. Problem ten stanowi już od 15 lat zagadnienie i zapewne jeszcze co najmniej przez następne 15 lat będzie zagadnieniem palącym, bo później nie będzie potrzeba takiego domu starości, bo ci którzy ją osiągną będą wtedy w znikomej ilości i z własnymi rodzinami.

Ten wypadek oszczędnej gospodarki funduszami publicznymi jest chyba nie na miejscu i wymaga publicznego wyjaśnienia i co najmniej szybkiej poprawki. Fundusz £ 100.000 i symboliczna ofiara £ 10 co nie wynosi 2 sh. na jednego chorego staruszka, którzy wiele lat pracowali i walczyli dla Polski, a teraz niejednokrotnie trzeba ich chować we wspólnym grobie — to proporcja która może przyprawić nie o symboliczny ból głowy a o niesymboliczny zawrót głowy.

Niech żyją Ofiarodawcy!

Złożyłem £ 1 na ten cel ze swych osobistych, zarobionych pieniędzy oraz stawiam wniosek, by Komitet Obywatelski ofiarował £ 2.000 dla tych którzy już potrzebują pomocy i przebywają na starość w szpitalu i przypuszczam że opinia publiczna poprze mój wniosek, a Panu Prezesowi oraz Zarządowi i Komitetowi życzę owocnych obrad nad wnioskiem.

NOWAK Wojciech, Ppłk. W.P.
Oficer 1 Dyw. Grenadierów, Delegat na Zjazd Polaków
i Wice-Przewodniczący Okręgowej Komisji Delegatów,
oraz Head-Porter Szpitala w Penley.

◆

Instytut Literacki przekazuje T-wu Przyjaciół Polskiego Szpitala w Penley sumę £ 15.00.00

SPRAWA ZWOLNIENIA GEN. SOSNKOWSKIEGO ZE STANOWISKA NACZELNEGO WODZA

Wbrew jakimkolwiek z mej strony intencjom spowodowałem poruszenie tej drażliwej sprawy i w następstwie stałem się przedmiotem ataków, p. Józefa Mateckiego z Waszyngtonu, redaktora wydanych w ub.r. w Londynie „Materiałów historycznych" gen. K. Sosnkowskiego. Pasowały mnie one po prostu na autora sensacyjnej wiadomości, „o której chyba nikt nie słyszał choćby w postaci plotki przez 27 lat" (cytat z listu J. Mateckiego do „Horyzontów", nr 129, luty 1967).

Pomijając posmak sensacyjności niezbyt dla wszystkich Polaków przyjemnej, winny jestem opinii polskiej wyjaśnienie w jaki sposób doszło do całej tej historii. Dotyczy ona ważnego szczegółu naszej historii jakim był fakt zwolnienia gen. Sosnkowskiego ze stanowiska Naczelnego Wodza w krytycznym okresie wojny, bo podczas rozgrywających się w Warszawie tragicznych walk powstańczych, pod decydującym naciskiem rządu brytyjskiego we wrześniu 1944 roku. Geneza poruszenia tej historii była następująca:

W pierwszym numerze „Z nurtem życia", niezależnego działu dyskusyjnego, związanego z „Horyzontami", pojawiła się entuzjastyczna notatka o „odważnym proteście", jakim był rozkaz dzienny gen. Sosnkowskiego wydany na 5-tą rocznicę ataku hitlerowskiego na Polskę. W zespole redakcyjnym pisma znalazłem nazwisko jednego ze swych znajomych, z którym podtrzymuję dość żywy kontakt na tle jego zainteresowań najnowszą historią Polski, który okres wojny spędził w obozie jenieckim w Niemczech. Wiedziony pierwszym odruchem napisałem do niego list, przedstawiający w jakich okolicznościach doszło do dymisji gen. Sosnkowskiego i dlaczego rząd polski nie mógł stanąć w obronie autora rozkazu. Przytoczyłem z pamięci wersję pierwszych słów rozkazu, pisząc, że „były to słowa niemal żywcem wzięte z propagandowego repertuaru hitlerowskiego ministra Goebbelsa, który stale operował tym, iż Polska została przez „zdradziecką Anglię" podstępnie wciągnięta w wojnę". Po 22 latach — nie rozporządzając w miejscu obecnego mego zamieszkania żadnymi materiałami dotyczącymi tej historii, napisałem, iż okazało się że rozkaz dzienny polskiego Naczelnego Wodza został ogłoszony przez radio berlińskie na 24 godzin przed czasem, kiedy do wiadomości ogółu polskiego podało go londyńskie Radio Polskie. Ten to szczegół, do dziś dnia nie wyjaśniony i nie wytłumaczony — napisałem dalej — spowodował interwencję angielskiego ministra spraw zagranicznych Edena u prezydenta Raczkiewicza. W jej wyniku wobec jaskrawości przedstawionych dowodów, musiał się on wycofać ze swojej uporczywej walki w obronie pozycji Sosnkowskiego i podpisać jego dymisję.

Odbiorca mojego listu z uwagi na jego sensacyjną treść postanowił z niego zrobić użytek. Ogłosił go na łamach „Z nurtem życia" w numerze na listopad-grudzień 1966 r. podając na wstępie, iż jest to nadesłane przeze mnie sprostowanie notatki zamieszczonej w tym piśmie. O tym zamiarze korespondent lojalnie mnie uprzedził, listem, który niestety z powodu ciągłych w owym czasie perturbacji poczty rzymskiej z przesyłkami zagranicznymi nadszedł z parotygodniowym opóźnieniem prawie równocześnie z odnośnym numerem „Horyzontów".

Na to rzekome moje sprostowanie zareagował ostro w „Horyzontach" p. Józef Matecki, który w zakończeniu swego listu zarzucił mi, jak to cytuję na wstępie niniejszego wyjaśnienia, iż o tej sensacyjnej wiadomości nikt nie słyszał choćby w postaci plotki przez 27 lat. (Nawiasem mówiąc nie bardzo rozumiem dlaczego przez 27 a nie 22!).

Ale to nie wszystko. W kilka miesięcy później zabrał głos w tej sprawie na łamach londyńskiego „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza" (wydanie z 7 kwietnia 1967) były ambasador w Londynie p. Edward Raczyński. Według p. Raczyńskiego przytoczony przeze mnie fakt „mógł chyba tylko być wymysłem podnieconych wówczas polskich umysłów". Powołując się następnie na to, iż był w owym czasie „najbliżej związany" z rozgrywającymi się wypadkami odsyła czytelników do swej książki „W sojuszniczym Londynie", w którym daje ocenę okoliczności w jakich nastąpiła dymisja gen. Sosnkowskiego.

Rozumiem doskonale p. Raczyńskiego, iż przywiązuje decydującą wagę dla tego rodzaju świadectwa jakim jest jego własna książka. Muszę jednakże zauważyć, że między jego rezydencją na Portland Place a masą uchodźców polskich w Londynie był on skazany na pośredników jakimi byli urzędnicy jego ambasady. A ci najczęściej — rzecz to arcyludzka — przynosili nieraz informacje pożądane dla ucha szefa, niejednokrotnie pomijając inne, mniej przyjemne. Mogę o tym mówić na własnym przykładzie, gdyż w tej samej książce na str. 74 notuje on „afront" jaki miał rzekomo mnie spotkać w związku z porachunkami ewakuacyjnymi we Francji w czerwcu 1940 r. ze strony prof. Kota, co absolutnie nie miało miejsca...

Znalazłem się, więc niespodziewanie pod zarzutem nie tylko rozpowszechniania niepoważnej plotki, ale bodaj nawet jej sfabrykowania. Postanowiłem wobec tego odświeżyć w swojej pamięci dokładny przebieg historii wydania rozkazu gen. Sosnkowskiego oraz wywołanych jego treścią wypadków, które doprowadziły do jego ustąpienia ze stanowiska Naczelnego Wodza z dniem 30 września 1944 r. Nie było to w obecnych moich warunkach zbyt łatwe i musiało zająć sporo czasu. Niestety okazuje się, że cały ten drażliwy i dla całego polskiego środowiska w Londynie kłopotliwy szczegół nie ma echa w osiągalnych obecnie dokumentach. Jest to wynikiem specjalnego rodzaju taktyki ówczesnego premiera, St. Mikołajczyka. Nie dopuszczał on bowiem do tego aby podobnego rodzaju nieprzyjemne fakty znajdowały odbicie w protokółach Rady Ministrów. Stosował w tym wypadku metodę osobistego informowania w poufnych rozmowach członków rządu. Dobrze pamiętam, że mnie osobiście poinformował o tym w przeddzień posiedzenia Rady Ministrów z 7 września, na którym zgłosił do protokółu zasadnicze oświadczenie zawierające kategoryczne odcięcie się od poglądu zawartego w rozkazie Naczelnego Wodza, że „Polska wysłuchawszy zachęty rządu brytyjskiego i otrzymawszy jego gwarancje stanęła do samotnej walki z potęgą niemiecką".

W świetle dalszych dokumentów, z którymi mogłem się zapoznać, okazuje się, że brytyjskie władze wojskowe z powodu rozkazu gen. Sosnkowskiego zerwały z nim stosunki urzędowe. Fakt ten staje się głównym powodem domagania się ze strony rządu brytyjskiego ustąpienia gen. Sosnkowskiego ze stanowiska Naczelnego Wodza.

A teraz sprawa owego szczegółu do dziś dnia, jak to napisałem w moim liście do mego londyńskiego korespondenta, „niewyjaśnionego i niewytłumaczonego". Wydaje mi się, że jeśli nawet była to plotka, to ze względu na rozgłos, jaki ona przybrała, okoliczności jej powstania i rozpowszechnienia powinny być gruntownie wyjaśnione w interesie dobrego imienia polskiego wysiłku wojskowego i politycznego w czasie wojny na ziemi brytyjskiej. Metoda przemilczania, względnie lekceważenia, niczego nie rozwiązuje.

Czy rzeczywiście nikt o tej plotce nie słyszał jak to pisze p. Matecki? Mogę powołać się na następujące fakty: były wiceprzewodniczący Rady Narodowej R.P. w Londynie śp. Michał Kwiatkowski na łamach wydawanego przez siebie i redagowanego „Narodowca", pisma o największym nakładzie wśród wydawnictw polskich na obczyźnie, wielokrotnie przy różnych okazjach w artykułach redakcyjnych lub podpisywanych przez siebie „plotkę" tę podawał. Jego zdaniem był to jeden z powodów, które zadecydowały o dymi-

sji gen. Sosnkowskiego. Dla p. Mateckiego i jego przyjaciół najwygodniej dzisiaj widocznie zająć stanowisko, iż to co pisał „Narodowiec" nie liczy się... Inni przyjaciele gen. Sosnkowskiego i bardziej zdaje się kompetentni jego obrońcy, byli jednak innego zdania.

We wrześniu 1953 r. umieścił „Narodowiec" w dwóch numerach (206, 207 z 1 i 2 września) artykuł pt.: „Fakty i dokumenty o roli gen. Sosnkowskiego w Polsce międzywojennej i w tragedii wrześniowej", pióra płk. dypl. R. M. Artykuły te zostały następnie wydane w specjalnej broszurze, 16 stron tekstu, szeroko rozkolportowanej wśród emigracji polskiej na Zachodzie Europy. Mam w tej chwili przed sobą odnośną odbitkę. Na str. 15 w zakończeniu jako pewnego rodzaju konkluzja wydrukowany jest następujący ustęp: „rzecz charakterystyczna, że rozkaz ten, zanim został ogłoszony i podany do wiadomości w Londynie, został wcześnie opublikowany przez 'Deutsche Nachrichten Büro' w Berlinie".

Atak „Narodowca" spotkał się z wyczerpującą odpowiedzią, opracowaną w Londynie pod datą 16 października 1953 r. i podpisaną przez dwóch wybitnych wojskowych z kręgu przyjaciół gen. Sosnkowskiego: gen. brygady K. Wiśniowskiego i pułk. dypl. F. Demela. Opracowanie to pod soczystym tytułem „paszkwilantom w odpowiedzi" pojawiło się na łamach wychodzącego wówczas w Paryżu tygodnika kombatantów „Syrena", w nrze 40 z 14 listopada 1953 r. Elaborat pp. Wiśniowskiego i Demela jest bardzo gruntowny, obejmuje — pomijając kilkanaście podtytułów — 1248 (słownie: tysiąc dwieście czterdzieści osiem wierszy!) nie omija ani jednego z argumentów rozwijanych w „Narodowcu" z wyjątkiem ostatniego — wyżej cytowanego ustępu, który całkowicie pomija milczeniem. To przemilczenie ma swoją wymowę. Wówczas wydawało się to jako jedyne wyjście z kłopotliwej sytuacji. Dzisiaj po czternastu latach można pisać, iż o tym nawet jako o plotce nikt w swoim czasie nie słyszał...

Na zakończenie pragnę w związku z interwencją p. Edwarda Raczyńskiego zwrócić uwagę, że żyją jeszcze dwaj byli ministrowie ówczesnego rządu polskiego, którzy z tytułu swej resortowej odpowiedzialności byli znacznie bliżej związani ze sprawą zwolnienia gen. Sosnkowskiego niż ambasador R.P. w Londynie. Jest rzeczą charakterystyczną, że żaden z nich nie uważał za możliwe przyłączyć się do kampanii przeciwko mnie w tej sprawie.

Karol POPIEL

Rzym, 22 lipca 1967 r.

◆

Santa Barbara, Cal., 23 lipca 1967 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Swego czasu, po śmierci Lumumby, Zespół „Kultury" ogłosił w niej oświadczenie potępiające okoliczności śmierci tego niedoszłego kandydata na kongoleskiego Castra.

Lumumba, jak wiadomo, został zastrzelony „przy próbie ucieczki" przez pilnujących go Belgów, pozostających na służbie Katangi. Nie dowiemy się nigdy, czy stało się to z wiedzą Czombego, czy działali na własną rękę. W czasie „premierostwa" Lumumby mordy skrytobójcze i jawne gwałty, rabunki i podpalenia były w Kongu na porządku dziennym i to nie tylko w stosunku do ludności białej. Co skłoniło Zespół „Kultury" do zapałania oburzeniem i dania temu wyrazu w osobnym oświadczeniu właśnie z racji śmierci Lumumby, pozostanie dla mnie tajemnicą. Zakładam jednak, że wchodził tu w grę szlachetny liberalizm, który, przyznaję, z trudnością w tym wypadku podzielam.

Teraz oczekuję podobnego oświadczenia ze strony Zespołu „Kultury" w sprawie Czombego.

Okoliczności podstępnego uprowadzenia Czombego do Algierii są wyjątkowo odrażające: jakiś łobuz, kryminalista francuski, zmusił pilota samolotu Czombego do lądowania w Algierze. Na jakiej podstawie prawnej rząd algierski aresztował następnie Czombego? Na jakiej podstawie „Sąd Najwyższy" tego kraju (jeżeli tym mianem można nazwać zespół pseudo-prawników, działających na rozkaz władzy wykonawczej, w tym wypadku Boumedienne'a) w ogóle sądził Czombego i wydał go w ręce Mobutu na śmierć?

Dlaczego europejscy i amerykańscy liberałowie milczą i nie protestują, tak czuli poza tym na niedolę Murzynów istotną, czy wyimaginowaną?

Jak zawrzałoby wśród „intelektualistów" całego świata, gdyby Czombe miał prosowieckie ciągotki, lub cieszył się względami Pekinu!

Sprawa jest dla mnie jasna: Czombe wydał na siebie wyrok śmierci, oświadczając wielokrotnie publicznie i działając zgodnie z tymi oświadczeniami, że Murzyni jako całość, nie są jeszcze przygotowani do dawania sobie rady państwowo, kulturalnie i gospodarczo bez pomocy białego człowieka. Za to wszyscy niemal murzyńscy przywódcy zaprzysięgli mu zemstę, w czym sekundują im zakłamani i obarczeni kompleksem winy biali liberałowie.

Wierzę, że Zespół „Kultury" da wyraz liberalizmowi bez cudzysłowu, i, choć nie pomoże to w niczym nieszczęsnemu Czombemu, potępi zarówno tych co go porwali, więżą i wydają na śmierć, jak i zakłamany Zachód, przypochlebiający się tzw. ludom kolorowym, a właściwie ich przywódcom, żerującym na tych ludach.

Łączę uprzejme wyrazy i serdeczne pozdrowienia,

Andrzej PLESZCZYŃSKI

◆

Londyn, 28 czerwca 1967 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Niniejszy list jest rezultatem spontanicznej reakcji po przeczytaniu artykułu p. Mieroszewskiego pt. „Orientacja Londyńska" w poczytnym Pana wydawnictwie „Kultura" — czerwiec 1967. Otóż kiedy zaczynała się wojna miałem 11 lat. Nie mogłem być jednym z byłych „ministrów, ambasadorów i innych dygnitarzy, którzy żyją echem przeszłości dokonanej i zamkniętej".

Odbyłem wędrówkę przez Rosję, Środkowy Wschód, Szkoły Junackie, następnie służba w Lotnictwie, wreszcie studia i ciężka praca w Anglii by znaleźć swoje miejsce w społeczeństwie.

Obecnie jestem wykładowcą elektroniki, elektrotechniki i telekomunikacji w Londynie. Od kilku lat jestem członkiem Głównego Zarządu Stowarzyszenia Lotników Polskich; również jestem członkiem Zarządu Zjednoczenia Polskiego w W. Brytanii, organizacji koordynującej pracę 43 polskich organizacji społecznych. Jestem prezesem Głównego Zarządu Zrzeszenia Studentów i Absolwentów Polskich na Uchodźtwie, jak również członkiem Zarządu Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego.

Przed paroma miesiącami zostałem powołany do Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego, jako jeden z sekretarzy Egzekutywy.

Myślę więc, że ja zaliczam się do tego londyńskiego *establishment*. Nie jestem jedynym przedstawicielem młodszego pokolenia w tym *establishment*. W samej Egzekutywie obok mnie zasiada dwóch mych rówieśników jako sekretarzy. Wcale nie przyznaję się do tych wszystkich rzeczy, które p. Mieroszewski zarzuca *establishment*.

Niektóre oceny p. Mieroszewskiego to dla mnie są spory starego pokolenia, nie bardzo zrozumiałe i nie bardzo interesujące. Byłoby dobrze aby znakomity publicysta starego pokolenia zainteresował się tym co myśli młodsze pokolenie. Udział tego młodszego pokolenia w życiu polskim w Anglii w ostatnim okresie czasu bardzo się wzmocnił i na ogół ci młodsi potrafią znaleźć wspólny język i wspólny program z *establishment*.

Przykłady: Komitet Biblioteczny, Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny, Harcerstwo, Związek Klubów Sportowych, Zrzeszenie Studentów i Absolwentów, Związek Dziennikarzy, Polski Ośrodek Młodzieżowy itd.

Zastanawiałem się głęboko nad rozróżnieniem między Drugą i Trzecią Rzeczpospolitą i nie wiem do której siebie mam zaliczyć. Jestem o całe pokolenie młodszy od p. Mieroszewskiego; jeśli więc on reprezentuje Trzecią Rzeczpospolitą, to ja chyba Czwartą.

W poglądach na przemiany w Polsce zgadzam się z p. Mieroszewskim. Obydwaj zgadzamy się w tych sprawach ze stanowiskiem kierownictwa politycznego w Londynie a więc owego *establishment*, wyrażonym m.in. w uchwałach Światowego Zjazdu Polski Walczącej w maju 1966 r. A może różnica między Drugą a Trzecią Rzeczpospolitą w Londynie to tylko przywidzenie. P. Mieroszewski przewiduje że ta Trzecia Rzeczpospolita za jakieś 10 lat oprze się na Polskim Ośrodku Społeczno-Kulturalnym w Londynie kiedy moje pokolenie będzie stanowić większość emigracji.

Jako członek Zarządu mogę zapewnić p. Mieroszewskiego, że plany Ośrodka w tym zakresie są inne. Zamierzamy trzymać się zadań społecznych, a zadania polityczne zostawić czynnikom politycznym. Dodać muszę że obok mnie dwóch jeszcze członków Zarządu Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego jest członkami zespołu Egzekutywy, a więc prowadzą pracę polityczną w ramach *establishment*. Znowu nie wiem czy są oni przedstawicielami Drugiej czy Trzeciej Rzeczpospolitej.

Odnoszę także wrażenie że p. Mieroszewski nie dostrzega żadnych osiągnięć dokonanych przez inne liczne czynniki na emigracji, a widzi jedynie to co pisze on sam i to co dokonywuje „Kultura". Jestem z wielkim podziwem dla wydawnictw „Kultury" i nie mam wątpliwości że ta działalność jest jednym z głównych czynników oddziaływania na Kraj. U p. Mieroszewskiego jednak razi mnie niechęć do dostrzegania pracy innych czynników i jak gdyby chęć jej pomniejszania.

Artykuł p. Mieroszewskiego zawiera szereg wątków, z którymi trudno mi się jest pogodzić. Robi wrażenie, że umyślnie jest pisany z przesadą aby wywołać dyskusję i że autor niekoniecznie myśli to co pisze (np. teza że „bronić granicy na Odrze i Nysie można tylko na Wschodzie" i że Polska ma przebudowywać Związek Sowiecki, a potem stać się „głównym partnerem przyszłej Rosji").

Zapewne tematy te podejmą specjaliści od spraw polityki zagranicznej; wspominam je tylko aby uniknąć wrażenia, że godzę się z innymi sprawami których w liście nie poruszam.

Proszę przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy prawdziwego poważania,

Artur RYNKIEWICZ

◆

Orlando, Fla., dn. 7 lipca 1967 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

P. Edward Puacz w swym potrzebnym i interesującym artykule „Polonia w wyborach amerykańskich", („Kultura" 6/236) używa kilkakrotnie angielskiego zwrotu *pression group*. Przypuszczam iż chciał powiedzieć *pressure group*. Szkoda aby mały błąd szpecił interesujący tekst.

Miejmy nadzieję, iż artykuł ten zainicjuje polemikę która oświetli przyczyny kryjące się za faktami opisanymi przez p. Puacza. Czy polityczna i kulturalna atonia Polonii jest zjawiskiem przypadkowym, czy jest zręcznie reżyserowana i kontrolowana przez jakąś grupę? Jeśli tak, to jakie siły się za tym kryją i w czyim działają interesie? Czy istniejący *leadership* Polonii jest tylko nieudolny, skostniały, trzymający się siłą przyzwyczajenia wątpliwego splendoru i jeszcze wątpliwszego znaczenia jakie posiada, czy też naiwność i niezaradność jest zaplanowana, aby z góry ograniczyć do bezwzględnego minimum potężną rolę jaką Polonia może odegrać w polityce wewnętrznej Ameryki, a co z tego wypływa w kształtowaniu polityki zagranicznej? To są pytania nasuwające się po przeczytaniu wywodów p. Puacza, a ciekawiące zapewne każdego zainteresowanego sprawami polskimi. Znalezienie odpowiedzi byłoby początkiem lepszego jutra. Wiadomo przecież: aby wyleczyć pacjenta należy dotrzeć do źródła choroby, która wydaje się toczyć przywództwo Polonii.

Jednym z rzucających się w oczy symptomów schorzenia jest brak bezstronnego, ponadpartyjnego czasopisma — gazety lub tygodnika — na poziomie dostosowanym do przeciętnie inteligentnego czytelnika, którego główną tematyką byłaby polityka pod kątem widzenia Polonii i spraw polskich. Pismo które by pobudzało do samodzielnej myśli, analizy, prowokowało dyskusję, a tym samym wzbudzało zainteresowanie do bardziej aktywnego udziału w życiu politycznym Stanów Zjednoczonych, które stoi otworem dla każdego pragnącego brać w nim czynny udział.

Łączę wyrazy poważania,

Barbara SZUBSKA

◆

Odpis
W.P.
Władysław Gomułka,
Komitet Centralny PZPR.,
Warszawa.

Jako wyraz protestu przeciwko treści przemówienia Pańskiego w sprawie Bliskiego Wschodu zwracam w załączeniu odznaczenia moje: Złoty Krzyż Zasługi oraz Medal 10-lecia Polski Ludowej.

Wstydzę się posiadania odznaczeń władz, które przesłoniły sobie oczy i zatkały uszy na to tak groźne dla naszego *życia i istnienia* niebezpieczeństwo.

Wstyd mi za władze, które swoim stanowiskiem i polityką, zagrzewają jedynie do wojny i oddalają pokój.

Wstyd mi za Rząd Polski, który mimo tradycji własnego narodu walki o niepodległość i suwerenność, uczestniczy w ślad za Związkiem Radzieckim w nagonce przeciwko Izraelowi i Żydom we własnym kraju.

Czy nasza jest wina, że broniąc naszego życia naruszyliśmy imperialistyczne interesy Związku Radzieckiego?!

Niestety władze polskie wybrały program pełnego uzależnienia się od Moskwy, miast wykorzystania sytuacji dla ograniczenia okupacji obcych czynników we własnym kraju.

Przy okazji pragnę wyrazić swoje głębokie uczucia i szczere ubolewanie dla tych wszystkich którzy utracili życie lub ucierpieli podczas ostatnich wydarzeń i to niezależnie po jakiej znaleźli się stronie.

Chylę czoło przed każdym Polakiem, który lepiej od swoich władz zrozumiał po czyjej stronie jest prawda i słuszność.

Z poważaniem,

J. ZAŁĘSKI
P.O.B. 17122
Tel-Aviv

◆

W tej sprawie dostaliśmy bardzo wiele listów z Izraela — w większości podpisanych pseudonimami (obawa o rodziny w Polsce). Z braku miejsca drukujemy najbardziej typowy list p. Załęskiego *(Redakcja)*.

Londyński korespondent „Kultury": Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W. 4. — Telefon: 01-994-1860

◆

Włoski korespondent „Kultury": Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI,
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 387456.

◆

Kanadyjski korespondent „Kultury". Wacław IWANIUK,
263 Keewatin Ave., Toronto 12, Ont. Telefon: 481 93 63.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 3e Trimestre 1967.

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte.
Telefon : 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Roman Krolikowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg	75 cent.	R 4,20	R 8,00
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
AUSTRALIA : « Vistula « (Australia) Pty Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	$ A 1,00	$ A 5,35	$ A 10,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14		145 szyl. a.	280 szyl. a.
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, Bruxelles 3, Nr konta pocztowego 7315-20	60,00 F. b.	300.000 F. b.	560.00 F. b.
BRAZYLIA : Seweryn A. Hartman, rua Barao de Itapetininga 221, s. 1203, Cx. Postal 30.750, Sao Paulo, tél. : 35-5584. **Jerzy Pomian-Piatkowski,** rua Guiara 143, villa Pompeia, Sao Paulo. Tel. 62-0523.			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
HOLANDIA : M. Barczyk, P. Calandlaan 50, Amsterdam; tél. : 1533311; Konto pocztowe Nr 617512.	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto 3, Ont, **K. Krakowska,** 2318 Hingston Ave. Montreal 28, Quebec, tél. : HU 8-5224; **« ZWIAZKOWIEC »,** 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491; **Jozef Polkowski,** 110 Cobourgh Str., apt. 301, Ottawa 2, téléphone : 233-7212.	1,50 $ Can.	8,00 $ Can	13,00 $ Can.
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm.	6,00 Kor.	30,00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A. : J. Bienkowski, 627 Tracy St. Utica, N.Y. 13502; **S. Dobczynski, Alma Shipping C°,** 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; **L. Dudarew-Ossetynski,** 1603 N° Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; **S. Dziarczykowski,** 2402 Cheremoya Av., Hollywood 46, Cal.; **M.K. Dziewanowski,** 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; **Adam J. Galinski,** 1727 Mass. Ave. N.W., Washington, D.C. 20036; **T. Konopacki,** 11839 Edgewater Dr., Lakewood, O. 44107, tel. LA-1-2305 ; **Christian M. Kretowicz,** 4477 Wilson Ave., San Diego, Cal., 92116; **Stefan Koziowski,** 1212 Donald Ave., Lakewood, Ohio 44107; **V.B. Kwast,** 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083; **Polish Amer, Book C°** 1136 Milwaukee Av., Chicago Ill. 60622; **E. Posyniak,** 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; **Praca,** 2419 Memphis St., Philadelphia, Pa 19125; **The Polish Book Importing C°, Inc.,** 156 Fifth Ave., New York, N.Y. 10010; **R. J. Sas-Babczynski,** 9530 East Rosecrans Ave, Bellflower, Cal.90706, Tel. 867-1857; **Jan Wojcik,** 674 Farmington, Ave., New Britain, Conn. 06053; **Jan Zych,** 5515 Tarnow, Detroit, Mich 48210, Tel. : 899-5165.	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W. 11	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
WLOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27 Tél. : 75-67-241	700 L	3.600 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18.228-56.

Nowość

Tom 145 BILIOTEKI «KULTURY»

SERIA - "ZESZYTY HISTORYCZNE"

ZESZYT DWUNASTY

Lipiec 1967

zawiera m.in. prace:

P. Wandycza: *Z zagadnień współpracy polsko-ukraińskiej w latach 1919-1920.*

T. Nowackiego: *Ludowe Wojsko Polskie* (dok.).

Z. S. Siemaszki: *Retinger w Polsce w 1944 r.*

M. Młotka: *Samodzielna Brygada Strzelców Karpackich* (dok.).

J. Jaklicza: *17 września 1939 r. w Sztabie Naczelnego Wodza.*

Str. 240 Cena 15 F (dol. 3,00; 20/-)

◆

TOM 44

BORYS PASTERNAK

DOKTOR ŻIWAGO

Nowe wydanie głośnej powieści, wraz ze
STENOGRAMEM OGÓLNEGO ZEBRANIA PISARZY MOSKIEWSKICH
z dnia 31 października 1958 r.
na którym potępiono Borysa Pasternaka za wydanie zagranicą
„DOKTORA ŻIWAGO"
Przekład *Pawła Hostowca.*
Wiersze oraz Stenogram w przekładzie *Józefa Łobodowskiego.*

Str. 544 Cena egz. 26 F (dol. 5,50; 38/6)

BP

Cena 5,00 F

Richard S.A., 24, rue Stephenson - Paris